Czerwiec. — 1858.

KILKA SŁÓW

DOTYCZĄCYCH

UNII W POLSCE.

W *Dodatku do Czasu*, z miesiąca czerwca roku zeszłego, tomie szóstym, zeszycie ośmnastym, znaleźliśmy opis historyczny *Unii w Polsce przez P. Helleniusza.*

Wielce nas rzecz tak rzadka w czasach dzisiejszych zainteresowała, staraliśmy się przeto z wszelką dokładnością ją przejrzyć, a ile świadomi kwestyi unickiéj pragniemy zdanie nasze w téj rzeczy wypowiedzieć i sprostować niektóre fakta mylnie przytoczone przez szanownego pisarza. Uprzedzamy wszakże, iż pismo nasze nie może wyczerpnąć całéj kwestyi tak jakby należało, z powodu, iż oddaleni od kraju i bibliotek z których moglibyśmy potrzebne przytaczać dowody, jesteśmy w niemożności pod tym względem na wyrozumienie zasługującéj.

Nauczająco rozpoczął autor wstęp do opisu historycznego o *Unii w Polsce* dowodząc jasno prymatu (pier-

wszeństwa) jaki Pan i Zbawiciel nasz Jezus Chrystus osobie Piotra Ś. poruczył nad Kościołem powszechnym, a który to prymat po ś. Piotrze odziedziczyli prawnie jego następcy Papieże. Zrówną też biegłością dowiódł z natury i prerogatyw prymatu, jego władzy rozciągającéj się od Papieży stanowiących głowę Kościoła ś. na cały świat katolicki.

Nigdzie, czytając rzecz dotąd, nieznaleźliśmy fałszu, i zaczęliśmy ze wstępu dobrze wnioskować o dalszym ciągu pracy, aleśmy się omylili. Bo przejrzawszy kilkadziesiąt zaledwie wierszy następnych, traktujących o Patryarchatach, dostrzegliśmy błędy, których z tak pięknym rozwojem historyi przy wstępie pogodzić niesposób, a przeglądając rzecz porządkiem ku końcowi napotkaliśmy ich więcej i o nich mówić zaczynamy.

Rozbierając autor szczegółowo rzecz o Patryarchatach powiada: „*Zasiadali tam* (na patryarchacie aleksandryjskim) *Atanazy, którego naukę przyjął kościół katolicki*; *Cypryan św. i mądry Tertulian* (str. 546)". — Niestósowne jest powiedzenie o Atanazym, „*którego naukę przyjął kościół katolicki*" co prędzéj może być przypisane Tertulianowi i Orygenesowi chociaż łacinnikom, bowiem wiadomo całemu chrześciaństwu o prawdziwości nauki Atanazego, a zwłaszcza, że wtedy jeszcze nie znano nazwy abstrakcyjnej unity i przy różności obrzędu greckiego wiernych nazywano katolikami. Być może, iż pod tem wyrażeniem rozumieć się ma symbol czyli wyznanie wiary ułożone przez Atanazego, które także kościół święty obrządku łacińskiego przyłączył do pacierzy kanonicznych; w takim więc razie wypadałoby wyrażać się jaśniéj, bo tu jak widzimy, kościół obrządku greckiego postawiony chromo. Prócz tego Atanazy będąc prawym synem kościoła, uznającym nad sobą władzę Ojca św. jak wiemy, nauczał zawsze w duchu bożym, zasiadał na koncyliach ekumenicznych i prowin-

cyonalnych ustanawianych przez Papieży, jako pogromca Aryanów, Eutychianów, Nestoryanów i innych heretyków. A nadto, kościół przyjmując naukę Atanazego po śmierci nie tylko zaliczył go między doktorów, ale w poczet ojców świętych, jak czytamy o tem *pro quarto nonas Mai* w Martyrologium [1]. Ale zostawiając rzecz o św. Atanazym, wyżéj przytoczone zdanie wprowadza na aleksandryjski patryarchat św. Cypryana i mądrego Tertulliana, czy zaś oni zaraz po św. Atanazym nastąpili nic o tem nie wiemy, ale nam się nie zdaje, co okażemy, a pewni jesteśmy, iż i sam autor da nam swoją aprobatę skoro obaczy powód czym był św. Cypryan, a czym mądry Tertullian. Ktokolwiek czytał historyę kościoła wie o św. Cypryanie, że był Biskupem kartagińskim [2], a o mądrym Tertullianie że niczem więcéj nie był jedno kapłanem w Afryce [3]. Znamy i my Cypryana aleksandryjskiego, lecz on nie był nigdy patry-

---

[1]) Martirologium Romanum Gregorii XIII jussu editum, Urbani VIII et Clementis X auctoritate recognitum, Benedicto XIV Pontifice Maximo aucta et castigata editio Venetiis ex Typographia Balleoniana — 1802.

[2]) Sancti Cypriani Episcopi Carthaginensis et Martyris Opera Omnia — ad MSS. codices recognita et illustrata studio ac labore *Stephani Baluzii Tulunensis.* — Absolvit post *Baluzium* ac praefationem et vitam S. Cypriani adornavit unus ex Monachis Congregationis S. Mauri (Prudentius Morand). Editio secunda veneta — Venetiis 1758. Ex Typographia Hieronymi Dorigoni, Superiorum permissu.

Patrologiae cursus completus sive bibliotheca universalis, integra, uniformis, commoda, oeconomica, omnium SS. Patrum, Doctorum, Scriptorumque Ecclesiasticorum ab editore I. P. Migne, tom. 4 Opera S. Cypriani—Excudebat Siron in via dicta D'Amboise, près la Barière D'Enfer, ou petit-Montrouge — Parisiis 1844.

[3]) Quinti Septimii Florentis Tertulliani Carthaginensis Praesbyteri Opera quae hactenus, reperiri potuerunt omnia. Parisiis apud Laurentium Sonnium, via Jacobaea in Circino Aureo—1598—cum privilegio Regis.

archą, ani też kapłanem, jedno był Magiem w Aleksandryi, a późniéj przeniósł się do Nikomedyi i każdy się o tem może przekonać czytając w Patrologii umieszczony opis życia św. Cypryana, w którem się znajduje wzmianka o Cypryanie Aleksandryjskim Magu. Podobnie we wstępie pracy Tertulliana mamy opis jego biografii, w któréj znajduje się inny Tertulian wspomniany dla tego, aby nie wziąść pierwszego za drugiego, ale i ten nie był żadnym patryarchą.

Chce nas autor przekonywać (str. 561), że Ruś kwitła i wielkie wydawała owoce w początkach swego namaszczenia, lecz dowodem nie do tego należącym, wyjętym z bulli wydanej na początku siedmnastego wieku, i to nie do całej Rusi, ale do jednéj tylko dyecezyi Chełmskiéj, kiedy Biskup jéj chcąc z powodu napierającéj schyzmy zaprowadzić niektóre zmiany w obrzędach wschodnich i zbliżyć się nieco do obrzędów kościoła zachodniego, aby przez to położyć niejako tamę schyzmie napierającéj na uniją, pisał o pozwolenie do Rzymu, a wtedy to Ojciec św. Urban VIII zabraniając zaprowadzenia zmian wydaną bullą, wyraził się w niéj: „*o mei rutheni per vos Ego Orientem spero convertendum*“ [4]) i to nam autor przywiódł na parę wieków naprzód. Nieprzeczymy jednak kwitnięcia Rusi po przyjęciu wiary świętéj, a nawet lubo późniéj zaraza schyzmy za pomocą despotyzmu moskiewskiego szerzona dla rozwoju jego potęgi wielu wiernych odrywała od Kościoła, unija pomimo to trwała, aż nareszcie przemocą i rozbojem w ostatnich czasach przytłumioną została w zachodnich guberniach polskich.

Patrologiae. . . Tertulliani. . . opera. . . Parisiis excudebat Migne in via dicta D'Amboise, prés la Barière D'Enfer, ou petit Montrouge — 1844.

[4]) Przytoczone słowa znajdują się także w dziele pod tytułem: *Phoenix tertiato redivivus, albo obraz starożytny chełmski Pan-*

Twierdzenie zaś na tejże saméj karcie, jakoby „*Ruś w dwunastym i trzynastym wieku, aż do Synodu Florenckiego była dyzunicką*“ — jest zupełnie fałszywe, bowiem Ruś nigdy całkowicie od jedności Kościoła św. nie odstąpiła, chociaż w tych wiekach schyzma używała wszelkich możliwych środków do jej zniszczenia. Widzimy to jasno z historyi Metropolitów kijowskich, mających związek ze Stolicą Apostolską. I tak: Efrem Metropolita kijowski z porządku ósmy, który żył około r. 1100, gdy Urban II polecił obchodzić święto przeniesienia ciała św. Mikołaja z Myrry Likaońskiego miasta do Baru [5]) dziewiątego maja, Efrem to święto ogłosił po całéj Rusi, i aby na zawsze obchodzone było polecił. Na synodzie w Kijowie w r. 1146 przez Biskupów ruskich był obrany Metropolitą Klemens z porządku trzynasty, któremu po konsekracyi na głowę wkładali Biskupi głowę św. Klemensa Papieża męczennika naznak poddania się i posłuszeństwa świętéj Stolicy Apostolskiéj. — Jan III z początku szesnasty metropolita kijowski około roku 1180, jak świadczy historya, złożył przez list posłuszeństwo Papieżowi Aleksandrowi III. Cyrylli I. metropolita kijowski obrany w roku 1225, wraz z Biskupami całéj Rusi wyprawili poselstwo do Papieża Honoryusza III prosząc, aby im przysłał missyonarzy do opowiadania słowa bożego na Rusi. Nakoniec Cyrylli III z porządku dwudziesty drugi metropoli-

---

ny Matki Przenajświętszej sławą cudownych swoich dzieł potrzecie ożyły. Praca Jaśnie Przew. J. M. X. Jakuba Suszy Episkopa Chełmskiego i Bełzkiego, Archimandryty Zydiczyńskiego. — R. 1684. — W drukarni Akademiey Zamojskiej.

[5]) Omylił się autor na stroniny 560 mówiąc iż ciało śgo Mikołaja w Rzymie złożone. Nigdy ono tam nie było, ale po wzięciu go z Myrry w r. 1096 zostało przeniesione wprost do Baru w Neapolitańskie, gdzie dotąd słynne wielu cudami spoczywa. Martirologium Romanum — Venetiis 1802.

ta kijowski, który od roku 1250, aż do r. 1283 siedział na tej stolicy, zaraz na początku swego urzędowania otrzymał list apostolski od Innocentego IV. potwierdzającey przywiléj odprawiania Mszy świętej w języku słowiańskim. Z tych więc dowodów i dalsze twierdzenie na strónicy 564. „*Cała Ruś polska wyznawała religiją grecką w słowiańskim obrządku dyzunicką pod zwierzchnością Metropolity kijowskiego*“ upada. Zresztą świadczy cała historya metropolitów kijowskich zacząwszy od pierwszego Michała, którego osadził Mikołaj Patryarcha w r. 990 na nowo-utworzonéj metropolitalnej stolicy w Kijowie przez Włodzimierza, zaraz po przyjęciu wiary świętéj, aż do ostatniego jej metropolity Atanazego Szeptyckiego obranego w r. 1729, że Ruś niezupełnie oderwała się od jedności katolickiéj, chociaż w liczbie pięćdziesięciu czterech jej metropolitów było dwóch odszczepieńców, to jest Focius Grek w roku 1408 i Jonasz II w r. 1520.

O Koncylium Florenckiem, a mianowicie o wielce zasłużonym dla jedności Kościoła mężu Izydorze metropolicie; który na temże koncylium zasiadał, autor w kilku niedokładnych słowach rzecz całą zakończył, a sprawiedliwie wypadało było o tak ważnym czynie zacnego męża, będącego jedyną podporą upadającego kościoła obrządku wschodniego, dać nieco obszerniejszą wiadomość.

Izydor Bulgarczyk został wyniesiony na godność metropolitalną w r. 1437.— W r. 1439 znajdował się na koncylium Florenckiem, gdzie przybył ze świetnym orszakiem szlachty ruskiéj, i zajmował miejsce Doseteusza Patryarchy Antyocheńskiego jako jego wikaryusz; dla pojednania Greków z kościołem rzymskim gorliwie pracował, za co po skończonem koncylium przez Eugeniusza IV zaszczycony został godnością kardynała presbytera, przytem dany mu był zarząd kościoła w Rzy-

mie p. t. śś. Piotra i Marcellina [6]). Wracając po skończonem koncylium na Ruś, dekreta na tém koncylium postanowione najprzód w Chełmie ogłosił. W przejeździe do Chełma miał Mszę śtą solenną w Sondecku, w kościele łacińskim, i świetnie tam był przyjmowany przez Oleśnickiego Zbigniewa, biskupa Krakowskiego. Gdy przybył w głębszą Ruś do Polski należącą, wnet starał się ogłosić dekreta koncylium i niebawem udał się do Moskwy, aby i tam zaprowadzić unię świętą. Ale Bazyli Bazylewicz ówcześnie panujący książe i biskupi tak zostali obałamuceni przez Fociusza odstępcę, jego niegodziwego zausznika Marka Efezkiego, i wielu innych zacientych schyzmatyków, iż zwoławszy naradę postanowili na niéj spalić Izydora, który jednak za łaską bożą uniknął tak strasznego dla siebie niebezpieczeństwa i udał się wprost do Rzymu, gdzie złożywszy Kijowskie arcybiskupie urzędowanie w ręce papiezkie, został przez Mikołaja V zaszczycony tytułem legata apostolskiego, i wkrótce udał się do Konstantynopola, aby zgodę Greków z kościołem wschodnim czystą i nienaruszoną ustalić i zachować. Lecz i w tem mieście był ścigany przez Turków nieprzyjaciół wiary, za którą gotów już był głowę położyć, kiedy przekonany usilnemi prośby służącego, zaniechał swego postanowienia, i skrył się do kościoła, a znalazłszy tam trupa zdjął z niego ubranie tego swem oblókłszy, wyszedł niepoznany od nieprzyjacioł, i tym sposobem uszedł miecza barbarzyńców.— Kiedy więc ścigający Izydora Turcy znaleźli w kościele trupa ubranego w purpurę, wielce się uradowali myśląc, iż to Izydor, odcięli mu głowę nakrytą czerwonym kapeluszem, a wbiwszy na włócznię, nosili po rozdrożach, ulicach i placach, wołając radośnie iż to jest głowa

---

[6]) **Kościół ten zbudowany w Rzymie in via Lavicana.**

kardynała Rusinów. Tymczasem tenże jako nieznajomy przez Turków schwytany i do Galatów zaprowadzony, a późniéj jakiemuś księciu w Peloponezie jako niewolnik przedany, który go użył do najlichszych posług przy stajniach. I ztąd znowu ucieczką uratowany do Rzymu przybył. W r. 1452 mianowany został biskupem sabińskim i rządcą kościoła ś. Agaty biskupstwa Fikodeńskiego (in partibus infidelium). Prócz tego otrzymał w zarząd dwa inne biskupstwa, a po śmierci Mikołaja V Pius II dał mu władzę Patryarchy. Jak Izydor pełen zasług po przejściu tylu smutnych kolei, zakończył życie w roku 1463 — pochowany w kościele ś. Piotra w Watykanie.

Mimo niepowodzeń jakich doświadczył Izydor po koncylium Florenckiem w Moskwie, metropolija kijowska nie została bez zarządu prawego, zjednoczonego z Rzymem, bowiem Grzegórz II także Bulgarczyk, Abbas przy ś. Demetrym w Konstantynopolu, gorliwy katolik i najwierniejszy przyjaciel Izydora, za staraniem jego powołany został na Metropolitę Kijowskiego przez Mikołaja V w r. 1442, przez tegoż konsekrowany otrzymał upoważnienie papiezkie na piśmie, i przybywszy na Ruś, stolicę sobie właściwą w Kijowie bezpiecznie zajął, mile przyjęty od narodu, był też w wielkiem poważaniu u Kazimierza Jagiellończyka. Kiedy w tym czasie pseudo-metropolita Jonasz zaczął się gwałtem wdzierać w granice metropolii Kijowskiéj, przypisując sobie nad nią jurysdykcyę i pociągał unitów namowami i przekupstwem do schyzmy, wtedy Grzegórz drugi odniósł się po środki zaradcze do stolicy Apostolskiéj, na co wydana była bulla Piusa II (r. 1458) w któréj Jonasza jako nieprawego syna zatracenia w Wyższéj Rusi t. j. w Moskwie [7]) oderwanéj od kościoła zostawić poleca,

---

[7]) Podział ten zrobiony w bulli Piusa II. temi słowy: „*Provinciam Ruthenensem superiorem dumtaxat, illam videlicet, quae*

niższą zaś Ruś, t. j. do królów polskich należącą, temuż Grzegorzowi II i jego następstwom arcybiskupstwa Kijowskiego przeznacza, i postanawia aby kościoły Brzeski, Połocki, Turowski, Włodzimierski, Przemyski, Chełmski, Lwowski i Halicki jako sufraganie temuż arcybiskupstwu kijowskiemu podlegały. Odtąd więc wyższa Ruś czyli Moskwa oderwała się zupełnie od kościelnej jedności i od metropolii Kijowskiéj, a zaś Ruś polska ustawicznie przez schyzmę nagabana, chociaż utracała wielu wiernych, jednak trwała w jedności. — Pewni jesteśmy iż nikt nie wykaże zupełnego odpadnięcia Rusi polskiéj od jedności kościoła od czasu przyjęcia przez nią wiary świętéj aż do Synodu Florenckiego, byleby tylko śledził fakta historyczne z należną neutralnością. Mówiąc o Izydorze i Grzegorzu II, mieliśmy na celu wykazanie metropolii w Moskwie, która także poprzednio zależała od metropolii kijowskiéj. Należy nam jeszcze wspomnieć jakim sposobem utworzona została, dla jakich powodów i w którym czasie to wszystko działo się, a ztąd przekonamy się, czy w Kijowie obok metropolii unickiéj była druga dyzunicka, jedno, że tam w latach 1408 i 1520 jakeśmy nadmienili wyżéj, zajmowali ją czas krótki odszczepieńcy. O czem na swojem miejscu.

Opuszczamy podział Rusi na trzy wyznania t, j. *prawosławne, dyzunickie i unickie* na str. 566 i daléj w opisie historycznym p. Helleniusza. Możnaby o tem długo i szeroko prawić i poprzestaniemy jedynie na objaśnieniu nieobeznanych z rzeczą, jeśli są tacy z czytających poważniejsze kwestye, że *prawosławie* (schyzma) *dyzunija* mają jedno i toż samo znaczenie. Schyzma

---

per schismaticum ac inferiorem, quae per Catholicum, scilicet Casimirum Poloniae illustrem regem gubernatur, in duas partes auctoritate apostolica divisit . . .

σχισμα, znaczy rozerwanie, nieporozumienie, niezgoda, odszczepieństwo, — dyzunia z łacińskiego *disunio* niejedność, rozłączenie, — unija, *unio*, jedność. Prawosławie zaś, właściwie ze słowiańskiego, znaczy wiarę prawą, powszechną, katolicką, czem się schyzmatycy dzisiejsi szczycą i sobie tylko przypisują, równie jak wiele innych sekt heretyckich, jedynie prawdziwemi katolikami się mianuje. Błąd to wielki, że teraźniejsi publicyści historyczni pisząc o unii, rzadko kiedy starają się wytłómaczyć znaczenie podobnych wyrażeń, opierając się tylko na głosie próżnym i nieopartym na niczem, bez badania prawdy, co też i autor w tem miejscu uczynił, gdy mówi że schyzmę nasi przodkowie zwali *wiarą prawosławną*. Tak było to pewna, ale brak objaśnienia dla czego? Nam się zdaje, że wyrażenie to wprost z języka moskiewskiego używane było albo w nieświadomości, albo w sensie ironicznym.

Przy opisie jak szlachta ruska unicka (str. 569) zacząwszy od najpierwszych magnatów aż do ostatniego szlachcica poprzechodziła na obrządek łaciński, jako publicyście historycznemu o *Unii w Polsce*, wypadało z właściwszego stanowiska na rzecz tę zapatrywać się, a rozpoznawszy bliżéj, byłby ją w prawdziwem świetle wystawił, zamiast: „*nastąpił czas tryumfu, wielkiej dla kościoła katolickiego potęgi i siły*,“ — rzekłby, iż był najprzyjaźniejszy czas, w którym mógł był kościół katolicki otrzymać całkowity tryumf, ustalić potęgę i siłę. — Lecz niestety, źle zrozumiana myśl kościoła katolickiego i fanatyczna gorliwość pewnej części duchowieństwa łacińskiego w Polsce, silną podówczas mającego przewagę, w samym początku wszystko zniweczyła i dalszym nadziejom katolicyzmu największą tamę położyła. Trudno więc było z tego powodu oprzeć się ludowi późniéj przeciw schyzmie, którego duchowieństwo ruskie chociaż katolickie i przy nim stojące, a nie mające dosta-

tecznéj oświaty, obronić nie było w stanie bez pomocy ludzi światłych, bez szlachty. Czy to jest ów tryumf, o którym nam autor z pewną rozkoszą pisze? Tu tryumfu dopatrzyć żadną miarą niepodobna. Pozwalamy sobie tylko zapytać autora, czy wojsko może się utrzymać na polu bitwy, chociażby najliczniejsze, skoro go opuszczą wodzowie, zacząwszy od główno-dowodzącego aż do ostatniego podoficera? Czy gmach najwspanialszy z najtrwalszych budulców nowo-postawiony ostać się potrafi skoro mu wszystkie główne kolumny odcięte zostaną? To właśnie działo się z ludem unickim po przejściu szlachty jego na obrządek łaciński. Dziś widzimy w skutku szkody ztąd wynikłe nietylko dla kościoła, ale i dla nas samych, starajmyż się przeto wszelkiemi siłami naprawić złe a nie tryumfujmy.

Przystępując do Synodu Brzeskiego, aby długo nie trudnić uwagi czytelników, przytoczymy im dosłownie Akt biskupów Ruskich zebranych na Synodzie w Brześciu w celu zjednoczenia się z Rzymem, gdyż akt tychże biskupów podany w opisie P. Heleniusza widzimy zupełnie przeciwny wyjętemu z ksiąg lwowskich, który tu dosłownie wypisujemy: [8])

„*Odnowienie jedności z świętym Kościołem Rzymskim* „*i posłuszeństwa ś. Stolicy Apostolskiéj w Brześciu na* „*Synodzie, przy obecności posłów papiezkich i królewskich* „*przez duchowieństwo Ruskie uczynione. Z Ksiąg Lwow-* „*skich*".

„Wo Imia Boha wo Trojcy jedynaho, na czesť i „światuju chwału Jego, i ludzkaho spasenyja, a wiry „światoj christijanskoj kaftoliczeskoj utwerżdenyje i spa- „senyje wsim kotorym toje widate budet należało.

---

[8]) Bullae et Brevia summorum Pontificum, Sacrarum Congregationum decreta, nec non serenissimorum Poloniae regum diplomate, typis Poczajoviensibus edita anno 1767, die 1 mensis Martii.

My o Boži na Sobori narodnom w Berestiju, roku „božija 1596, misiaca oktobrija 8 dnia, według staraho „kalendara, w cerkwi Sobornoj Światabo Nikoły sobran„ny: Mitropolit i Episkopowe obrjadu hreczeskaho niżéj „podpisany. Oznajmujem na wicznuju pamiat'. Iż my „baczaczi, jako jedynowładnošt cerkwi bożoj, w Ewan„helii usty Hospoda naszeho Jisusa Christa osnowanna, „i utweżdenna jest, aby na jednom Petri, jako na ka„meni cerkow Christowa mocno stojaczi, i od neho rad„żena i sprawowanna była, aby u jednoho tiła jedna „hława, i w jednom domu jedyn hospodyn i szafar o„brokow bożich nad czeljadju postawłennyj ot porjadku, „i o wsem dobrom wsich obmyślał. Kotoroj to porjadok „cerkwi Bożoj ot czasow apostolskich zaczatyj, bywał „po wsi wiki: Atoże wsi Patrijarchi, do jednoho po„tomka Petra, światabo Papy Rymskaho, zawżdy w na„uci wiri i prijmowaniju właști duchownoj, i w sudach „episkopskich i w apellacijach utikały sia: jako sia to „z Soborow, i prawił Światych Otec pokazujet', i naszi „sławenskije pisma iż Hreczeskich s starodawna preło„żeny dostateczne to pokazujet' i staryje światyje Otcy „Cerkwi Wostocznoj to świadczat, kotoryje to i świa„taho Petra prestoł i starinszestwo, a właśt' jeho nad „Episkopy wseho świta znajut'. Ne mnije też Carihrad„skii Patrijarchowe tuju zwerchnošt' stołyci Rymskoi „światabo Petra czas nemałyj znały, i jéj podlehały i ot „nej błahosłowenstwo brały. Ot kotoroj chotiaż mnoho„kratne otsupowały, ałe wspiat's neju jednały sią, i do „posłuszenstwa jéj wertały, a ostatne na Sobori Florent„skom roku božija 1439, czerez Jozifa Patrijarchu, i ce„sara carihradskaho Joanna Paleołoha, zupełne do toho „posłuszenstwa wernuły sia, wyznajuczi: że Rymskij „Papa jest otcem i uczitelem, i sprawceju wseho Chri„stijańitwa i prawym Petra światabo namistnykom. Na „kotorom to Florentskom Sobori buw i nasz kijewskij i

„wseja Rusi Archiepiskop Metropolit Izidor, kotoryj to„je sojedymenyje, Patrijarchi Carihradskaho i wsich cer„kwej do nej należaszczich prynes, i sije kraje ruskije „w tomże posłuszenstwi rymskom utwerdył. Dla czoho „i koroli polskije i wełykije kniażi litowskije, a mene„wite Władisław korol polskij i uherskij, i innyi hospo„dari dali prywilej duchowenstwu obrjadu breczeskaho „i ruskaho i wolnošti wsi kotorych cerkwi kaftolicze„skaja Rymskaja używajut, takowyjež im nadali. Ot ko„toroho, sojedynenyja cerkownaho carihradskije patri„jarchowe, koły zaś otstupyły, dla toho otstuplenija i ra„zorwanija jedynosti cerkownoi w moc pohańskuju i tu„reckuju upały. Zaczym mnoho błudow i złych postup„kow i zanehanyje dozoru prawoho i wsich krajech ru„skich i mnoho brydkaho światokupstwa nastupyło, iż „sia Jerei rozsijały i wsiu prawe Ruś opanowały, cer„kwy pustoszaczi i chwału bożuju psujuczi. My necho„tiaczi buty uczastnykamy hrichu tak wełykoho i nedoli „pohańskoj, kotoraja za tym pryjszła na carichradskich „patrijarchow, a nechotiaczi im raskołu i rozorwanija „cerkwi światoj jedynowłasti pomahaty i zabihajuczi „spustoszeniju cerkwej i spasenyja dusz ludzkich czrez „Erezii, kotoryi sia teper podnesły, majuczi też sowišť „i nebezpeczenstwo spasenyja swojeho i stada słowesna„ho nam ot Boha wruczennaho, roku proszłaho wypra„wyłyśmo do Otca światijszaho Klimentija osmaho (VIII) „Papy Rymskaho posły i bratiju naszu wełebnych o „Christi Episkopow Ipatija Potieja Protoftronija Episko„pa Włodimirskaho i berestenskaho, a Kiryłła Terlecko„ho Egzarchu episkopa Łuckaho i Ostrogskaho za wi„domostiju i pozwołenijem i pryczynoju Nejjašnijszaho „Hospodarja naszeho korola, Jeho myłosti Polskaho i „wełykoho kniazia litowskaho Zygmunta tretiaho (III) „pana pobożnaho, kotoromu daj Boże szczasływoje i wi„cznoje carstwowanije prosiaczi aby nas do swojeho po-

„słuszenstwa, jako najwyższij Pastyr Cerkwi Wselenskoj „kaftoliczeskoj pryniał, i od zwerchnosti Patrijarchow „Carihradskich wyzwołył i razriszył, i zachowujuczi nam „obrijady i ceremonii cerkwej Wostocznych Hreczeskich „i Ruskich, a nijakoj otminy w cerkwach naszych neczynia„czi, tokmo po predaniju światych Otec Hreczeskich wiczne „zostawył, czto i uczynył, a na to swoi prywilehija i „pisma posłał, rozkazujuczi, abyśmo sia na Synod do„zwawszi ispowidanyje wiry światoj uczynyły i posłu„szenstwo stołyci Rymskoi Petra świataho Klimentu os„momu i jeho naślidnikom otdały. To jeśmo dneś na „sem Synodi uczynyły, jako to łysty naszi i podpysa„nyje z własnych ruk naszich s pryłożenyjem peczatej „naszych świdczat, kotoryje do ruk posłów Otca światа„ho Papy Klimentija na tot Synod posłannych prewełe„bnaho Otca Dymitryja Solikowskoho Archiepiskopa „Lwowskoho i jeho myłosti Otca Pernata Matejewskoho „biskupa Łuckoho i jego myłości Otca Iomolinskoho bi„skupa Chołmskoho otdalijeśmo, a pry bytności posłow „jeho korolewskoja miłości Zygmunta tretiaho, ich my„łości Jasne Osweconoho Michała Krisztofa Radziwiłła „kniażati na Olici i Neświżu, Wojewody Trockoho i „procz., i Jeho myłosti Welmożnoho Pana Sapihi Kan„clira Wełykoho kniażestwa Litowskoho, i Jeho myłosti „pana Dymitryja Hałeckoho, Podskarbioho zemskoho, „Wełykoho kniażestwa Litowskoho, Starosty Beresten„skoho, i innych mnoho duchownych i świckich na tom „Synodi sobranych. Dan jako wysze pomianeno s pod„pisom ruk naszich własnych. Michaił Rochoża woleju „bożijeju Archiepiskop metropolit Kijowskij, Hałycza i „wseja Rusi. Ipatij Potij M. b. Episkop Władyka Wła„dimirskij i Berestenskij. Kiryłł Terleckij M. b. Exarcha „Władyka Łuckij i Ostrogskij. Hrychoryj Herman M. b. „Archiepiskop Połockij, Władyka Witebskij, Mśtisław„skij. Dyonizij Zbiruiskij M. b. Episkop Władyka Chołm-

„skij i Bełzkij. Jona Hohol M. b. Episkop Pińskij i Tu„rowskij, Archimandryt Supraslskij etc.“

Kto porówna akt przez nas przytoczony z podanym przez autora artykułu o Unii, pozna jak wiernie przełożył go z języka mało-ruskiego na polski. Dla czego tak postąpił? Niewiemy. Akt w języku mało-ruskim spisany przez Biskupów zgromadzonych na Synod Brzeski zawiera w sobie wzmiankę, iż duchowieństwu unickiemu Władysław król przyznał te same przywileje, jakie służyły duchowieństwu łacińskiemu, takich faktów pomijać się nie godzi dla tego jedynie, iż i dzisiejsi unici oburzają się przeciw temu twierdząc: że wszystko cokolwiek przyznane było przez królów duchowieństwu unickiemu, to szlachta i duchowieństwo łacińskie nie dopuścili, aby ono mogło z tego korzystać. W istocie przeczyć nie podobna owych nadużyć, ponieważ przeszłość głośno o tém mówi. Wielu z naszych rodaków ani księdza ani obrządku słowiańskiego nie szanowało, a zaś prawa służące temu duchowieństwu lekceważono. — Miała unia i królów i papieży za sobą. — Były prawa równości, lecz użycia ich przez tych, którym one były przyznane napotkać trudno. Znajdują się same nadużycia, i pewno, kiedy Ojciec śty szczęśliwie nam dzisiaj panujący Pius IX wyrzekł niedawnemi czasy do naszych rodaków: „*na Polakach ciążą trzy główne grzechy, prześladowanie unitów, rozwody i uciemiężanie poddanych*“. Byli wprawdzie senatorami polskimi biskupi uniccy jako to Ferdynand Dąbrowa Ciechanowski, ale czytaliśmy na jego portrecie w pałacu biskupa chełmskiego taki podpis: *pierwszy z biskupów unickich, senator polski*, i jego następca ś. p. Filip Felicyan Szumborski, lecz to nie za polskich czasów.

Sam autor na wielu miejscach swéj pracy mówi o przywilejach służących unitom, o przypuszczeniu ich do tejże saméj równości, jaka być powinna w kościele ka-

tolickim między duchowieństwem, ale niewykazuje czy to było w rzeczywistości. Długo nad tem rozwodzić się nie będziemy, wykażemy tylko datę i treść kilku wyroków kościoła, pomijając wszelkie w tym względzie postanowienia królewskie, z których każdy pozna, iż nasze twierdzenie nie jest urojone, bowiem mamy na to dekreta kościoła. Jeżeli tego wszystkiego nie było, czyżby były wydane, jak np. Dekret ś. kongregacyi *de Propaganda Fide w r. 1627 in palatio coram Sanctissimo de non prohibendis latinis facere confessiones coram Sacerdotibus Ruthenis, a suis Ordinariis approbatis*. Powtórzony dekret ś. kongregacyi *de Propaganda Fide coram Sanctissimo w r. 1627, prohibens ruthenis laicis aeque ac Ecclesiasticis transitum ad latinum ritum.* Dekret ś. kongregacyi Rytów w r. 1630 *de non habenda alia ratione inter Episcopos latinos et Ruthenos unitos, quam antiquitas eorum promotionis inter Parochos vero antiquitas eorum ecclesiis debitis.* Dwa dekreta ś. kongregacyi *de Propaganda Fide w r. 1630, de praecedentia cleri utriusque ritus.* Dekret Benedykta XIV z r. 1742: *de praecedentia inter clericos latinos et graecos.* Drugi dekret Benedykta XIV z r. 1744. *prohibens ruthenis transitum ex ritu graeco ad latinum*, Dekret ś. kongregacyi Jeneralnéj w roku 1676 *decernens percutientes clericos Ruthenos excomunicationem incurrere* i wiele innych, a wszystkie były wydane nie dla czego innego, jak tylko w skutek nadużycia jakiego się dopuszczano względem kleru unickiego. Czemuż autor tę stronę pominął? nie prowadzi to do zgody, i pracy jego w szlachetnym celu podjętéj wartości odejmuje.

Dziś wielu głośno zaczęło mówić o unii, czemu? jeżeli myślą że się Rosya nawróci, śmiało rzec możemy że to są marzenia nie mogące się zrealizować. Unija pozostała w kraju do téj pory, jest pod pewnym względem wyobrazicielką przeszłości naszéj, a więc ona tyl-

ko zasługuje abyśmy ją wszelkiemi siłami utrzymywali, i przy sposobności odnowili tam, gdzie niedawno w naszych prowincyach odpadła. Obowiązek mamy przez szacunek dla słowiańskiego obrządku Ojców naszych, o czem jeżeli historycy nie wspominają wyraźnie, rzecz bardzo prosta, gdyż pisać o prawdzie téj w swoich czasach, byłoby to wszystko jedno co dowodzić że są drzewa w lesie. Z tego co nam o tem obrządku podaje *Długosz ad annum 869, Martinus Polonus Archiepiscop. Gnesnen. in supputatione temporum i Kromer lib. 3*, nie odważylibyśmy się wnosić, gdybyśmy nie mieli coś więcéj z późniejszych czasów dość wyraźnie pokazującego w którym czasie ten obrządek w Polsce ostatecznie i zupełnie zamieniono, a to nam podają roczniki kościoła kontynuowane przez ks. Theinera w Rzymie w tych słowach: [9]).

„Stanislaus Carnkovius (tom III str. 345) archiepi-„scopus Gnesnensis. — Illustrissimo ac reverendissimo „Domino Domino Alberto Bolognetto, Episcopo Massa-„nensi, Legato Apostolico — Łovitii 6 Martii 1582 „scribit:

„Et quoniam id meum praecipuum fuit studium ut Ec-„clesiam Romanam, tamquam omnium aliarum ducem „et magistram, in omnibus sequeremur, ut quemadmo-„dum una cum illa fidem profitemur, *ita etiam concordi „labio juxta illius praescriptum Dominum Deum laudare-„mus, quod jam pridem fit opera mea in Ecclesia Vla-„dislaviensi, idem nunc quoque faciendum Gnesnae Ło-„viciique putavi, ut universum officium ritu Ecclesiae Ro-„manae decantetur.* Quamobrem Confessarium meum Gne-„snam misi, qui et Poenitentiarii onus illic sustineat,

---

[9]) Annales Ecclesiastici quos post Caesarem S. R. E. Card. Baronium. Odoricum Raynaldum ac Jacobum Laderchium ab anno 1572 ad nostra usque tempora continuat Augustinus Theiner T. III. Romae 1856.

„*et ritu Romano psallendi modum Sacerdotes illos doceat,*
„Daboque operam ut in reliquis meae Archidioecesis
„Ecclesiis idem primo quoque tempore fiat. Faxit Omni-
„potens et Maximus Deus ut omnes hujus regni Episco-
„pi *eam psallendi concordiam in ecclesia quisque sua*
„quamprimum suscipiant, foveant et conservent....“—
Otóż duchowieństwo łacińskie starało się zatrzeć ryt słowiański u nas wprowadzając łaciński. Pod tym rokiem znajduje się jeszcze w rocznikach przez ks. Theinera list Skargi pisany z Rygi (str. 339), kiedy Stefan Batory pierwszy raz przyjął Kommunię śtą pod jedną postacią, wiadomo jest bowiem iż król ten aż do czasu w którym Skarga list swój tryumfujący pisze, był obrządku katolicko-słowiańskiego, ile że i całe jego księstwo Siedmiogrodzkie w owym czasie zostawało w zjednoczeniu z kościołem katolickim. — Ale wróćmy do rzeczy.

Do koncylium Florenckiego widzieliśmy jednego tylko Fociusza metropolitę Kijowskiego utrzymującego schyzmę za panowania Bazylego Bazylewicza, zobaczymy teraz kiedy wzięła początek metropolija w Moskwie i jak długo trwała, a potem zapoznamy się bliżéj z historyą o Nikodemie Patryarsze moskiewskim, a mianowicie z jakich powodów i w jaki sposób zakończył się jego patryarchat.

Za Jana I. Kality, kiedy W. Książe Litewski Gedymin wtargnął na Ruś w r. 1319, opanował Wołyń, zabił panującego tam księcia Włodzimierza, posunął się daléj i Kijów zajął; odtąd więc Kijów poprzestał być stolicą książąt, bo Jan Kalita uląkłszy się Gedymina założył sobie siedzibę książęcą w Moskwie. Stolicę zaś metropolitalną pod tę porę zajmował Piotr, który późniéj został uznany przez Kościół za świętego, dwudziesty czwarty z porządku metropolita; ten więc czy wielkością miasta czy też pobożnością księcia ujęty, także

stolicę metropolitalną kijowską do Moskwy przeniósł, i wkrótce tam życie zakończył— około roku 1328. Trzech dalej widzimy metropolitów rezydujących w Moskwie i z Rzymem złączonych, jako to: Teognosta Greka, ś. Aleksego i ś. Cypryana, po tych metropolici wrócili nazad do Kijowa. Pierwszym na nowo w Kijowie został metropolitą Fociusz Grek w r. 1408; lecz gdy biskupi spostrzegli, że on stara się wprowadzać schyzmę, a przytem z wrodzonego sobie greckiego łakomstwa, ogołaca cerkwie ze wszelkich skarbów i wywozi do Grecyi, zwołali synod w Nowogródku (1415) na Litwie i w obecności księcia Aleksandra Witolda obwinionego słusznie o wiele zbrodni Focyusza od rządów metropolitalnych usunęli, a na jego miejsce na tymże synodzie jednozgodnie obrali metropolitą Grzegorza I. Bulgarczyka, który starał się wszelkiemi siłami nawracać oderwanych przez Fociusza kościołowi wiernych zachowując uniję ze Stolicą Apostolską, jak to pokazuje list jego pisany do zgromadzenia Ojców na koncylium Konstancyeńskie. Po Grzegorzu I. nastąpił znany już nam Izydor, a po nim Grzegórz II posłany przez Papieża Mikołaja V na metropolitę, dalej było pięciu unitów i gorliwych katolików, aż dopiero w r. 1520 spotykamy drugiego schyzmatyka wspomnionego wyżej Jonasza II metropolitę na stolicy kijowskiej.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, pokazuje iż Ruś, a szczególnie Polska [10]) całkowicie nie odpadła od jedności katolickiej, aż do synodu Florenckiego, powtarzając zawsze że schyzmatycy podżegani przez spodlonych Greków namowami i przekupstwem, odrywali pol-

---

[10]) W kilku miejscach położyłem *Ruś polska*, albo *Rusini unici polscy*, nie dla tego, żebym i Moskwę uważał za Ruś, lecz tylko trzymałem się podziału jaki daje bulla Piusa II. z roku 1458, o której było wyżej.

skich rusinów unitów kościołowi bez przestanku, odszczepieńcy zaś odnosili się we wszystkiem do patryarchy carogrodzkiego, ponieważ dotąd nie mieli swego metropolity ani w Kijowie ani w Moskwie; któryby był w stosunkach z Carogrodem.

Nareszcie powiemy o Nikonie, patryarsze Moskiewskim, który obraziwszy pisze autor (str. 579) wielkiego księcia i cara, był wtrącony do więzienia, poczem ustał jego patryarchat, a sprawy religijne wróciły do dawnego stanu. Na tem poprzestać nie możemy, trzeba nam dodać jeszcze, że kiedy Nikon myślał o patryarchacie i niezależności, tak silną przeciw Kościołowi katolickiemu pałał nienawiścią, że gdy odwiedzał jeńców polskich w więzieniu i ujrzał u jednego z nich książkę do nabożeństwa w której był obrazek ś. Jozafata męczennika, wyrwał go z niéj, a rzuciwszy na ziemię, nietylko że podeptał, ale jeszcze tysiącem bluźnierstw obrzucił świętego, za co też w téj saméj chwili ręką bożą ukarany został, bo tknięty paraliżem padł na ziemię prawie bez duszy i był odniesiony do pałacu, a gdy cokolwiek odzyskał przytomność, wyznał swój grzech i rozkazując przynieść zdeptany obrazek, w czasie odbywanéj przez kapelanów modlitwy błagalnéj przed tym obrazkiem Nikon ze łzami prosił o przebaczenie ś. Męczennika, a nim się modły skończyły natychmiast wyzdrowiał zupełnie, jakgdyby nigdy nie cierpiał. Kiedy więc Nikon stał się innym człowiekiem wyznającym świętą jedność, ażeby nie obcował z odszczepieńcami zamieszkał w odległym od miasta klasztorze, zwanym Jerozolimą. Po dwóch latach nieobecności proszony od ludu aby powrócił do miasta, uczynił to, lecz gdy wytknął wielkiemu księciu i jego przedniejszym, że prowadząc wojnę z Polakami, tem samem krew chrześcijańską przelewałby, rozkazano mu powtórnie oddalić się

do eremu. Po zamknięciu się Nikona w eremie lud przywiązany do pasterza żywo się o niego upominać począł, czem poruszony wielki książe, synod z greckich przybyszów i moskiewskich biskupów zwołał w r. 1664 na którym wniósł przeciwko Nikonowi swe oskarżenia, Nikon wszakże ufny w prawa swoje na synodzie nie stanął, złożywszy się słusznym powodem, że prałaci moskiewscy jako jego synowie duchowi, greccy zaś jako przekupieni pieniędzmi nie mają prawa go sądzić, że on tylko Papieża Rzymskiego, Ojca Ojców świętych i niezmazane sumienie uznaje nad sobą za jedyną władzę, — a gdy Synod Nikona ogłosił heretykiem, on rzucił na niego przekleństwo, czem i wielkiemu księciu zagroził, jeżeliby dłużéj trwał w swem przedsięwzięciu, — zaniechano dalszych sądów przeciw Nikonowi z obawy rozruchów pomiędzy ludem. W r. 1667, Aleksy Michałowicz sprowadził z ogromnym kosztem patryarchów Aleksandryjskiego Paiziusza i Antyocheńskiego Makarego, którzy Nikona powołującego się do Rzymskiego papieża, strącili ze stolicy Moskiewskiéj, skazując go na wygnanie do klasztoru nad Wołgą położonego, gdzie stały w poświęceniu się dla kościoła rzymskiego ostatnie dni życia zakończył. Poprawił był już Nikon księgi cerkiewne po swém nawróceniu się, które biskupi moskiewcy potwierdzili, lecz po skazaniu go na wygnanie, wielka część kleru tak świeckiego jako też i zakonnego odrzuciła te księgi ogłaszając je za błędne i licznemi fałszami zarażone. W tym to czasie wzięły początek liczne sekty, z których najpierwsza Filiponów (o czem i autor artykułu) i odtąd widzimy stanowczo oddzielną w Moskwie stolicę rządów odszczepionego jéj kościoła, która zatwardziałym uporem przedłuża się aż do téj pory, — a dawniéj nie było jéj ani w Kijowie ani w Moskwie stale utwierdzonéj. Taki opis o Nikonie pokazuje

rzecz, zdaje się wyraźnie, że skazany został na wygnanie nie zaś do więzienia.

O Teofanie Greku to cośmy odczytali w autorze mylne zupełnie co do osób i faktów przytoczonych, albowiem Teofan mieniący się być patryarchą (str. 582 i 583) nie za Hippacego Pocieja metropolity Kijowskiego, lecz po jego śmierci za Welamina Ruckiego pojawił się w Polsce. Niepokój wznowiony na Litwie przez schyzmatyków, o którym autor wzmiankuje *„iż Pociéj metropolita w Wilnie w czasie processyi utracił dwa palce*, a ś. Jozafat okrutnie zamordowany“ wydarzył się w r. 1609, nie mogli przeto należeć do tego Teofan ani Melecy Smotrzycki, który jak sam autor zeznaje na poprzedniéj stronnicy, odwiedzał jeszcze akademije zagraniczne i był tylko świeckim wówczas człowiekiem. Powyższe zdarzenie wynikło z tajemnego spisku schyzmatyków na życie metropolity unickiego Hippacego Pocieja i przekupiony zabójca chcąc ugodzić silnie pałaszem Pocieja w szyję gdy się ten ręką zasłonił odciął mu dwa palce, i laskę, którą się podpierał, pierścień z szafirem, łańcuch na szyi, dwie suknie i kolar przeciął, na ciele zaś znak tylko czerwony pozostał. Historya przeto Teofana Greka i Melecyusza Smotrzyckiego do późniejszych czasów należy, a tem samem i zamordowanie błogosławionego Jozafata, którego oni byli najgłówniejszymi nieprzyjaciołmi, co nastąpiło dopiero w roku 1623 dnia 12 listopada i nie w Wilnie jak powiada autor, lecz przy własnéj katedrze w Witebsku, któréj błogosławiony Jozafat także był biskupem.

Zakres tego artykułu nie dozwala nam wdawać się w obszerniejszy rozbiór rzeczy. W ogólnych jeszcze wyrazach powiemy o postanowieniach Synodu Brzeskiego, że według autora ustanowienie solennego obchodu Bożego Ciała miało także mieć miejsce na tym Synodzie.

Szkoda że się przynajmniéj nie poradził ksiąg cerkiewnych słowiańskich, za czasów unii w Poczajowie drukowanych do Synodu Zamojskiego i po Synodzie Zamojskim, zwłaszcza że w tych okolicach mieszka, a żydzi te książki zakupiwszy z drukarni bazyliańskich zabranych przez schyzmatyków, mają je tam do dziś dnia podostatkiem i prowadzą niemi handel do Galicyi i królestwa kongresowego. Z pierwszych byłby się dowiedział, że unici obchodzili Boże Ciało razem z Wieczerzą Pańską w wielki Czwartek, a z drugich że na Synodzie Zamojskim dopiero zostało zadecydowane postanowienie uroczystego obchodu święta Bożego Ciała, z przypisaniem do tego stósownego nabożeństwa (służby) i przeznaczono dzień na ten obchód Czwartek w drugim tygodniu po Zielonych Świątkach. Nakoniec nadmienimy o ś. Jozafacie, którego autor widzi do dziś w Połocku, że ciało jego już od dawna znajduje się w Białéj Radziwiłłowskiéj na Podlasiu i myśmy je tam na własne oczy oglądali. Jest nawet bulla papiezka za Piusa VI wydana w r. 1780, aby ciało ś. męczennika było trzymane w zamknięciu pod dwoma kluczami; jeden ma być w ręku jenerała zakonu ś. Bazylego, a drugi u przełożonego Bialskiego klasztoru OO. księży Bazylianów.

Trzy prace tego autora, jeżeli się nie mylimy, dotąd odczytywaliśmy. Pierwszą w kraju a był to opis o *Matce Boskiéj Częstochowskiéj i Podróże po kraju.* W tych ostatnich mamy o *missyi Hrubieszowskiéj i o Biskupie Chełmskim ś. p. Filipie Felicyanie Szumborskim*, wymyślone podanie. Mieliśmy szczęście znać osobiście i bliżéj może, niżli autor tego biskupa, — byliśmy obecni w r. 1846 przez cały ciąg missyi w Hrubieszowie i wiemy jéj cel dokładnie, a prócz tego znamy ks. Feliksa Gruszczyńskiego, za którego się ona odbywała. Rzecz tę widzimy podaną publiczności z samego posłuchu. —

Druga praca autora *Unija w Polsce*. Trzecia nakoniec o *Bazylianach w Humanıu*. I o téj znalazłoby się cokolwiek do powiedzenia, i co też sobie na inny raz zastrzegamy. Ostatnia praca o Bazylianach pokazała nam jakiéj się autor w unii głównie trzyma strony, a tą są Bazylianie. Nie można ztąd wnosić, aby autor był tego zdania, jakie utrzymują niektórzy, tj: aby pomiędzy duchowieństwem unickiem żonatem, nie urosła pewna kasta (urojona), któréj się należy lękać. Kościołowi sąd podobny zostawić wypada, a zwłaszcza że kościół żonate duchowieństwo unickie stawia na tejże saméj stopie co i łacińskie, o czem w bulli *de praecedentia cleri utriusque ritus*. Wniosek ten drażni bardziéj już i tak odstręczonych od nas unitów, zkąd mogą wyniknąć najsmutniejsze następstwa w przyszłości. Z naszej strony przy szczerem pragnieniu podniesienia się bazylianów, życzymy sobie zarazem, ażeby kler świecki unicki mógł być liczniejszy w celibacie.

Jakkolwiekbądź praca autora o Unii wydaje się nam być więcéj zadaniem do wyjaśnienia niż samem wyjaśnieniem, zawszeż przyznać musimy, że jest przedsięwzięta dla dobréj sprawy, bo dla religii i ojczyzny. Jeżeliśmy odsłonili nie jedno, co autor przemilczał, albo na co się z nim zgodzić nie możemy, to zawsze cały ciąg przedmiotu pokazuje najszczersze jego chęci, — czujemy więc szacunek dla osoby, a zwłaszcza dla takiéj, jaką nam opis historyczny Unii w Polsce pokazuje, która pała gorącą miłością religii, ojczyzny i wszystkiego co człowieka uszlachetnia. Do tego uszlachetnienia posłużyć może praca autora, która pokazuje widocznie, że trzeba myśleć o sobie, pracować nad sobą, ażebyśmy poznali uniję, która zapewne słuszną jest w oczach tych, którzy rozumem i sercem pojęli ducha kościoła. Do niej inaczéj przyjść nie możemy, jak tylko

przez powolność która prowadzi do jedności i zgody, lecz przedewszystkiem przebaczenie sobie uraz, tak ze strony Polaków jako też Rusinów braci rodzonych w Polsce, gdy to uskutecznimy, osiągniemy cel i szczęście pożądane, — uniję trwałą, wieczną, korzystną dla kraju z dobrą zasługą na wieczność.

Józef Mosiewicz.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

VII.

O JASKÓŁKACH.

W letniéj porze, gdzie człowiek, tam i jaskółki, one są pociechą błądzącego, one są wskazówką dla żeglarzy, one ich nadzieją, że stały ląd nie daleko! Ileż to opisów podróży morskich mieści w sobie rozczulające obrazy po widoku pierwszych jaskółek! W nowem dziele o podróży Krzysztofa Kolumba przez p. Roselly de Lorgues 1857 jest opis wrażenia jakie wywarła jaskółka na całą osadę okrętową tego uczonego męża: od znakomitego geografa do posługacza i chłopca wszyscy w łzach tonęli, a potem zgiąwszy kolana korzyli się w dziękczynnéj modlitwie przed wszechmocnym Panem świata, bo już wtedy żaden o bliskich brzegach Europy

nie wątpił. Ten rozczulający obraz, tę modlitwę, to jaskółka sprowadziła, jak sprowadza tyle myśli u ludzi czucia i serca: myśli rozrzewnienia, pokory i podziwienia, jak sprowadza zawsze zastanowienie nad ogromem mądrości która stworzyła i prowadzi przyrodę całą w ogólności, a każdą ptaszynę, każdego robaczka w szczególności, i przez całe ich życie! Czy my ją możemy nie kochać, gdy pomyślimy co za dobrodziejstwa ona nam świadczy, że ona nam wiosnę a z tą uroczą porą i łaskę Boga z Jego dobrodziejstwami sprowadza, gdy rozum nasz badawczy zgłębi jéj życie i pozna tę organizacyą tak mądrą tego licznego zawsze towarzystwa, organizacyą opartą na miłości i pomocy wzajemnéj, a gdy nareszcie widząc tę urzeczywistnioną wolność w tém lotnem żyjątku, które wszędzie ma pożywienie, wszędzie umieszczenie, a przecież garnie się do człowieka, bawi go, uwalnia od owadów, a przytem mu ustawicznie nuci harmonijnym śpiewem, zawsze go przyjemnie zatrudnia, powiedzcież szczerze, czy jaskółka nie znajdzie drogi prowadzącéj do serca waszego? Nie prawdaż, wy niepozwolicie już niemieckim klucznicom i kucharkom wybijać gniazda ich na strychach waszych; przebaczycie jaskółce że czasem *i to pewnie przypadkiem upuści essik* na wasze mąki, krupy lub słoniny, bądźcie pewni że ona stokrotnie ten nieporządek zapłaci, łowiąc wołki, muchy, żuczki szkodliwe, ich jaja, robaczki i poczwarki.

W opisach marynarzy nie raz zdarzyło mi się czytać zajmującym stylem skreślone wrażenia, jakie sprowadza gromada zmęczonych jaskółek, która siada na masztach okrętu. Z początku radość wielka, lecz to złudzenie krótko-trwałe, bo każdy z nich wie dobrze iż jest na wielkim oceanie między niebem a falami morza, daleko od matki ziemi, daleko od bliźnich: po ukończonéj służbie najprostsi majtkowie, daléj załoga, oficero-

wie i nareszcie kapitan sam, wszyscy tak uczeni, jak prostaczkowie, siadają lub stoją bez ruchu, każdy spojrzy na te towarzyszki życia naszego lata, zachmurzy czoło, zaduma się i zasępi, myśl pędzi w przeciwnym kierunku statku, sięga pod strzechę rodzinną, dotyka braci, sióstr, starego ojca i zgrzybiałą od starości matkę, młodzieży serce mięknie, bo któż z tych wszystkich odważnych młodzieńców nie zostawił na stałym lądzie czułe — dla niego bijące serce, nie opuścił sympatycznej istoty, która go łzawem okiem żegnała i błagała o powrót, bo ich życie miało być nierozdzielne! Widzicie czytelnicy moi cała załoga rozczulona, a wiecie że rozczulenie zawsze duszę do Boga podnosi, wiecie że rozczulenie odwraca od grzechu, sprowadza szlachetne uczucie, jest zawsze bodźcem do dziękczynnéj modlitwy. To dobre co opisałem, to jaskółeczka corocznie wszędzie i kilkakrotnie sprowadza, czy ją jeszcze nie będziecie kochać? nie będziecie bronić przed ludźmi postępu źle zrozumiałego, przed ludźmi bez uczucia a chciwemi? Jeżeli jeszcze niewzbudziłem dla niéj czułéj pamięci, to ją daléj chwalić będę, abyście pojęli że Polska w lecie bez jaskółek jeszcze by smutniejszą była!

Ileż to razy na mych wycieczkach w Alpy, Tatry i Karpaty już do domu zatęskniłem, ileż razy nie pewny méj drogi wachającemi krokami zmęczenie powiększałem, i błądząc przeklinałem ornitologią i jéj następstwa; ileż razy ty miła jaskółeczko błysnęłaś mi białym twym brzuszkiem, a świergotając wesoło, mnie pocieszałaś,— kiedy ty tu, to i ludzie i ich mieszkanie nie daleko i zawsze tak było, ty mnie nigdy nie zawiodłaś luba towarzyszko, a pamiętasz, lecz cóż ja piszę, ty pewnie twój żywot już zakończyłaś, bo to już mnogo lat upłynęło, ty już spokojna, kresu twego dobiegłaś, bo twoje życie czynniejsze jak moje, ty już wynadgrodzoną jesteś; czynność tak wielka jak twoja z tym ustawicznym

ośpiechem, niedozwoli podeszłéj starości, ty za wiele i za czule kochasz, za wiele i za często rodzisz, abyś długo na tym świecie żyć mogła, lecz ty masz pamięć, bystry rozum, ty pewnie dziatkom opowiedziałaś a dziatki wnukom tę noc pamiętną burzy i ulewy na skałach naszéj polskiéj Szwajcaryi w Ojcowie, ten dzień gniewu bożego, pełny Jego słów grzmiących, którego ja nigdy nie zapomnę, a ty méj pamięci jeszcze dziś wiele dopomagasz, ja wtedy poznałem twój poczciwy pociąg do człowieka, twe czułe serce i przywiązanie do dziatek.

Było to ku końcu maja jak się spinałem po skałach za gniazdami drozdów skalnych (*Turdus saxatilis*) bo jaja ich w naszym kraju nieznane były. O to mi chodziło aby dokładnie opisać cały proceder lęgu, a ja jeszcze wtedy byłem ambitnym chwały odkryć, wtedy jeszcze cieszyłem się gdy mnogie odkrycia do czasopism niemieckich podawać mogłem, zawstydzać tych głębokich uczonych, wywodzących swą naukę od arki Noego, którzy badając przyrodę w zakurzonym gabinecie, ślęczą nad żyjątkami wypchanemi lub po słojach pływającemi nalanych spirytusem, którym oczy nad księgami wyciekły, a którzy przyrody nieznają lecz i ja byłem młodym i ja pragnąłem aby to *mihi* po książkach drukowane było, a gdy tego dokonałem, gdy czytałem *Luscinioides Wodzickiensis* w katalogu ptaków europejskich, poznałem że dla ludzi nie warto badać przyrody, lecz to do rzeczy nie należy a zatem opowiadajmy daléj.

Spinając się po skałach, szarpiąc suknie na łomach kamieni, i sterczących odłomkach, piąłem się do góry do moich drozdów, naturalnie zapomniałem o wszystkiem, a wzrok miałem utopiony w tę parkę ciekawą do badania; światło pomału znikać zaczęło, bo niebo srogim marsem się pokryło, huk daleki jak podziemny,

gdy ma nastąpić wybuch Wezuwiusza słyszeć się dawał, a ja z wlepionem okiem w samca, który na swéj skalnéj wysokości bezpiecznym się czuł i na mnie wcale niezważał, nucił fletowy romansik swéj ulubionéj samiczce, siedzącéj na jajach, piąłem się ciągle raczkując do góry i podpierając się strzelbą, aż tu straszliwy wicher zaczyna łamać drzewa, toczyć kamienie, ogniste zygzaki powietrze przerzynają, wybierając sobie najwyższe drzewa lub sterczące szpice skał za cel ostateczny, rzadkie krople lodowatego deszczu padać zaczynały, coraz gęściéj na mój ubiór letni, aż nareszcie lunął deszcz jak w potopie, istne wodne pręciki zaczynające się w chmurach a końcem sięgające ziemi. Ocucony tą zimną kąpielą, spojrzałem w górę i zobaczyłem małą lecz dosyć wysoką grotę zakrytą wielkim kamieniem. Dziękując Bogu dodrapałem się do środka i otrzepując krople deszczu szukałem schronienia. Ledwie usiadłem, a tu wlatują dwie jaskółki dymówki, pędem strzały, gorzéj zmoczone jak ja, usiadły blisko siebie na skale naprzeciw mnie, popatrzyły, zaświergotały na pozdrowienie i w cichości muskały pierze. Po godzinie gdy dobrze wyschły zaczęły sobie nademną łowić muszki i pająki. Oczywiście była to parka małżonków od gniazda, ulewą zapędzona do groty. Zaczęły z sobą rozmowę z początku cichą, późniéj coraz głośniéj, nareszcie świergocząc jedna wyleciała, niebawem powróciła zmoczona pokazując towarzyszce skutki téj wycieczki; druga jak mi się zdaje samiczka niecierpliwa a niespokojna o gniazdo, po chwili wyleciała, a samiec już w zapale swoim usłużnym, dostatecznie ostudzony smutnie za nią patrzał w nasz otwór, a gdy znowu wlatywała on zaszczebiotał ona mu odpowiedziała, monotonnie powtórzyły tę samą nutę, samiczka wysuszyła pierze, przytuliły się do siebie, była to 6ta wieczór i zadrzymały swe troski. Była to rozmowa którą by był każdy zro-

zumiał. Wleciawszy pozdrowiły mnie, potem narzekały na słotę, ona mu się skarżyła tęskniąc za gniazdem, on ją reflektował że w ten deszcz dolecieć nie można i że zginą, ona swoje on swoje nareszcie go na świat wypędziła, a gdy biedak zmoczony wrócił, zaśpiewała mu, popieściła go i znowu po chwili napiera się swego; już za dużo mężowi było odpalił panią i naturalnie dąsać się zaczął, ona chcąc na swojem postawić sama wyleciała na przekonanie, małżonek smętnie za nią pociągnął wzrokiem żałując ten upór, który samiczka nazywała charakterem i wytrwałością, a gdy powróciła w opłakanym stanie nie wyśmiał jéj, lecz przebaczył popieścił i razem na pociechę poszli sobie spać. Długo myśląc nad tą parką i ja ogrzawszy się nieco zasnąłem tak szczęśliwie, że przy wschodzie słońca wesołe świegotanie jaskółek mnie przebudziło; one dla mnie tylko zaświegotały, gdyż jak tylko na nie popatrzałem trzepocząc skrzydełkami zaśpiewały mi *adio amico* i w świat ruszyły swym szybkim lotem.

Powiedzcież sami czy to nie ludzki epizod? Czy nie każdy z was już nie był w tem położeniu? walczyć z wolą kobiety *bronią doświadczenia i rozsądku przeciw uporowi z całym swym czułym, kapryśnym i estetycznym orszakiem?*

Z wszystkich dokładnie mi znanych ptaków jaskółki i sikory szczególniéj *łączy solidarność miłosierna* w niesieniu pomocy do wychowania obcych piskląt: i tak młode jaskółki z pierwszego gniazda nie mające w tym lecie innych obowiązków jak pożywienia szukać, igrać w powietrzu i nucić chwałę Bożą nieharmonijnym jeszcze głosem, to jaskółki jak gdyby się wprawiać i przygotowywać chciały do przyszłych obowiązków ojców, pożywienie innym pisklętom; tak samo robią, widząc z drugiego zniesienia spóźnione ptaszyny, którym rodzice z przyczyny już chłodnego powietrza, dostatecz-

nego pożywienia dostarczyć nie mogą; więc instynktowe uczucie litości pobudza do potrojenia pracy i zabiegów, śpieszą się aby przed terminem podróży i te pokrewnione towarzyszki wyprowadzić z gniazda i zabrać z sobą w podróż. Rozczulający to widok, gdy kilka lub kilkanaście jaskółek ku jednemu gniazdu nadlatuje i każda w dzióbku muszkę lub robaczka niesie, trzepocze skrzydełkami, zawabi jak gdyby powiedziała: „spiesz się dziecię, bo ja czasu nie mam,“ — i znów druga i trzecia, a pisklęta tłuste jak kluski cierkają otwierając dzióbki zdziwione tą niespodziewaną obfitością pokarmu, rosną śpiesznie jak baby na drożdżach; nareszcie rodzice drugie rodzeństwo wyprowadzają na świat i jak zawsze, scena się odbywa na dachu. Tam jak przy gnieździe miłosierne jaskółki o swych adoptowanych dzieciach niezapominają, donoszą im żer, zachęcają do lotu i tak się niemi opiekują że po kilku dniach już młode ptaszyny hurmą latają. Gdyby nie ta czuła litość, i większa ilość samców jak samiczek w gromadzie ptaków, które nie żyjąc w tym roku w małżeństwie, poświęcają się po krewnionym a w kłopotach zostającym, z całą miłością jaka charakteryzuje moje lube żyjątka, jakże by sikorki mogły dwóchkrotną dziatwę jednego roku na świat wyprowadzić!

Trzeba wam wiedzieć łaskawi czytelnicy, że Bóg w swem dla nas miłosierdziu tak w przyrodzie żrządził, że co nam najpożyteczniejsze to się najliczniéj mnoży, więc w swym ogromie łask dla ludzkości a szczególniéj dla wieśniaków nakazał sikorkom aby znosiły po 15 do 17 jajek, dwa lub trzy razy do roku się mnożyły i tym sposobem zdziałał że jedna parka tych drobnych ptasząt wydaje na świat w jednym lesie 30 do 40 pożytecznych sikorek, które nie opuszczając nas jak inne owadożerne ptaki, dni 364 zbierają robaczki, muchy, larwy i poczwarki, a gdy sroga zima nadchodzi,

rodziny się kupią razem i dobroczynnemi marszami przeciągają po sadach, ogrodach, gajach i lasach skrzętnie zbierając po gałęziach i w korach drzew zniesione jajka owadów i motyli i tym sześciomiesięcznem polowaniem pełnem poświęcenia dla nas, wzbraniają wykłuciu się gąsienic, które bez tych naszych pracowitych ptaszków pomnożyłyby się do nieskończoności i nie zostawiłyby jednego listka na drzewie. Tak to nasz sikorki o których może wam kiedyś zapisek poszlę, są to opiekunki naszych krzewów i owocowych drzew. Sikorki dzielimy na leśne i trzcinne, pierwszych jest siedm gatunków, drugich zaś dwa, pierwsze gdy tylko śnieg zginie wyszukują sobie przeszłorocznie dziupła w pniach drzew lub gałęziach, wyczyszczają je schludnie, i zaraz znoszą tę wielką ilość jaj, która zdaje się badaczowi, iż niemoże się w tym małym brzuszku pomieścić, a cóż dopiero gdy pomyślimy, że wszystkie muszą być równym cieplikiem ogrzane, który znowu tylko od małego brzuszka matki pochodzi; więc czasem i kochający ojciec się poświęca, głód cierpi, oboje biedują, w nocy wspólnie wysiadują i to poświęcenie nareszcie dobrym skutkiem uwieńczone. Zdarza się wprawdzie, że tu i owdzie w gnieździe zostanie jedno lub kilka jajek niewysiedzianych i zepsutych, lecz zawsze to olbrzymie dzieło wysiedzieć 15 do 17 sikorek. Wszakże to poświęcenie jest niczem w porównaniu tego, które kochającą parkę czeka późniéj, gdy ta gawiedź ustawicznie o pożywienie piszczy; krzątają się rodzice jak mogą, lecz nastarczyć niepodobna; lecą na wszystkie strony głosić swe kłopoty, żalą się sąsiadkom; skarżą przed krewnymi, że przyjdzie zagłodzić ukochane dziatki, sąsiednie parki w podobnym ambarasie, zamiast pomocy, równie obarczone liczną dziatwą jeremiady świstają narzekając na ciężkie czasy, *aż nareszcie bezżenny* samiec ofiaruje swe usługi i pełen poświęcenia żywi obce pi

sklęta. Nieuśmiechajcie się czytelnicy myśląc może, że ten samiec pała jakim afektem do matki téj rodziny, lub co gorsza że się może w części przyczynił do tych 15 jajek, a pfe! nie rzucajcie téj hańby na tę matkę wzorową ani też na tę zacną żonę, która życie trawi na poświęceniu dla męża i dziatek. Sikorka to rodna ptaszyna, nie ma w życiu ani chwilki czasu do zgubnych marzeń lub swawolnych myśli, to cnotliwa samiczka, kocha męża, z nim przykładnie żyje, nigdy od obowiązków się nie odsuwa, pokorna i posłuszna, rodzi ogromnie, sama zawsze karmi, dzieci w świat wprowadza, znowu rodzi, znowu karmi, a często wypadnie i trzeci raz to poświęcenie w jednym lecie wypełnić; pije ten ogromny kielich goryczy, bo na dnie jego jest nagroda w wypełnieniu swych obowiązków. Ależ bo jakże odmówić takiemu samczykowi, który tkliwie kocha, silny, zdrów i pełen poświęcenia opiekun, ojciec i kochanek, to by było kaprysem niedodarowania, *a ptaki kaprysów niemiewają*. Często więc obcy samiec, czasem i dwóch przyczynia się w noszeniu żeru dla téj licznej i zgłodniałéj rodziny i tym sposobem jest im dana możność wypełnić ich przeznaczenie. *) Wybaczcie ten ustęp nienależący do méj historyi o jaskółkach, lecz to podobieństwo w poświęceniu wprowadziło mi w pamięć, kilka zdarzeń, które mnie rozczuliły i nigdy tych scen sikorek niezapomnę.

Mój zacny i uczony przyjaciel Doktor Thienemann mieszkający pod Dreznem, tyle zasłużony badacz ornitolog miał z jaskółkami ciekawe zdarzenie, które tu umieścić

*) To samo poświęcenie widzimy w kuropatwach (*Perdix cinerea*). Zdarzało mi się nieraz widzieć dwóch samców przy tem samem gnieździe, w którem było dużo jaj zdaje mi się nawet, że mogę twierdzić, iż przybrany opiekun posuwa poświęcenie do tego stopnia, że gdy prawy małżonek idzie za żerem, on go w wysiadywaniu wyręcza i to pewnie bezinteresownie. bo jaja już zniesione.

muszę zdaje się że was zająć powinno, bo dowodzi w jaskółkach wykształcone uczucie, pamięć i przywiązanie; z drugiéj strony ujrzycie szkicę tego autora pełnego poświęcenia dla ornitologii. W połowie czerwca roku 1841 szczęśliwie wywiodła parka jaskółek dymówek pięcioro piskląt i wyprowadziła na świat, lecz chociaż to było w Saksonii i w miesiącu czerwcu, wilgotne zimno dokuczało wszystkim żyjątkom. Posiadały jaskółczęta szeregiem na gałęzi przed domem stojącéj akacyi i w smutnem usposobieniu czekały na żer, który rodzice mieli przynosić; mijały godziny a rodzice mimo *nadjaskółczych* wysileń nie mogli złowić owadów które przed słotą się były pochowały, głód i zimno już tak zniszczył na gałęzi siedzące pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nie żywe, a drugie żałośnie piszcząc o pomoc, opuszczały skrzydełka a z napuszonem pierzem trzęsły się wszystkie.

Miłosierny mój kolega widząc to srogie nieszczęście, które całą rodzinę już ogarnąć miało, otwiera okno najbliższe siedzących biedaczek i puszcza im złowione w pokoju muchy; jaskułki chciwie chwytają ulatujące owady, a uczony badacz zapomniawszy o książkach manuskryptach i preparatach z dziećmi łapie muchy po kuchni, szpiżarni i pokojach poddając je jaskółkom. Ptaszyny poznały to dobrodziejstwo odwróciły się wszystkie, chciwie patrząc na okno i gdy tylko ręka jego się pokazywała już posilone trzepotały radośnie, a rodzice okrążając to miejsce wdzięcznie nucili jak gdyby dobroczyńcy dziękowali już nie myśląc, o szukaniu żeru dla swych dzieci. Tym sposobem uratował z nich cztery pozostające ptaszyny, a gdy słonko zaświeciło, poleciały w świat jaskółki z rodzicami. — Dobrze sobie całe lato to okno pamiętały i codziennie wlatywały gdy im otworzono, wyłapywały wszystkie muchy i znowu odlatywały, zawsze pierwej na gzymsach śpiewkę wy-

nuciły. Nadszedł termin odlotu, więc powędrowały jak i inne, lecz następnéj wiosny ranku pewnego, trzepocze jaskółka przed oknem domagając się wpuszczenia, a gdy otworzono, wleciała okrążyła pokój cały siadła na ulubionem miejscu i zaczęłą nucić wesołą pieśń przybycia. Wlatywała nawet przez otwartą szybkę jednę i gdy wieczór o lokatorce zapomniano, wybrała sobie miejsce do spania na szafie. Pierwszych dni, gdy świece wnoszono bardzo się płoszyła i latając o ściany się tłukła, później zaś i do tej innowacyi się przyzwyczaiła i wcale się tym sztucznem słońcem nie raziła. Po tygodniu przyprowadziła drugą, która po wielkich ceremoniach nareszcie do pokoju wprowadzoną została i skromnie przy towarzyszce usiadła garnąc się pod jéj opiekuńcze skrzydła. Nastąpiły słoty zimne, jaskółki w ciepłym pokoju instalowane dostawały, muchy, ćmy i motyle; jak tych zabrakło, więc pająki i larwy mrówek; dzika przybyszka porównawszy to życie z tem co towarzyszki na zimnem powietrzu używały, oswoiła się i z ręki pożywienie przyjmowała i już każdej nocy razem na szafce sypiały. Z tej czułej poufałości na téj szafce, wywiązał się afekt, bo nie długo trzeba było pomyśleć o gniazdeczku, a tu jak na złość ściany tapetami obite, a drzewo gładkie bo olejno pomalowane, nigdzie więc bryłki błota przylepić nie można; radzi więc miłośna parka, próbuje wszędzie, znosi lipkie błoto, lecz te wszystkie usiłowania do niczego nieprowadzą, co przylepią bryłkę pierwszą i lecą po drugą, wróciwszy widzą ją na ziemi, więc już niema ratunku; trzeba opuścić gościnny dach, smutnie nucąc siadają na szafie, spoglądają na swego dobrodzieja, czy też on niema dla nich ratunku? Przeczuwały lube ptaszyny, że badacz miłujący naturę wykształca coraz więcéj pojęcie jej potrzeb, odkrywa codzień tajemnice i nareszcie jest z tą przyrodą ściśle związany węzłem czułym a rozumnym

węzłem opartym na doświadczeniu. Thienemann jest z tych rzadkich kapłanów przyrody, który ją sercem przez całe życie miłował a rozumem wciskał się do najgłębszych jéj tajników; umiał więc i tej biedzie zaradzić i poszedłszy do stajni odłupał opuszczone gniazda przeszłoroczne, przybił kilka na desce i postawił na szafie. Jaskułki się zaraz do reparacyi i dalszéj budowy wzięły i skrzętnie budowały dzień cały i byłyby pewnie ukończyły, żeby nie nowa przeszkoda. Deszcz z wichrem trwający dni kilka przymusił mieszkańców do zamykania okien, więc z jednéj strony zimno takie, że na dwór lecieć nie można z drugiej strony przy najlepszéj ochocie otworu nie było; markocą się moje ptaszyny, bo rzeczywiście już jajka samiczce ciężyć zaczynają i może się zdarzyć niepospolity skandal zgubienia legalnego jaja, gdzie na szafie lub gzymsie; i temu troskliwy badacz zaradził postawiwszy miskę z gliną i wodą rozrobioną, jaskółki zaraz przyjęły podany materyał, wykończyły gniazdo, a z pierzyn niemieckich w powietrze puszczane piórka i chwytane chciwie posłużyły na wysłanie środka i niebawem samiczka rozsiedziała się na 5ciu jajeczkach. Samiec rozkosznie nucił swe szczęście, rano budził śpiewem swego dobroczyńcę a pukając w okno prosił o wypuszczenie. Dziwnie ta ptaszyna się przywiązała, na spacerach towarzyszyła mu, gdy były nie bardzo oddalone, lub też wtedy leciała spostrzegłszy swego pana na przeciw niemu wołając *diwit witwit*, okrążała go kilkakrotnie i różnemi ruchami i i ewolucyami powietrznemi okazywała swe do niego przywiązanie. Często po winnicach i gęstwinach krył się Thienemann a jaskółeczka tak długo szukała, aż nareszcie go odszukała i wabiąc mu mówiła: *już wiem gdzie jesteś*. W pewnych naznaczonych dniach mając urzędowanie w mieście chodził mój badacz do Drezna-zadaleko jaskółce było lecieć z nim, więc go odprowa,

działa kawałek drogi, pozdrowiła i wracała do swego gniazda, godzinę powrotu zaś doskonale pamiętała i zawsze ją na tem samem miejscu spotykał słysząc już zdaleka *wit wit*, a gdy czasem zamyślany niezważał na pieszczotliwe ruchy tej przywiązanéj ptaszyny, wtedy nad samą głową trzepotała, okrążała go kilkakrotnie i dopiero, gdy na nią zawołał uspokoiła się i naprzód leciała do pokoju, a tam zasiadłszy na ulubionem miejscu głośnym śpiewem przyjmowała swego pana. Innych dni pracował w ogrodzie lub w winnicy bo mój kolega i botanik i pomolog, gdy jaskółka opieką dzieci i żony nie była zatrudnioną, przylatywała do niego i usiadłszy blisko nuciła mu rozrywkę; nawet wśród licznych towarzyszek nad wodą lub pod obłokami jak ją zawołał, opuszczała wszystko, przyleciała do niego a okrążywszy kilka razy pozdrowiła go i dalej bujać poleciała. Nareszcie zasłabł uczony badacz i musiał się do łóżka położyć, doktor kazał zamknąć okno, więc zamknęli, a tu jaskółki miały młode, chory więc nie mogąc swe towarzyszki narazić na niebezpieczeństwo kazał mały otwór wyrżnąć w szybie i tą nawet małą dziurką wlatywały i wylatywały jaskółki jak gdyby tę konieczność niewygody były zrozumiały; wychowały pisklęta szczęśliwie, drugi raz niezniósłszy jajek, kilka tygodni wprawiały je do lotu, a gdy termin nadszedł powędrowały z drugiemi.

Trzeciego roku ku końcu kwietnia słyszy znowu znane mu *witwit* głośno powtarzane, spojrzał w górę i spostrzegł luźną churmę jaskółek, zawołał i w téj chwili pędem strzały spuściła się przywiązana ptaszyna ku niemu dając dowody swej uciechy i pamięci. Tu człowiek pełen czucia tęsknił za swą jaskółką przez długie zimowe miesiące, ona w czasie wędrówki po Azyi i Afryce niezapomniała swego dobroczyńcy, powitali się oboje, on piechotą ona na skrzydłach pośpieszyli do do-

mu, okno zostało otwarte, jaskółka każdy kącik obleciała, na wybranem miejscu usiadła i długo nuciła swe pieśni dowodząc, że nic niezapomniała, i że tego roku niemal rozkoszniejsza jak innych lat, potrafi rozerwać i wywdzięczyć się znowu za przyjacielską opiekę. Sroga to była ta wiosna roku 1843, zimna, wietrzna i mokra zniszczyła krocie ptasząc na wędrówce będących, zdaje się, że i nasza jaskółka straciła żonkę w niebezpiecznéj do nas pielgrzymce, bo dnie i tygodnie uganiała za jaskółkami, robiła dalekie wycieczki, na noc wracała do swego pokoiku, lecz zawsze sama i sama, nie mógł ten wdowiec zdobyć żonki na to lato, a jak sobie wprowadził którą przez okno, pokazał gniazdeczko, pieszczotami zapraszał, nucił miłośnie to zaraz spłoszona ulatywała i już wrócić niechciała, raziło każdą wstydliwą samiczkę słać łoże małżeńskie nad łóżkiem człowieka, więc uciekała, on za nią gonił, prosił, śpiewał, gracyą lotu zdobyć ją chciał — nic niepomogło, żadna niechciała słać gniazda w pokoju i zależeć w swoich ruchach od człowieka, wolność przekładała nad wszystko, i nasz biedny samiec spędził lato w bezżenności, ciesząc się wyłącznie przywiązaniem swego dobroczyńcy i przyjaciela, podwojonym brakiem obowiązków dla rodziny i gniazda, ile więc tylko czasu miał wolnego tyle go poświęcał przyjaźni, śpiewał dużo, odbywał długie spacery a będąc częściej razem, znajomość stawała się coraz czulszą, przywiązanie coraz większe. Gdy ku jesieni jaskółki się gromadzić zaczynały, nasz wdowiec codzień się z niemi łączył, codzień wprawę lotu odbywał, często nawet noc za domem przepędzał, aż nareszcie jednego dnia przyleciał nad wieczorem zawabił jak gdyby chciał na siebie uwagę zwrócić, potem śpiewał głośno, śpiewał długo, a śpiewał smutno siedząc na tem samem miejscu, a gdy słońce chyliło się ku zachodowi okrążył Thienemanna, wyleciał

przez okno niecierpliwy samczyk i powędrował w dalekie kraje.

Roku 1844 na wiosnę puka do okna jaskółka, wabi i trzepocząc daje dowody swéj radości. Zaiste z rozczuleniem słuchałem opowiadanie tej sceny i gdybym całe czucie mógł wlać w me pióro, pewnie i wam bym wzruszenie sprowadził; cała bowiem rodzina do płaczu poruszona zbiegła się do sypialni słuchać śpiewu tej wdzięcznéj i kochającéj ptaszyny; każdy podziwiał tę pamięć serca w drobnem i na oko tak lekkomyślnem żyjątku, które czwarty rok zmiany niedoznało i mimo miłości do męża, przywiązania do dziatek, ciężkich obowiązków lęgu i wędrówki, mimo że sześć miesięcy żyła między czarnemi lub miedzianemi ludźmi, niezapomniała, że pewien Saxończyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł, że jéj ze swéj opieki niewypuścił, przez cztery lata dawała więc niezaprzeczone dowody rzadkiéj pamięci, czułego przywiązania i trwałej wdzięczności; — zaiste może nam służyć za przykład do naśladowania, bo w ludzkości — wdzięczność, ta córa czystych kochających serc, coraz rzadsza między nami, płoszy ją chciwość owładająca wszystkie umysły.

Ten przykład potwierdza me zdanie, że w ptakach jak w ludziach indywidualności w tej saméj rodzinie są różne; potwierdza dalej, że ptaki mają instynkt, który więcéj lub mniej wykształcają, lecz że rozum, czucie, pamięć w tym samym rodzie w jednych wygórowane w drugich mierne, w trzecich wcale nieistniejące, i to ostatnie li instynktem, tą od Stwórcy daną im busolą w życiu się kierują. Są ptaki płochliwe, inne z odwagą, — te mają łatwe pojęcie, tamte przez cały ciąg długich lat niczego się nie nauczą, (o tem wypiszę przy *Jaskółce Brzegówce* ciekawe zdarzenie z mego dzienniczka) są takie co od gniazda do śmierci płochliwe nad miarę, całe życie w strachu przepędzają; są znowu in-

sze, które rozróżniają niebezpieczeństwo prawdziwe od straszącego a nie istniejącego, równie i takie co już w pierwszym roku odznaczają się odwagą lub zaufaniem do człowieka, a co więcéj nas jeszcze uderza, to rozpoznawanie niebezpiecznego człowieka od spokojnego i sympatycznego; jak w ludziach tak w ptakach uczucie bywa różne i stopniowane rzadko spotęgowane, którąkolwiek parkę badacz pod uwagę wziąść zechce wszędzie znajdzie jeżeli się tak wyrazić mogę inny stopień, inny gatunek czułości i przywiązania, rzekłbym nawet, że stosunki małżeńskie są inne, szczególniej te które wyłącznie od samca zależą (mówię zawsze o ogóle ptaków i wszystko co twierdzę jest właściwe ptakom każdego gatunku w większym lub mniejszym stopniu). Weźmy te rodzinę przez Thienemanna od głodowéj śmierci uratowaną: z czterech jaskółek w jednéj tylko uczucie tak szczytne się wykształciło, reszta rodziny prawami rządzącemi ogół, żyła daléj jak większa część jaskółek żyje, niewykształcając rozumu i czucia, a może też nie miała do tego sposobności?

Nasz samiec więc znowu przyleciał i jak to prawie we wszystkich rodzajach ptaków, nie z samiczką, lecz z męskim fortrabem, bo jak to już gdzie indziéj wyraziłem, ptaki organizują wędrówkę powrotu z akuratnością i niemal strategią tak dokładną, że nie jeden komenderujący mógłby tam do szkoły chodzić. I tak najstarsze samczyki (stara gwardya) leci zawsze naprzód i tworzy forpoczty z małych gromad, późniéj lecą w oddziałach licznych samiczki i jednoroczne samce, kilka lub kilkanaście dni późniéj, podług pory i temperatury lecą w hurmie słabsze samiczki i inne zmęczone ptaki (to marodery). Wszechmądrość tak zrządziła, gdyby inaczéj ptaki wędrowały, narażałyby się wszystkie na równe niebezpieczeństwa, częstoby żer niewystarczał, a przeciwne wiatry lub długotrwające słoty mogłyby cały

rodzaj ptaków zniszczyć od razu, zaś podzielone, z czatami na przodzie, z kwatermistrzami kilka dni pierwéj do kraju posłanemi, wszystko w tej podziwienia godnéj organizacyi idzie porządkiem od stworzenia świata.

Gdy tej lubej ptaszynie okno otworzono, ona wszystkie kąciki pokoi obleciała, wszystkich pozdrowiła, wszystkich do łez rozczuliła, poleciała w świat za swemi interesami; rodzina zaś cała zebrana w grono, zadumała się głęboko nie jedna łza zatrzęsła się na powiekach dziewic, nie jedno serce przyśpieszyło swe bicie, bo wy wiecie, gdziekolwiek napotykamy silne przywiązanie, one nas wzrusza, gdziekolwiek spostrzegamy uczucie nadspodziewanie, tam nasze zadziwienie dziwną rozkosz sercu sprawia. Patryarhalna rodzina cały dzień z wzruszeniem o jaskółce mówiła, dzieci jej muszki łapały ona po dawnéj znajomości każdéj przyjacielskiej ręki pożywienie przyjmowała, lecz tej wiosny okazywała się niespokojniejszą jak pierwéj, częstsze i dłuższe wycieczki robiła, nawet w wabieniu śpiewie, locie i ruchach ta niespokojność przebijała, — nareszcie odkryto dla czego ta zmiana zaszła? Oto samczykowi już czuła przyjaźń, gościnna opieka, ojcowska troskliwość to wszystko mu już życia niezapełniało, — pokochał — pokochał samiczkę i to obcą, — samiczkę zaręczoną z drugim! Cóż to za trudne zadanie, zdobyć jej serce, odpalić rywala w téj już późnéj wiośnie. Nie dziwcie się czytelnicy mej jaskółce, że zaniedbuje swe dawne związki i niemal obowiązki, niech to jéj reputacyi nie szkodzi, któż z nas wystawiony na tę srogą próbę, porzuci miłość a wróci do przyjaźni, lub też utopiony w warze tego uczucia potrafi zaspokoić wszystkie trzy serca, nie prawda, że nasza ptaszyna tak zrobić była powinna?

Trzy jaskółeczki przez dni pięć uganiały ustawicznie, samiczka naprzód, samczyki za nią kręciły w powietrzu jak trąbą wichru miotane, lub też oną siedząc na ga-

łęzi spoglądała na walkę toczącą się a mającą rozstrzygnąć o jéj przyszłym losie, nareszcie szóstego dnia nasz samczyk ją zdobył i w tryumfie wprowadził do pokoju; narzeczona jak się zdaje w stajni urodzona, w stajni wychowana, oczywiście w pokoju żenowaną była i żadna namowa ni pieszczota nie mogły ją namówić; ile razy tylko mogła, sznurem do stajni, tam pokazywała dawne gniazdeczko, zawsze tam miała zatrudnienie, on perswadował, pieścił często surowo napominał i niemal gwałtem do pokoju wprowadzał; lecz to wszystko na nic się nie przydało, któż samiczki upór przełamie, a mimo téj wady on ją kochał, ona kształtna, zwinna a tak miluchno smaczna, że nasz samczyk pociągnął za nią do stajni, tam wyprowadzili pięcioro jaskółek z pierwszego gniazda, nieźle im się powodziło, lato było ciepłe, muszek pełno, kochali się bardzo, więc usamowolniwszy dziatwę, wzięli się do drugiego zniesienia i znowu wychowali cztery szczęśliwie. Samiec swego pana nawet w rozkosznych miodowych chwilach niezaniedbywał, nawet często, gdy samiczka na jajach siedziała, on do pokoju na noc przylatywał, zaś w żadnym dniu niezapomniał śpiewem dawać dowodu swéj wdzięcznej pamięci.

W jesieni zgromadzenia jaskółek już się rozpoczynały, nasz samiec na zbory z rodziną latał, bo to obowiązek, lecz wracał i nawet z dziatwą do pokoju przybywał, aż nareszcie jednego wieczora cała rodzina długo śpiewała, a jak słońce zachodzić miało wszystkie ptaszyny rwały się na dwór, zdaje się, że na tę noc rozkaz marszu był wydany. Zrozumieli to Thienemanowie, wszyscy posmutnieli, jakieś żałobne przeczucie ogarnęło ich serca, bo my wiemy niestety, że kto kocha ten się ustawicznie boi, kto kocha ten ustawicznie niespokojny, kto kocha prawdziwie ustawicznie strwożony myślą że ten skarb utracić może, więc i oni zatęsknili za lubą

i rozumną ptaszyną i oni w niespokojności pytali czy ich miluchna siostrzyczka na wiosnę powróci? Prawdziwe było przeczucie, sprawiedliwy żal, zasłużony smutek, bo rano roku przyszłego daremnie szukano po domie i stajni harmonijnéj towarzyszki, powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i niestety już piątego roku nie powróciła. Przyleciały inne, Thienemann wołał, dzieci wabiły, okno otwierano, muszki puszczano, nie było już między niemi téj ptaszyny, któréj tu nekrolog spisałem.

I wy moje towarzyszki ze dworu, folwarku i wsi, odlecicie, bo was prze niezmienny instynkt, powędrujecie w kraje gdzie śniegu nie ma, gdzie znajdziecie ogrzewające ciepło, chmury wirujących owadów, powędrujecie tam gdzie was ludzie szanują, jak by wszyscy szanować powinni, bo wy pożyteczne i dobroczynne żyjątka. Lećcie na południe, a zmieńcie tam wasze podróżą zniszczone pierze na szklniącą barwę, lecz wróćcie znowu do nas, przynieście ciepło wiosenne; a zastańcie nas w zdrowiu czekających niecierpliwie na wasze przybycie. Pamiętajcie miłe ptaszyny żeście tu użyły rozkoszy małżeńskiéj, że was tu czułe przywiązanie otaczało, tu wychowaliście dorodne dziateczki, użyłyście miłości! A wy wiedzieć powinny me czułe jaskółki, że miejsce w którem pałaliśmy głębokiem uczuciem tak temi pamiątkami jest przepełnione, iż nas magnetycznie przyciąga. Z was więc te wrócą na te miejsca przepełnione błogiem wspomnieniem, które w podróży nieszczęścia nie doznają, lecz czy my tu zostający was doczekamy?

Ja późniéj i wasze spokrewnione jaskółki sumiennie opiszę, jak będzie wolniejszy czas, w téj chwili gospodarz pisać nie może, bo wy mnie widzicie codzień w nawale czynności i niedozwalającym uchwycić pióra; pewnie opiszę i *j. oknówkę* i *j. brzegówkę*, lecz ja tylko

do was me lube *dymówki* mam pociąg sympatyczny, wy które jesteście gracyą personifikowaną, obrazem małżeńskiéj czułości, przykładem zgody i jedności, ja tylko z całego rodzaju was jedynie kocham, bo ja z wami tyle lat pod jednym dachem mieszkałem, razem my dziatki chowali, wy odlatywały, my was wiernie oczekiwali, wy mnie uwalniały od much, ja was błogosławił, razem my się kąpali, ja cały zanurzony w rzece lub stawach, wy tylko co chwila brzuszek maczały, bo pośpiech wam niedozwalał wygodnej kąpieli, wy mnie i dzieci lotem i zręcznemi łowami owadów bawiłyście, a my was podziwiali. Ja z wami przeżyłem złe i dobre chwile, często badając wasze życie, czułem głód i zimno, wdzięczny byłem i jestem zawsze, że mi dozwoliłyście zajrzeć pod zasłonę waszéj organizacyi i zwyczajów, zgłębić wasze domowe pożycie, poznać cały ogrom poświęcenia i cnót społecznych.

A jeżeli wy istotnie duszyczki pokutujące słodkich i dobrych dziewic a zakończycie waszą pokutę na téj ziemi, o wspomnijcie o mnie niegodnym przed tronem Miłosierdzia, która z was pierwéj będzie wyswobodzona niech ta dla waszego historyografa wyprosi łaskę, aby do śmierci chwalił Wszechmocnego; podziwiał przyrodę i daléj ją zgłębiał pełniąc swe obowiązki, a gdy to wybłagasz dla twego przyjaciela, duszyczko wybawiona a na niego łaskawa, on tam na górze wysoko, wyżéj Tatrów, Libanu i Kordelierów, wyżéj obłoków i błękitnego firmamentu, tam gdzie żaden ludzki teleskop nie dojrzy, tam ci luba ptaszyno z tkliwem rozczuleniem dzięki składać będzie.

Olejów d. 22 maja 1858 r.

Kazimierz Wodzicki.

KILKA MYŚLI

względem

UREGULOWANIA STOSUNKÓW WŁOŚCIAŃSKICH

w KRÓLESTWIE POLSKIEM. *)

W *Dodatku do Czasu* za miesiąc listopad r. z. znaleźliśmy artykuł pod napisem: „Uwagi nad oczynszowaniem i uwłaszczeniem włościan w Królestwie Polskiém“ w którym autor nie tylko stanowczo obstaje za uwłaszczeniem i potępia oczynszowanie, ale co ważniesza zwolenników oczynszowania uważa albo za nie-

*) Kwestyę tak nazwaną włościańską w Królestwie Polskiem, uważać można dotąd za otwartą. Rząd sam opóźniając objawienie swojéj myśli, wzywa niejako wszystkich myślących ludzi do wyjaśnienia tego ważnego przedmiotu. Sądzimy więc, że prace w tym względzie, a mianowicie te które się więcéj odznaczają znajomością stosunków krajowych, niżli teoryj, w piśmie zbiorowem polskiem gościnne przyjęcie znaleść powinny. (P. R.)

znających stosunków krajowych, albo za krzykliwych fałszywych filantropów, pragnących co najprędzej nad zupełnie sponiewieranymi właścicielami ziemskiemi zanucić z piekielną radością hymn pogrzebowy Szlachty Polskiéj. —

Należąc niestety do potępionych przez pana Sulimę, zwolenników oczynszowania, przytoczę przedewszystkiem jak takowe możnaby przeprowadzić, a potem dopiero przystąpię do porównania następstw jakieby dla właścicieli, dla włościan i dla produkcyi krajowéj wynikły z uwłaszczania lub oczynszowania.

W chwili zapadnięcia ukazu z d. 7 czerwca 1846 utrzymującego włościan trzech morgowych i z większem uposażeniem przy gruntach, jakie wówczas zajmowali i innych dogodnościach, z jakich w téj epoce korzystali, było w dobrach prywatnych:

a). czynszowników nieodbywających żadnych dodatkowych powinności	53, 44
b). czynszowników odbywających obok tej opłaty dodatkowe powinności w naturze	32,559
c). pańszczyznianych odbywających stałe powinności w naturze	136,391
Razem	222,494

Widzimy zatem że do roku 1846 systemat pańszczyźniany był bardzo przeważny; że zaś egzystował wtenczas kiedy właścicielom dóbr wolno było w każdym roku usuwać włościan z roli i wcielać je do folwarku, albo oddawać je innym osadnikom za opłatą pieniężną, gdy nadto w owéj epoce umowy czynszowe zawierane pomiędzy właścicielami dóbr i włościanami nie ulegały wcale roztrząsaniu, modyfikowaniu i zatwierdzaniu przez Władze Administracyjne, tem samem odbywanie pańszczyzny, które nie jest niczem innem jak tylko wypłacaniem się z dzierżawy robocizną wypływało:

albo w skutek uznania takiego sposobu wypłacania się za najdogodniejszy;
albo w skutek tego, że dwór nie miał funduszu na zaprowadzenie gospodarstwa bezpańszczyźnianego;
albo w skutek tego że właściciele dóbr obawiali się czyli włościanie po zamienieniu im robocizny na opłatę pieniężną będą takową w możności i chęci regularnie uiszczać;
albo nakoniec w skutek tego że właściciele obawiali się czyli włościanie po ich oczynszowaniu będą wychodzili na najem, a tem samem czyli nie doznają braku rąk przy sprzęcie siana i zboża.

Któren z czterech dopiero przytoczonych powodów wpływał głównie na utrzymanie się do r. 1846 w większéj części majątków ziemskich wypłacania się włościan pańszczyzną, wszystkim jest wiadomo: jakkolwiek bowiem do roku 1846 Władze Administracyjne nie mięszały się do stosunków właścicieli dóbr prywatnych z włościanami, pomimo to sysem pańszczyzniany już w r. 1846 był w wielu dobrach dla obudwóch stron niedogodnym; lecz brak funduszu potrzebnego na pomierzenie dóbr, odseparowanie gruntów dworskich od włościańskich, wzniesienie budowli dla komorników lub czeladzi dworskiéj, zaopatrzenie się w inwentarz roboczy i machiny gospodarskie, był prawie zawsze zaporą oczynszowania włościan; tamowała je także powołana wyżéj obawa, czyli włościanie po zamienieniu im robocizny na opłatę pieniężną będą takową regularnie uiszczali i będą chętni w wychodzeniu na najem.

Ukaz z d. 7 czerwca 1846 r. dodał bodźca zamianie robocizny na opłatę pieniężną: — bo jeżeli przy dawnych stosunkach systemat pańszczyzniany miał już ważne niedogodności, to niedogodności te znacznie się powiększyły wmięszaniem się w te stosunki Władz Administracyjnych.

Jeżeli zatem do roku 1846 brak funduszu był jedną z głównych przyczyn nieczynszowania włościan: to od roku 1846 brak ten stał się prawie wyłączną zaporą utrzymywania się jeszcze pańszczyzny.

Zaradzenie temu brakowi funduszów jest niezaprzeczenie bardzo trudne; ważnem jednak pod tym względem ułatwieniem byłoby udzielenie pożyczek IV okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie szczegółowego pomiaru i taxy.

Podług prawa o Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem z d. 20 kwietnia r. 1853, IVta emissya listów zastawnych nie wprzód może nastąpić, dopóki listy zastawne II. okresu nie zostaną z obiegu wycofane.

Listy zastawne I. emissyi, które miały być umorzone dopiero w r. 1854 z powodu użycia własnych funduszów Towarzystwa wycofane zostały z obiegu w roku 1852, przy większym przeto dziś funduszu własność Towarzystwa stanowiącym, listy zastawne IIéj emissyi które dopiero w r. 1866 mają być umorzone, już w r. 1860 mogą być z obiegu wycofane [1]).

Za dwa lata zatem może być wypuszczona IV serya listów zastawnych.

Podstawą do udzielania pożyczek dotychczasowych trzech okresów była wysokość podatku ofiary w r. 1789 ustanowionego.

Przez ubiegłe 69 lat wycięcie znacznéj przestrzeni lasów, w ówczas pod intratę niepodciąganych i zamienie-

---

[1]) Wierzytelność Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego IIgo okresu wynosi Złp. 61,000,000
z tego po ratę Czerwcową 1860 r. umorzone być winno 69,49% czyli Złp. 42,349,000
a pozostanie Złp. 18,651,000
to jest summa jaką dziś już Władze Towarzystwa mają oszczędzoną, a tem samem którą bez żadnego zawodu mogą za dwa lata rozdysponować.

nie jėj na folwarki, wsie, lub kolonije, inny stosunek ludności, przeprowadzenie nowych dróg bitych i żelaznych, zmieniły zupełnie wzajemną wartość dóbr w kraju, tak że podatek ofiary wynoszący naprzód 10% dochodu z r. 1789 potem na 24% a ukazem z dnia 10 stycznia 1849 r. do 36% podniesiony, nie dochodząc obecnie w jednych dobrach ani $1/20$ części teraźniejszego czystego ich dochodu, w drugich dosięga jego połowy, dla tego też rewizya tego podatku dopiero powołanym ukazem poleconą została.

Biorąc zatem za podstawę podatek ofiary, odnowiona pożyczka IV. okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego niewielcby wynosiła: zmieniać zaś stopy jėj wysokości wcale by nie można: bo podatek ofiary tak nieproporcyonalnie na dobrach ziemskich ciążący, spowodowałby udzielenie na niektóre dobra pożyczek przewyższających ich wartość.

Inna jest wszakże rzecz gdyby pożyczka IV okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie szczególowego pomiaru i taxy była udzielaną.

Przestrzeń Królestwa wynosi 766,218 włók miary nowopolskiėj.

Potrącając $1/4$ część na nieużytki to jest: wody, bagna, zwiewne piaski i drogi, jako też na majoraty, które żadną pożyczką nie mogą być obciążone, pozostanie 574,664 włók miary nowopolskiėj.

Szacunek włóki wynosi dziś przeciętnie Złp. 3,500 dając więc przeciętnie tylko po Złp. 1,500 na włókę gruntów użytkowych, możnaby w ogóle z wszelkiem bezpieczeństwem dla właścicieli pożyczyć listów zastawnych, jak wiadomo solidarnie na wszystkich majątkach ziemskich zabezpieczonych, Złp. 862,000,000

że zaś dotychczasowa pożyczka wynosi Złp. 360,000,000

dodatkowa wynosiłaby „ 502,000,000

nadto odnowiona wynosiłaby „ 89,000,000 [2])

zatem pożyczka odnowiona

i dodatkowa wynosiłyby „ 591,000,000

Sporządzenie pomiaru i taxy wszystkich majątków ziemskich wymagałoby długiego czasu i znacznych nakładów, których wielu mniej zamożnych właścicieli nie byłoby w stanie ponieść, dla tego należałoby z jednéj strony już w roku bieżącym rozpocząć wierzenie i taksowanie majątków ziemskich, tak żeby zaraz po wycofaniu z obiegu listów zastawnych II Okresu można było z znaczną ilością dóbr przystąpić do IV Okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, z drugiéj strony wypadałoby koszta pomiaru i taxy zaspokajać z funduszu z kar powstałego własność Towarzystwa stanowiącego, przeszło 21,000,000 złp. wynoszącego, a z którego odtrąciwszy parę milionów złp. na nieruchomości własność Towarzystwa stanowiące i pozostawiwszy kilka milionów na fundusz rezerwowy, można użyć 12,000000 złp. na koszta pomiaru i taxy, [3]) a fundusz ten będzie nie tylko dostateczny, ale nawet przewyższający zapewne potrzebę; bo $3/4$ majątków ziemskich posiada już mappy i rejestra pomiarowe.

[2]) Wierzytelność Towarzystwa II okresu wynosi	Złp.	61,000,000
z tego w r. 1860 będzie umorzone	Złp.	42,000,000
Wierzytelność Towarzystwa III okresu wynosi	Złp.	299,000,000
z tego w r. 1860 będzie umorzone	Złp.	47,000,000
Razem	Złp.	89,000,000

[3]) Powyżéj przytoczyłem, że kapitał własność Towarzystwa stanowiący ma służyć na wycofanie z obiegu, listów zastawnych IIgo Okresu, tu zaś proponuję, aby ten sam fundusz użyty został na koszta pomiaru i taxy majątków ziemskich.

Dla uniknienia zarzutu, że jednemu i temu samemu funduszowi dwa odmienne cele przeznaczam, uważam potrzebę przytoczyć, że użycie funduszów Towarzystwa na wycofanie z obiegu listów zastawnych IIgo Okresu nie jest niczém innem jak tylko zaforsowaniem tych funduszów, gdyż wszyscy dłużni-

Większa wysokość pożyczki z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego udzielić się mającéj wymaga, dla korzyści samych stowarzyszonych, którzy przy udzielaniu im téj pożyczki obowiązani są spłacać nią hypotecznych swoich wierzycieli dopłacając im w gotowiźnie różnicę kursów listów zastawnych od nominalnéj ich wartości, dołożenia wszelkiego starania, aby nadaniem zupełnéj pewności lokacyi udzielonych na dobra pożyczek, utrzymać o ile można najwyższy kurs listów zastawnych.

Dla dopięcia zatém tego celu wypadałoby nietylko z całą skrupulatnością sporządzać taxy obdłużyć się mających dóbr, ale nadto rozciągnąć ścisły nadzór, aby dobra te przez ich zniszczenie upadkowi nie podlegały; obok zatem zastrzeżenia znajdującego się w dotychczasowém prawie o Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém niszczenia dóbr dotyczącego, zastrzedz nadto, że właściciele dóbr obciążonych nową pożyczką Towarzystwa nie będą mogli odtąd używać należących do nich lasów jak tylko podług planu gospodarczego, jaki dla każdych w szczególności lasów Władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przepiszą.

Niezależnie od tego wypadałoby postanowić, że pożyczka Towarzystwa może być co lat 9 odnawianą, [4])

---

cy Towarzystwa, którzy mają na swoich dobrach pożyczkę IIgo Okresu pomimo wycofania w roku 1860 listów zastawnych IIgo Okresu, obowiązani będą, albo, w razie jeżeli przystąpią do IVgo Okresu Towarzystwa, wystąpić z IIgo Okresu i zwrócić Towarzystwu jednorazowie resztę ciążącego ich długu, albo, w razie jeżeli nie przystąpią do IV Okresu Towarzystwa, wnosić aż do roku 1866 po $6\frac{1}{5}\%$ od zaciągniętéj w roku 1838 pożyczki Towarzystwa, i tym sposobem w obudwu razach powrócą w zupełności Towarzystwu własny jego kapitał użyty na wcześniejsze wycofanie z obiegu listów zastawnych II Okresu.

[4]) Obowiązująca dziś zasada w prawie o Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem wymaga, ażeby kursowały tylko listy dwóch emi-

bez potrzeby wyjednywania za każdym razem upoważnienia Rządowego, to jest, że nowe prawo o Towarzystwie Kredytowém Ziemskiem, powinnoby upoważnić do stałego odnawiania pożyczek w latach 1860, 1869, 1878 1887, 1896, 1905 itd.

Po udzieleniu właścicielom ziemskim tak znacznéj pożyczki za pośrednictwem któréj obdłużeni zaspokoją długi za wysokiemi procentami ich ciążące, a nieobdłużeni otrzymują funuusz na ulepszenia gospodarskie, a co ważniejsza po zapewnieniu każdemu właścicielowi że w pewnym, stałym, naprzód oznaczonym terminie będzie mógł co lat 9 odnawiać pożyczkę Towarzystwa

---

syj, to jest, aby dopóki I emissya w zupełności z obiegu wycofaną nie zostanie nie wypuszczać IIéj emissyi, a dopók nie zostanie wycofaną IIa nie wypuszczać IVéj; zobaczmy o ile stałe odnawianie listów zastawnych co lat 9 pozwoli zadosyć uczynić powyższéj zasadzie.

W roku 1860 wypuszczonąby została IV serja listów zastawnych po poprzedniém wycofaniu z obiegu (jak to wyżéj wyjaśniłem) 18,651 000 Złp. listów zastawnych II Okresu.

W roku 1869 przypadłby termin do wypuszczenia Vej seryi listów zastawnych. — Ogólna wierzytelność Towarzystwa wynosiłaby . . . . Złp. 862,000,000

o ileby zatem wszyscy stowarzyszeni przystąpili w roku 1860 do IV Okresu, w roku 1869 byłoby umorzone 27,30% czyli przeszło Złp. 232,000,000

a pozostałoby w obiegu listów zastawnych IVéj emissyi za . . . Złp. 630,000,000

Stowarzyszeni zatem wystąpią z IV Okresu, dobiorą umorzoną summę Złp. 232,000,000 listy zastawne IV Okresu zostaną z obiegu zupełnie wycofane i kursować będą same tylko listy zastawne Vgo Okresu za całą summę Złp. 862,000,000.

Rozbierzmy teraz drugą wersyą, to jest przypuśćmy, że część stowarzyszonych np. 1/6 część nie będzie odnawiać swoich wierzytelności w następnych IV i V Okresie, to jest że w roku 1860 i 1869, 1/6 część stowarzyszonych nie weźmie dodatkowéj i odnowionéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w takim razie:

Kredytowego Ziemskiego, przybraniem 27, 30% całéj wierzytelności, jaką pierwotnie z Towarzystwa otrzymał, można będzie jednocześnie postanowić, że każdy właściciel dóbr przystępujący do Towarzystwa Kredytowe-

---

w roku 1860 właściciele 478,887 włók miary nowopolskiej wezmą na swoje dobra pożyczkę IV Okresu w sumi Złp. 718,000,000

a właściciele 95,777 włók pozostaną przy pożyczce III Okresu w sumie Złp. 60,000,000

w roku 1869 listy zastawne III Okresu muszą być z obiegu zupełnie wycofane, gdyż inaczéj nie możnaby wypuścić listów zastawnych Vgo Okresu; ponieważ zaś z summy Złp. 60,000,000 w roku 1869 umorzone dopiero będzie 44,23% czyli Złp 26,538,000

będzie zatem w roku 1869 w obiegu listów zastawnych III Okresu za . . . . . Złp. 33,462,000.

Władze Towarzystwa w roku 1869 wycofają z obiegu, czy za pośrednictwem własnego swego kapitału, jeżeli wtenczas będzie już on tyle wynosił, lub za użyciem funduszu amortyzacyjnego IV Okresu, listy zastawne III Okresu i wypuszczą listy zastawne V Okresu, udzielając stowarzyszonym, których dług wynosić tylko będzie w roku 1869 Złp. 522,000,000.

Jakkolwiek z powyższego wyjaśnienia dostateczne jest przekonanie, że zasada jakiej dotąd trzymano się aby niekursowało więcéj listów zastawnych jak tylko 2ch Okresów nie będzie stała na przeszkodzie odnawianiu pożyczek Towarzystwa co lat 9, pożądaną wszakże byłoby rzeczą, aby przy układaniu nowego prawa dla IV Okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego zasadę tę uchylić, skoro bowiem ilość kursujących listów zastawnych nie będzie nigdy wyższą od wierzytelności obciążającéj hypotekę — a nawet co lat 9 ilość kursujących listów zastawnych będzie mniejszą od wierzytelności Towarzystwa o 27, 30% obojętną jest rzeczą ile

go Ziemskiego obowiązany będzie urządzić i oczynszować miejscowych włościan w przeciągu najdalej lat 10 po wzięciu pożyczki z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a mianowicie tam, gdzie włościanie zajmują $^1/_{10}$ część ogólnéj rozległości dóbr w rok jeden, tam gdzie włościanie zajmują $^2/_{10}$ części ogólnéj rozległości dóbr w dwa lata i tak daléj, tak jednak, aby wszystkie dobra w ciągu lat 10 [5]) po przystąpieniu do IV Okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego zostały urządzone i oczynszowane.

Każdy właściciel dóbr miałby prawo przed upłynieniem powołanego wyżéj terminu ułożyć się dobrowolnie z włościanami, gdzieby zaś strony nie mogły się o wysokość czynszu dobrowolnie porozumieć, tam Rząd z urzędu ustanowiłby czynsz, na którym z jednéj strony

---

kursować będzie seryj listów zastawnych. Dostatecznie przeto byłoby zastrzedz, że każda serja będzie miała swój oddzielny fundusz amortyzacyjny, tak ażeby każda serya stopniowo umarzana wprzeciągu 28 lat z obiegu wycofaną została.

[5]) W dziesięć lat po przystąpieniu do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego te wsie oczynszowane zostaną, które stanowią oddzielną księgę hypoteczną, a odrabiają pańszczyznę do folwarków, jakkolwiek do tegóż samego właściciela co i wieś należących, ale oddzielną księgą hypoteczną objętych. — Wprawdzie możnaby utrzymywać, że w takim razie gdzie wieś pańszczyźniana stanowi oddzielną zupełnie księgę hypoteczną, tam do obliczenia jaką przestrzeń stanowią grunta włościańskie ogólnéj rozległości dóbr wypadałoby brać całe dobra bez względu w ilu księgach hypotecznych tytuł ich własności jest zapisany.

Lecz przyjęcie takiéj zasady wyrodzić by mogło wiele niedogodności, gdyż potrzebaby żądać składania pomiaru realności, na które właściciel może nie chce zaciągać pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pragnąc tylko z niektóremi z swych realności przystąpić do stowarzyszenia kredytowego.

dziedzic obowiązany byłby poprzestać, a z drugiej strony włościanie mieliby pozostawioną wolność, albo czynsz ten opłacać, albo opuścić zajmowane przez nich osady. Tam jednak gdzie obydwie strony w skutek dobrowolnego porozumienia domagałyby się utrzymania nadal robocizny w naturze, tam możnaby ją bez zmiany pozostawić, dozwalając wszakże każdéj stronie co trzy lata żądać zamiany robocizny na opłatę pieniężną.

Dla postawienia nadto stowarzyszonych w możności regularnego uiszczania się Władzom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z procentów od zaciągniętych na dobra pożyczek, wypadałoby przyjąć za zasadę, że każdy stowarzyszony ma prawo przekazać Towarzystwu czynsze od włościan przypadające.

Przepis taki nie tylko nie zmniejszy bezpieczeństwa wierzytelności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, bo stowarzyszeni obowiązani będą, w razie, gdyby włościanie pomimo zaregulowanéj do nich exekucyi nie zapłacili w ciągu 6 miesięcy procentów od długu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zwrócić się do Dominium, ale przeciwnie uczyni pewniejszém wpłynięcie rat Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego bo stowarzyszeni nie będą już mogli podnosić czynszów od włościan a tém samem i obracać ich na inne wydatki.

Po zaspokojeniu zaś w zastępstwie włościan zaległéj raty Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, dominium będzie miało prawo przekazać Towarzystwu na poczet raty bieżącéj zaległe czynsze włościańskie, Władze zatem Towarzystwa po bezskutecznéj exekucyi i sekwestracyi wystawią na sprzedaż drogą publicznéj licytacyi prawo używania zalegających w opłacie osad, a wszystko to co wyżéj nad zalegający czynsz postąpioném zostanie należeć będzie do odpadających od gruntu włościan. — Dla zasłonięcia nakoniec właścicieli od trudności przy sprzęcie siana i zboża gdyby włościanie

w pierwszych latach po oczynszowaniu wzbraniali się wychodzić na najem, można dozwolić zastrzegać obok opłaty czynszu albo dnie pomocnicze, które po latach 6 zamienione zostaną na opłatę pieniężną w wysokości zaraz przy zawieraniu kontraktu oznaczonéj, albo najem przymusowy co do ilości dni, rodzaju roboty i wysokości wynagrodzenia stale oznaczony, do którego przez lat 6 po oczynszowaniu byliby obowiązani.

Koszta urządzenia byłyby zaspokajane przez Towarzystwo Ziemskie, gdy zaś fundusze zapasowe tego Towarzystwa już na koszta sporządzenia pomiaru i taxy zostałyby w znacznéj części wyczerpane, wypadałoby podnieść składkę na administracyę dziś $^1/_5$ % na rok wynoszące do $^1/_4$ lub $^1/_3$ %.

Po oczynszowaniu włościan w dobrach obciążonych pożyczką IV Okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Rząd przedsięwziąłby z urzędu oczynszowanie włościan w dobrach nieobciążonych tą pożyczką, tak ażeby wszyscy włościanie osiedleni w dobrach prywatnych wprzeciągu lat 18 zostali oczynszowani [6]).

---

[6]) Tak jak w prawie z dnia 20 kwietnia 1853 r. pozostawiony jest sześcioletni termin do przystępowania do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, tak samo pozostawić należy takiż sam termin w prawie mającém dozwolić wypuszczenie IV Okresu listów zastawnych, a tém samém przypuszczając, że pierwsze wypuszczenie listów zastawnych tego Okresu będzie miało miejsce w roku 1860 termin sześcioletni prekluzyjny ukończy się w roku 1866, ci przeto właściciele, którzy w tym roku przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z dobrami gdzie wszystko zajmują włościanie, oczynszowani zostaną w 10 lat po przystąpieniu z dobrami do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego to jest w roku 1876.

Gdyby jednak komu termin lat 18tu zdawał się za długim, chociaż przy takim na pozór odległym terminie wypadałoby corocznie urządzać i czynszować około 10,000 osad włościańskich, możnaby termin ten skrócić o lat kilka stano wiąc,

Oto są główne zarysy projektu oczynszowania włościan: zobaczymy teraz na jakich podstawach P. Sulima pragnie oprzeć ich uwłaszczenie.

Co do ustanowienia wysokości wynagrodzenia przyznać się mającego właścicielom dóbr ziemskich za ziemię pod włościanami będącą P. Sulima radzi, aby za podstawę do ustanowienia tego wynagrodzenia, nie brać gruntów przez włościan zajmowanych, lecz powinności przez nich odbywane i aby powinności te szacować równo w całym kraju to jest po Złp. 1 za dzień pieszy; radzi nakoniec aby jeżeli obok stałéj pańszczyzny włościanie odbywają jakie dodatkowe powinności lub czynsze, takowe na korzyść włościan pomijać.

Wniosek swój aby za podstawę do ustanowienia wysokości wynagrodzenia przypadającego dziedzicom za odjęcie gruntów włościańskich, brać nie wartość gruntów, lecz wartość odbywanych z nich powinności, opiera P.

że tylko ci, którzy zaraz w pierwszym roku przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego będą mieli prawo korzystać jeszcze z pańszczyzny tyle lat ile zawierają grunta przez włościan zajmowane, dla tych zaś którzy później przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, termin skracać by wypadało o tyle, aby najdaléj w roku 1870 wszyscy włościanie zostali oczynszowani.

W tym roku musieliby również być oczynszowani włościanie osiedleni w dobrach, których właściciele nie przystąpią wcale do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Sądziłbym jednak, że pragnąc uregulowanie gruntów włościańskich dokonać dokładnie, to jest z zapewnieniem wszelkich dogodności gospodarskich dla obudwóch stron, należałoby trzymać się pierwszego terminu, to jest rozłożyć oczynszowanie do roku 1876, inaczéj można być pewnym, że jeżeli oczynszowanie poprzedzone regulacyą w roku 1870 będzie w całym kraju skończone, regulacya ta będzie tak niedokładna, że nie 6 ale przynajmniéj 12 lat jeszcze potrzeba będzie dopełniać poprawki często bardzo trudne do uskutecznienia, a zawsze kosztowne.

Sulima na tém głównie, że uwalnia od pomiaru gruntów jako też ich klassyfikacyi i dataxacyi i utrzymuje, że gdy pańszczyzna była wszędzie zastósowana do obszerności i dobroci gruntów przez włościan zajmowanych, tém samém odbywana przez włościan pańszczyzna jest już niejako rezultatem pomiaru klassyfikacyi i detaxacyi gruntów włościańskich, któreby bezpotrzebnie było teraz robić.

Przypatrzmy się bliżéj czyli pańszczyzna obecnie przez włościan odbywana zastósowana jest do obszerności i dobroci zajmowanych przez nich obecnie gruntów.

Do r. 1846 każdy właściciel dóbr miał prawo z początkiem roku gospodarskiego usunąć włościan z osad i wcielić takowe do gruntów folwarcznych, tem bardziéj zatem miał prawo uszczuplić ich uposażenia, lub pozostawiając je w dotychczasowéj obszerności podnosić powinności.

Z drugiéj zaś strony włościanie mieli prawo w tychże samych terminach opuszczać siedziby i przenosić się w inne miejsce.

Jakkolwiek zatém dowolne niejako stanowienie powinności przez właścicieli dóbr nie było niczem ograniczone, tam wszakże gdzie właściciel nie chciał wyzuwać się z włościan, miało ono zaporę: bo z chwilą gdy właściciel podwyższał powinności nieodpowiednio osiąganym z gruntu i z lasu przez włościan korzyściom, mieli oni możność opuścić swą siedzibę i przenieść się w inne miejsce.

Ponieważ zaś właściciel nie był niczem związany gdy chciał odebrać im grunta, niepotrzebował nigdy nadmiernem podnoszeniem powinności znaglać włościan do opuszczania gospodarstw i jeżeli były gdzie dobra w których włościanie opuszczali grunta, działo się to więcéj w skutek srogiego obchodzenia się z niemi właściciela, a częściéj jeszcze dzierżawcy lub rządcy, albo w skutek

nieprzychodzenia im w pomoc na przednówku, bez czego tak trudno się obejść naszemu włościaninowi pańszczyźnianemu, jak w skutek wymagania nadmiernych powinności.

I powody podnoszenia powinności przez właścicieli dóbr i sposoby w jaki to dopełniali były różnorodne. Tam gdzie dziedzic dodawał włościanom jaki kawałek gruntu, łąki lub pastwiska, tam zwykle ustanawiano za to jaką stałą dodatkową powinność.

Lecz najczęściéj powodem podniesienia powinności było powolne przyrudowanie gruntów z przyległego lasu, albo przyoranie go z gruntów folwarcznych, lub z pustek powłościańskich, w takim razie ponieważ to następowało nie od razu, właściciel także nie od razu podnosił powinności, lecz żądał odbywania obok dawnych stałych powinności, różnych dodatkowych robocizn na ilość dni nieudeterminowanych, lub najmu po cenach miejscowych, albo nawet nieco niższych co uprawniało niejako przyrudowanie gruntów przez włościan, ale nawzajem zapewniało właścicielowi dochód z przestrzeni przyrudowanych.

Taki stan rzeczy miał swoje niedogodności: bo właściciel dóbr mógł nagle w środku roku gospodarskiego wymaganiem nadmiernéj ilości darmoch i najmów, zniszczyć miejscowych włościan; ponieważ jednak jak powyżéj nadmieniłem właściciel dóbr miał prawo z końcem każdego roku gospodarskiego usuwać włościan z roli, nie miał żadnego powodu niszczyć tym sposobem włościan i zwykle darmochy i najmy przymusowe kompletowały o tyle dawne stałe powinności że włościanin mógł się przy gospodarstwie utrzymać.

Gdy Rząd zamierzył w roku 1846 stale uregulować stosunki włościan osiedlonych w dobrach prywatnych i zapowiedział w ukazie z d. 7 czerwca 1846 roku wydanie w przyszłości ogólnych przepisów pod tym względ-

dem, postanowił jednocześnie tymże ukazem, że dopóki przepisy te wydane nie zostaną utrzymuje się tym czasem pod względem uposażeń i powinności włościańskich status quo jakie dotąd miało miejsce, z tem tylko ograniczeniem że gdy niektóre powinności włościan były nieudeterminowane i stanowiły tak zwane darmochy i najmy przymusowe nakazał je znieść, inaczéj odjąwszy właścicielom możność wypowiedzenia włościanom gospodarstwa, a pozostawiwszy tymże właścicielom możność zniszczenia ich za pośrednictwem wymagania nadmiernych darmoch i najmów przymusowych, pozostawiłoby się ich nie w lepszym wcale stanie od dotychczasowego i większa część włościan znajdujących się na roli w chwili zapadnięcia ukazu z d. 7 czerwca 1846 roku mogłaby się niedoczekać wydania zapowiedzianych we wstępie tegoż ukazu ogólnych przepisów o ich urządzeniu.

Wprawdzie art. 2gi ukazu z r. 1846 zastrzega, że nie wolno wcielać pustek powłościańskich do gruntów folwarcznych, lecz gdy z drugiéj strony właściciele dóbr mają zawsze możność zasłaniania się brakiem ludności, gdy zresztą z nowo osiedlającemi się jako niemającemi prawa do gruntu łatwiéj jest zawsze wchodzić w układy, właściciele dóbr niszczyliby dawnych włościan nadmiernemi darmochami i najmami przymusowemi, a potem alboby sami obrabiali grunta powłościańskie, albo gdyby znagleni zostali do obsadzenia tych ról innemi włościanami niewprzód by tego dokonali, dopóki by nie dopełnili separacyi gruntów przeznaczając dla włościan uposażenie znacznie gorsze od tego, jakie zajmowali w r. 1846, a żadne przepisy nie mogłyby zapobiedz aby wtenczas gdyby nie było interessentów, którzyby oponowali przeciw niekorzystnéj separacyi, ta z krzywdą włościan nie była dopełnioną.

Wywołane jednak chwilową koniecznością zniesienie niektórych powinności nieudeterminowanych nie może być powodem aby przy stałém uregulowaniu powinności tamować właścicielowi dóbr możność zapewnienia sobie dochodu z gruntów w posiadaniu włościan zostających a w takiem położeniu stawiałoby uwłaszczenie dokonane podług projektu P. Sulimy wszystkich właścicieli takich dóbr, w których stałe powinności odbywane są z dawnych gruntów, a z przyrudowanych lub za dogodności leśne odrabiali darmochy i najmy przymusowe dziś chwilowo uchylone.

Chociażby nawet dozwolone zostało właścicielom dóbr dowodzenie, że dawne powinności ustanowione są z mniejszych uposażeń od dzisiejszych, nie mogliby oni z tego korzystać: bo mało kto posiada mappy z dawnych lat przekonywające jakie było wówczas uposażenie włościan, a i w tych wyjątkowych razach, ponieważ mappy z lat dawnych nie wzkazywały prawie nigdy pojedynczych osad włościańskich, lecz tylko ogółowo uposażeni wszystkich włościan, wyrodziłaby się kwestya czyli powodem większego dziś uposażenia włościan jak dawniéj nie jest osadzenie większéj liczby gospodarzy, lub nakoniec czyli dzisiejsi gospodarze nie robią większych powinności od tych, jakie odbywali ówczasowi przy mniejszem jak dziś uposażeniu, czego znowu dla braku inwentarzy z lat dawnych nie możnaby udowodnić. —

Z wyjaśnienia powyższego przedstawiającego rzetelny obraz stosunków włościańskich większéj części dóbr prywatnych, dokładnie się okazuje, że odbywane dziś powinności przez włościan nie są wcale zastósowane, jak to P. Sulima utrzymuje do rozległości i dobroci zajmowanych przez nich użytków, że zatem gdyby przyszło do uwłaszczenia, to podstawą do obrachowania wynagrodzenia przypadającego właścicielom dóbr za odjęte

im grunta, powinna być nie wartość pańszczyzny, lecz wartość gruntów.

Lecz gdyby nawet, co wszakże byłoby niesłusznem, za podstawę do obliczenia wynagrodzenia przy uwłaszczeniu brać jak proponuje p. Sulima wartość pańszczyzny, to nie możnaby jéj nigdy równo w całym kraju szacować: bo jak z jednéj strony są okolice szczególniéj w Gubernii Lubelskiéj gdzie włościanie nie zdołaliby nigdy zapłacić za uchyloną pańszczyznę jak proponuje p. Sulima po Złp. 1 za dzień pieszy i gdzie płacąc tak pańszczyznę zapłaciliby nieraz za włókę ziemi po Złp. 10,000, wtenczas gdy włóka ziemi w tych okolicach i $1/_3$ części tego nie jest warta, tak z drugiéj znowu strony np. w powiatach Gostyńskim, Konińskim, Kaliskim, Włocławskim, Lipnowskim, płacąc Złp. 1 za dzień pieszy nie wynagrodziliby właścicielowi dóbr ani połowy dochodu z utraconego gruntu.

Daléj nie wiem dla czego p. Sulima przy obrachowaniu wynagrodzenia za podjęte powinności chce dozwalać szacować tylko stałą tygodniową robociznę, kiedy obok niéj włościanie mogą odbywać po kilkanaście dni pomocniczych do żniwa, sianożęcia i innych robót gospodarskich, jako też opłacać czynsze i oddawać osepy i daniny; tym bowiem sposobem z dwóch wsi sąsiednich różnie uposażonych i nierówne też odbywających powinności, właściciele mogliby otrzymać równą indemnizacyą, dla tego tylko, że tak w jednéj jak i w drugiéj wsi włościanie robili równą ilość dni stałéj tygodniowéj robocizny.

Zobaczmy teraz jak p. Sulima chce rozpłacić indemnizacyę odpowiadać mającą stałéj tygodniowéj robociźnie. —

Jak już powyżéj przytoczyłem p. Sulima radzi z pominięciem dni pomocniczych, czynszu, danin i osepów, oszacować tylko stałą tygodniową robociznę podług je-

dnéj w całym kraju stopy, to jest po Złp. 1 za dzień pieszy i obrachowaną tak indemnizacyę oddać dziedzicowi, który będzie miał prawo albo bez względu na wysokość ciążących dobra długów hypotecznych, sam ją podnieść i na swój użytek obrócić, albo spłacić nią al pari wierzycieli hypotecznych [7]).

Doprawdy dziwić się należy jak p. Sulima pragnący poważnie rozbierać przedmiot uregulowania stosunków włościańskich, mógł coś podobnego zaproponować.

Jak to, więc właściciel wioski wartającéj 100,000 Złp. na któréj jest zabezpieczone 30,000 Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego 20,000 Złp. Banku Polskiego, i 40,000 Złp. wierzytelności prywatnych będzie miał prawo 50,000 Złp. obligów indemnizacyjnych wziąść do ręki i na połowie wioski, to jest na samym folwarku oprzeć 90,000 Złp. długów wczoraj dopiero na całéj wiosce zabezpieczonych?

---

[7]) Obydwa] te wnioski tak są dalekie od zasad nie już prawa hypotecznego, ale słuszności, że aby nie być posądzonym że przekręcam lub nadciągam artykuł p. Sulimy, dosłownie ustęp ten przytaczam: „Zobowiązać wierzycieli hypotecznych „na majątkach ziemskich lokowanych, do przyjęcia spłaty „swoich wierzytelności, al pari w papierach indemnizacyj„nych, w porządku pierwszeństwa hypotecznego, ale tylko do „wysokości summy, jaką właściciel dóbr, na których są lo„kowane, tytułem indemnizacyi za pańszczyznę z dóbr tych „respective odbierze. Warunek taki zabezpiecza kapitalistów „od działań na szkodę ich ze strony właścicieli dóbr, bo „ścieśnia wolę tych ostatnich w nabywaniu papierów inde„mnizacyjnych na spłatę wierzytelności hypotecznych. Lecz „z drugiéj strony trzeba właścicielom ziemskim zostawić wol„ność lub niespłacania papierami indemnizacyjnemi wierzy„cieli: bo przymus odebrałby niejednemu fundusz tak potrze„bny jak to widzieliśmy do przetrwania spodziewanego kry„zys“. —

Przyjmijmy to za pomyłkę, bo wersya ta nie da się dyskutować i przejdźmy do drugiéj wersyi, to jest do propozycyi p. Sulimy, aby znaglić wierzycieli hypotecznych do przyjęcia spłaty swoich wierzytelności al pari obligami indemnizacyjnemi.

Zastanówmy się naprzód jaki będzie przypuszczalny kurs tych obligów po ich pierwszéj emissyi.

Wiemy że listy zastawne drugiego okresu wypuszczone wtenczas kiedy papier ten znany był od lat 12tu na giełdach krajowéj i zagranicznych, stały zaledwie po siedmdziesiąt kilka za sto, pomimo że od daty wypuszczenia listów zastawnych I. okresu Władze Towarzystwa Kredytowego ani razu nie uchybiły w regularnem zapłaceniu procentu od tych papierów jako też w losowaniu i umarzaniu odpowiedniéj pierwotnemu planowi summy listów zastawnych.

Wiemy daléj że obligi indemnizacyjne Galicyjskie stoją również nie wyżéj jak po siedmdziesiąt kilka za sto [8]). —

---

[8]) Zarzuci mi może p. Sulima, że niewłaściwie powołuję się na kurs obligów indemnizacyjnych Galicyjskich, tam bowiem uwłaszczenie włościan poprzedzone zostało wypadkami które niekorzystnie wpływają na kurs tych papierów. Nieprzeczę, że wypadki te mogą mieć w pierwszych latach niejaki wpływ na kurs tych papierów, lecz z drugiéj strony należy zważyć, iż indemnizacya w Galicyi wynosiła zaledwie $1/_3$ część oddanéj włościanom ziemi, to jest że ogół papierów indemnizacyjnych przedstawiał zaledwie $1/_3$ część wartości ziemi przeznaczonej dla włościan że jeszcze na spłacenie tych papierów przeznaczone zostały nie tylko opłaty przez uwłaszczonych wnoszone, ale także od innych kontrybuentów ściągane, obligi te zatem są bardzo dobrze zabezpieczone i procenta od nich są najregularniéj opłacane.

Jeżeli obok tego zważymy, że wtenczas kiedy listy zastawne zabezpieczone są solidarnie na wszystkich dobrach, a tém samém oparte na ziemi mającéj przynajmniéj 5 razy więcéj od nich szacunku, obligi indemnizacyjne oparte być mają na ziemi odpowiadającéj tylko ich wartości indemnizacya bowiem ma być właśnie wyrównywającą wartości ziemi włościanom oddanéj, jeżeli nadto zważymy, że papiery te będą nowością, a amortyzacya tch powolniéj od listów zastawnych będzie miała miejsce: io nieprzesadzimy utrzymując, że kurs tych obligów wyższy od 80% z pewnością z początku nie będzie.

Jak już powyżéj przytoczyłem p. Sulima dzieli wierzytelności na dwojakie: Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i prywatne; co do pierwszych oświadcza, że te zawsze przy gruncie utrzymać się powinny, to jest, że właścicielowi dóbr nie wolno będzie spłacać Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego obligami indemnizacyjnemi, co do drugich te mogą być al pari spłacone, jeżeli właściciel dóbr nie będzie przekładał bez względu na wysokość długów dobra obciążających, takowych dla siebie zatrzymać.

Przypatrzmy się bliżéj jakie byłyby następstwa takiego prawa.

Wierzytelność Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego 360,000,000 złp. wynosząca zabezpieczona jest dzisiaj na całéj przestrzeni Królestwa, z wyłączeniem zaledwie $^1/_{10}$ części, na którą pożyczka Towarzystwa nie była wcale braną.

Ponieważ zaś przestrzeń Królestwa wynosi jak wyżéj przytoczono	766,218
włók miary nowopolskiéj, zatém potrącając na dobra nie obciążone pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego $^1/_{10}$ część czyli włók	76,622
Wierzytelność Towarzystwa wynosząca jak wyżéj 360,000,000 złp. rozciąga swoje bezpieczeństwo na włókach	689,596

P. Sulima chce wycofać z téj przestrzeni, która dziś w całkowitości oddaną była w zastaw Towarzystwu Kredytowemu grunta włościańskie zawiérające około. . . . . 222,564 °)
i na pozostałéj reszcie czyli włókach 467,032
oprzeć całą pożyczkę Towarzystwa.

Nie ulega zaprzeczeniu, że pomimo takiego odjęcia prawie $^1/_3$ części ziemi, na któréj zabezpieczona jest do-

---

°) *A.* Włościan osiedlonych w dobrach prywatnych, a zajmujących po 3 morgi miary nowopolskiéj lub więcéj, jest jak powyżéj przytoczono 222,494 mają oni przecięciowo po morgów 20 czyli włók . . . . 148,329.

B. Włościan osiedlonych w dobrach Rządowych, rozdarowanych, Koronnych (Księstwa Łowickiego) Edukacyjnych, do Duchowieństwa, Instytutów Dobroczynnych, Kass miejskich należących 148,446 mają oni przecięciowo po morgów 20 *) czyli włók . . . . 98,964.

Razem włók 217,293.

z tego $^1/_{10}$ część stanowi uposażenie włościan osiedlonych w dobrach nieobciążonych długiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego . . . . 24,729.

zatem w dobrach obciążonych tym długiem włościanie zajmują około włók . . . . 222,564.

---

*) Wielu utrzymuje, że przecięciowe uposażenie włościanina w dobrach prywatnych wynosi pół włóki a w dobrach Rządowych włókę; ja powyżéj brałem równo po morgów 20, a to z następujących powodów:

naprzód w cyfrę włościan osiedlonych w dobrach prywatnych nie wchodzą włościanie zajmujący mniéj od 3ch morgów, których jest kilkadziesiąt tysięcy, a tém samém przecięciowe uposażenie pozostałych jest większe.

powtóre w cyfrę włościan osiedlonych w dobrach Rządowych, rozdarowanych i t. d. wchodzą wszyscy włościanie bez względu na rozległość zajmowanych przez nich osad, to jest, z jak najmniejszém uposażeniem, co znowu jest powodem, iż przecięciowe ich uposażenie jest mniejsze.

potrzecie dobra Rządowe, rozdarowane i t. d. są w $^3/_4$ częściach oczynszowane zaczyna się i podział na mniejsze części, a ztąd i wzrastanie liczby osad, chociaż ogół przestrzeni włościańskiéj żadnemu powiększeniu nie ulega.

tychczas wierzytelność Towarzystwa, pozostałe grunta stanowić będą aż nadto dostateczną rękojmią dla téj wierzytelności: bo w takim razie summa złp. 360.000,000 opierać się będzie na 467,000 włókach miary nowopolskiéj, to jest tylko po złp. 770 na włóce, lecz nie należy spuszczać z uwagi, że takie wycofanie z pod zastawy Towarzystwa 222,000 włók miary nowopolskiéj byłoby pogwałceniem praw właścicieli listów zastawnych, które wywarłoby niekorzystny wpływ nietylko na teraźniejszy kurs tych papierów ale i następnych emissyj, a tém samém zwróciłoby się na niekorzyść tych właśnie, którzy chwilowo mają z tego korzystać, z drugiéj zaś strony jeżeli w ogólności biorąc wierzytelność Towarzystwa znajdzie dostateczne bezpieczeństwo na 467,000 włókach gruntów dominialnych, to jest folwarków i lasów, to przechodząc do wartości każdych w szczególności dóbr i udzielonych na nie pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, znajdziemy, iż pożyczki te w wielu bardzo dobrach przewyższają wartość gruntów dominialnych, a tém samém, że po wycofaniu z pod zastawy gruntów włościańskich, wierzytelność Towarzystwa nieznalazłaby dostatecznego bezpieczeństwa na samych gruntach dominialnych.

Następstwem takiego stanu rzeczy byłaby niewypłatność wielu dłużników Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, sprzedaż zalegających w opłatach dóbr, a ponieważ za dobra składające się już tylko z folwarków i lasów, nikt nie dałby na licytacyi tyle ile wynosi pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego udzielona na mocy prawa z dnia 20 kwietnia 1853 roku na grunta dworskie i włościańskie, Towarzystwo odzyskiwałoby z licytacyi część tylko swojéj wierzytelności, a o resztę musiałoby się zwrócić naprzód do własnych swoich funduszów rezerwowych, a po ich wyczerpaniu do innych dóbr obciążonych długiem Towarzystwa Kredytowego

Ziemskiego, jako solidarnie przez wszystkich stowarzyszonych poręczonym.

O ile zaszłaby w skutek tego potrzeba uciekać się do ściągania z innych dóbr niedoborów niepokrytych funduszem zapasowym, stanowiącym własność Towarzystwa, trudno dziś przewidzieć; ponieważ jednak pożyczka III. Okresu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przed pięciu dopiéro latami została udzieloną, gdy tém samém z pożyczki téj dopiero 10% umorzoném zostało, gdy nadto wiadomém jest jak podatek ofiary nieproporcyonalnie dobra ziemskie ciąży, a tém samém jak pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego oparta na tym podatku jest w znacznéj wysokości na niektóre dobra udzieloną, gdy nakoniec zwrócimy uwagę, że w wielu bardzo dobrach większa ich część zajmowaną jest przez włościan, można być pewnym, że wierzytelność Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie utrzymałaby się na kilkuset dobrach [10]), a gdy właśnie sprzedaż tych dóbr musiałaby mieć miejsce prawie jednocześnie i to zaraz po uwłaszczeniu włościan, a zatem w chwili w któréj będzie jak najmniéj konkurencyi do nabywania dóbr ziemskich, nie tylko cały fundusz zapasowy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wynoszący przeszło 21.000,000 złp. zostałby wyczerpany, ale nadto wypadłoby kilkanaście milionów złotych polskich ściągnąć

---

[10]) Te właśnie dobra, które z powodu opłacania wysokich podatków otrzymały wysoką pożyczkę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego dają po zaspokojeniu podatków mało czystego dochodu; ponieważ zaś rewizya podatku gruntowego jakkolwiek polecona Ukazem z dnia 10 stycznia 1819 r. dotąd nierozpoczęta, z pewnością twierdzić można, że wycofanie z pod zastawy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego gruntów włościańskich, spowodowałoby częściowo spadnięcie wierzytelności Towarzystwa z kilkuset dóbr ziemskich.

dodatkowo z reszty dóbr solidarnie Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu zastawionych.

Jakkolwiek zatém Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, to jest jedyny wierzyciel, którego p. Sulima uwalnia od brania al pari obligów indemnizacyjnych, jako solidarnie zabezpieczony na wszystkich majątkach ziemskich obciążonych jego długiem nie doznałby żadnéj straty z proponowanego przez p. Sulimę przymusowego poprzestania na hypotece dominjalnéj, to wszakże następstwem takiego prawa byłoby nietylko niesłuszne zupełnie użycie na rzecz kilku set dłużników Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego dwudziestu jeden milionów złp. funduszu zapasowego i jeszcze niesłuszniejsze ściągnięcie brakującego funduszu z reszty stowarzyszonych, ale co ważniejsza paniczny przestrach jakiby wywołała sprzedaż kilkuset dóbr niemogących się uiścić Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu z długu przewyższającego ich wartość, nagłe zniknienie funduszu zapasowego; a nakoniec ściąganie z wszystkich dóbr Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu zastawionych oprócz bieżących rat kilkunasto milionowych niedoborów, spowodowałby znaczne zniżenie się kursu tych papierów i wstrząśnienie ogólnego kredytu krajowego.

O wierzytelnościach Skarbowych, Banku Polskiego, Duchowieństwa, Edukacyjnych, Instytutów Dobroczynnych, p. Sulima nic nie wspomina, niewiadomo zatém czyli chce, aby te kilkadziesiąt milionów złotych pozostały przy gruncie, poprzestając na hypotece przestrzeni dominialnych, na których, jak dopiéro widzieliśmy, wyżéj od nich zabezpieczone wierzytelności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie mogły się utrzymać, lub też zamierza spłacić je al pari obligami indemnizacyjnemi.

Co do wierzytelności osób prywatnych te p. Sulima proponuje spłacić obligami indemnizacyjnemi al pari; ponieważ zaś obligi te w najlepszym razie stać będą nie

wyżéj jak po 80% p. Sulima proponuje zatém skonfiskować kapitalistom $^1/_5$ ich własności.

Powodem do tej konfiskaty ma być podług p. Sulimy ta okoliczność, że dotknie tych którzy pod żadną kontrollę do ponoszenia ciężarów niemogą być podciągniętemi i zasłonięci od rozmaitych na ogół kraju niekiedy przypadających nieprzyjemności, używają spokojnie swych majątków jak gdyby w innym jakim kraju, a nie w tym samym, majątków się tych dorobili.

Ktokolwiek zna stosunki tutejszo krajowe temu wiadomo jest bardzo dobrzo, że kapitaliści z wielką niechęcią zwracają się do ich lokowania na dobrach ziemskich, jedni bowiem przekładają je trzymać w listach zastawnych, lub innych papierach publicznych, inni w różnych spekulacyach szukają większych zysków. P. Sulima chce dotknąć część kapitalistów i to tych właśnie, którzy zrobili przysługę właścicielom dóbr ziemskich powierzając im swoje kapitały.

P. Sulima zapomina że jeżeli ziemia u nas mało produkcyjna to właśnie dla tego że mało kapitałów zwróciło się dotąd do gospodarstwa rolnego, zapomina dalej, że podstawą kredytu jest zaufanie i dobra wiara i że dla ściągnięcia kapitałów do ziemi potrzeba raczéj ułatwić subhastacye i znieść ograniczenie wysokości procentu, a nie wyrzeczeniem niczém niezasłużonéj konfiskaty $^1/_5$ części kapitału odstraszać na długie lata kapitalistów od zwracania się z swemi sumami do ziemi, która ich tak naglące potrzebuje.

Z rozbioru zatém powyższego okazuje się, że gdyby uwłaszczenie miało obecnie przyjść do skutku, to takowe mogłoby tylko nastąpić przez ustanowienie wysokości obligów indemnizacyjnych podług wartości zajmowanych przez włościan gruntów i przez następne dozwolenie każdemu wierzycielowi poczynając od Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, summ Skarbowych, Ban-

ku Polskiego, Duchowieństwa, Edukacyjnych i Instytutów Dobroczynnych, żądać spłacenia swéj wierzytelności obligami indemnizacyjnemi z dopłatą różnicy ich kursu od nominalnéj wartości, lub porozumiawszy się dobrowolnie z dziedzicem pozostać przy hypotece gruntów dominialnych.

Przypatrzmy się teraz jakie następstwa wyniknęłyby dla właścicieli, dla włościan i dla produkcyi krajowéj z uwłaszczenia lub oczynszowania [11]).

---

[11]) Porównywając następstwa uwłaszczenia i oczynszowania mówić tylko będziemy o uwłaszczeniu opartém, nie na oszacowaniu powinności włościan, lecz na oszacowaniu gruntów przez nich zajmowanych, przy którém daléj obdłużony właściciel nie będzie miał prawa pozostawiać wierzytelności opartych na gruntach dominialnych, a zabiérać dla siebie bez ich przyzwolenia obligi indemnizacyjne, lecz przeciwnie obowiązany będzie spłacać wierzycieli obligami indemnizacyjnemi i to nie al pari, ale podług kursu tych papiérów.

P. Sulima w pierwszéj chwili utrzymywać może będzie że porównanie następstw oczynszowania nastąpić by powinno pomiędzy projektem oczynszowania przezemnie powyżéj podanym i uwłaszczenia takim jakim on go zaprojektował, nie zaś dowolnie przezemnie zmodyfikowanym, bliżéj wszakże rzecz rozważywszy przyzna zapewne że pierwsze porównanie nie mogłoby być z powodów powyżéj szczegółowo przytoczonych na serio dyskutowaném i że właśnie gdybym chciał niezasadnie potępiać uwłaszczenie korzystałbym z nietrafności środków zaproponowanych przez p. Sulimę i wykazywałbym złe następstwa uwłaszczenia, chociaż takowe nie byłyby koniecznèm następstwem uwłaszczenia, lecz wypływałyby z niewłaściwego jego wykonania.

Każdy właściciel majątku ziemskiego, który traci przez uwłaszczenia część takowego ma prawo domagać się wynagrodzenie odpowiadającego wartości przestrzeni jaką utracił, wierzyciele zaś hypoteczni, których summy zabezpieczone były na całym majątku mają prawo domagać się zwrotu całéj summy, jaka przyznaną została właścicielowi dóbr za przestrzeń odpadającą, o ile wszakże ona nie przewyższa

P. Sulima utrzymuje, że tak uwłaszczenie jako też oczynszowanie spowoduje kilkoletnie zaprzestanie przez włościan odbywania robocizny za najem, a tém samém, że do przetrwania tego kryzys potrzebne są fundusze, które właśnie tylko w razie uwłaszczenia mogą właściciele otrzymać tytułem spłaty za powinności włościańskie, oczynszowanie zaś narażając właścicieli na tak samo ciężkie położenie, nie daje im możności przetrwania tego kryzys, a zatém ruiną majątkową z pewnością zagraża.

Nie sądzę bynajmniéj aby w razie, jeżeli czy uwłaszczenie czy oczynszowanie przyjdzie do skutku, włościanie mieli niewychodzić wcale na najem, będą niektórzy, albo bardzo zamożni, albo bardzo leniwi, którzy pierwsi mając czém zapłacić czynsz lub ratę indemnizacyjną, drudzy mało pamiętni zkąd ten czynsz zapłacić, nie będą wychodzili na najem, większość jednak, szczególnie gdzie niedoznawała przeciążeń od dominium będzie z ochotą wychodziła za najem, o ile ten będzie odpowiednio wynagradzany; zresztą podług podanego wyżéj projektu wolno będzie zastrzegać odbywanie przez pierwsze 6 lat po oczynszowaniu pewnéj ilości dni najmu po cenach w kontrakcie oznaczonych.

Nie do przetrwania zatem kryzys gospodarczego, o którem wspomina p. Sulima, lecz dla postawienia właścicieli dóbr w możności pomierzenia dóbr, odseparowania

---

wysokości tychże wierzytelności, gdyż w takim razie przewyżka ta należy się bezspornie właścicielowi, nakoniec wierzyciel hypoteczny, który udzielił pożyczkę w gotowiźnie nie może być naglonym do brania obligów al pari; bo inaczéj najniesłuszniéj utraciłby część swego kapitału.

Ponieważ doradzane przez p. Sulimę uwłaszczenie oparte na tych kardynalnych zasadach, niezdaje mi się aby p. Sulima mógł się użalać że porównanie to niekorzystnie dla jego projektu jest dokonane.

gruntów dworskich od włościańskich [12]) wzniesienia budowli dla komorników, lub czeladzi dworskiéj, zaopatrzenia się w inwentarz roboczy i machiny gospodarskie potrzebne im są fundusze.

---

[12]) Wprawdzie przy uwłaszczeniu proponowaném przez p. Sulimę nie ma żadnéj wzmianki o odseparowaniu gruntów dworskich od włościańskich i o ile się zdaje p. Sulima zamierza zrobić włościan właścicielami tych gruntów, jakie zajmowali w roku 1846 to jest, w większéj daleko połowie kraju gruntów leżących w pomięszaniu z gruntami dworskiemi. Czyli wszakże można uwłaszczać włościan przed odseparowaniem zajmowanych przez nich gruntów od przestrzeni dworskich, to każdy znający cokolwiek te stosunki bardzo dobrze pojmuje.

Wiadomo że włościanie tutejsi nie są skłonni do żadnych przemian pod jakimkolwiek względem, szczególniéj gdy zmiany te narażają na wydatki i uciążliwą pracę. Jedynym zatém bodźcem do skłonienia ich do dobrowolnego przyjęcia nowo zamienionych gruntów jest uczynienie uwolnienia ich od odbywania powinności w naturze zawisłém od przyjęcia nowo wyznaczonych gruntów; uwłaszczając włościan bez poprzedniego odseparowania gruntów stracimy tego jedynego bodźca, którym spowodować moglibyśmy skłonienie włościan do dobrowolnego przystania na separacyą i od posiadłości dworskich, a którą to separacyę z każdym rokiem trudniéj będzie do skutku doprowadzić bo właściciele ziemi jakiem, zostaną będą lépiéj doprawiać swoje grunta, z drugiéj strony kosztowniejsze wznosić budowle, nakoniec materiał drzewny będzie z każdym rokiem droższy, co wszystko utrudzać będzie separacyą tak że albo uczyni ją zupełnie niepodobną, albo tak kosztowną, iż pochłonie kilkoletni dochód z gruntu, to bowiem co dziś za 1,000 złp. zrobić by można kosztowałoby późniéj 8,000 lub 10,000 złp.

Pomijając wydatki na jakieby w przyszłości konieczność odseparowania gruntów dworskich od włościańskich narażiła, nie należy spuszczać z uwagi, że gdyby uwłaszczenie dokonane zostało bez poprzedniego odseparowania gruntów dworskich od włościańskich, w takim razie gdyby w skutek jakich klęsk np. wojny, kilkoletnich nieurodzajów, gradobicia, powodzi, zaraźliwych chorób znaczna ilość osad włościańskich

P. Sulima utrzymuje, że tylko w razie uwłaszczenia właściciele dóbr otrzymują fundusz na przetrwanie tego kryzys.

Widzieliśmy powyżéj, że i w razie oczynszowania właściciele dóbr otrzymać mogą odpowiednią pomoc przez udzielenie w roku 1860 dodatkowéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego ustanowionéj na podstawie pomiaru i taksy; porównajmy teraz która pomoc będzie skuteczniejszą.

Jak powyżéj przytoczyliśmy włościanie osiedleni tak w dobrach koronnych, jako też Rządowych, Instytutowych i prywatnych, zajmują około 222,564 włók [13]) miary nowopolskiéj.

Biorąc przecięciowo wartość tych 222,564 włók po Złp. 2,800 [14]) indemnizacya wynosić będzie Złp.

opustoszała lub ich właściciele nie uiszczaliby się z przypadających od nich opłat posłużyć mających na zaspokojenie procentów od obligów indemnizacyjnych i ich częściowe umorzenie, zaszłaby trudność znalezienia nabywców na te osady nie tak ponętne z powodu nieodseparowania gruntów a tém samém wyrodziłaby się konieczność dla niezdyskredytowania zupełnego tych papierów ściągać brakujące summy z włościan wypłatnych, którzy sami w skutek klęsk przez które kraj może wówczas przechodzić znajdować się będą w krytycznėm położeniu.

[13]) Powyżéj przytoczyłem że ogólna przestrzeń gruntów zajmowanych przez włościan Królestwa Polskiego wynosi włók 247, 293, z których $/_{10}$ część osiedlona jest w majoratach i innych dobrach na które pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie będzie braną jakkolwiek zatém i ta $/_{10}$ część włościan przy uwłaszczeniu otrzyma grunta na własność,— aby wszakże porównanie mogło być dokładnie zrobione, opuścimy tu tak jak i przy oczynszowaniu włościan osiedlonych w tych dobrach i mówić tylko będziemy o $^{9}/_{10}$ częściach włościan osiedlonych na 222 564 włókach.

[14]) Wynagrodzenia tego wcale za niskie uważać nie można; przecięciowy szacunek włóki w Królestwie nie wynosi dziś bo—

623,179,200, że zaś obligi te nie będą stały wyżéj jak po 80%, zatem właściwie właściciele dóbr otrzymają tylko . . . . Złp. 498,543,360.

W razie oczynszowania właściciele otrzymają jak powyżéj przytoczono Złp. 591,000,000 a licząc, że listy zastawne IV Okresu stać będą po 90% [15]) właściciele dóbr otrzymają . . Złp. 532,000,000.

to jest więcéj o . . . . Złp. 33,456,640.

wiem więcéj jak Złotych 3,500 to jest że wszystkie dobra mające włók 766,218 miary nowo-polskiej nie są więcéj warte jak . . . . . . Złp. 2,681,763,000
jeżeli zatem 247,293 włók zasiedlonych przez włościan warte byłyby licząc włókę po Złotych 2,800 . . . . Złp. 692,420,400
na grunta dominialne to jest na folwarki i lasy zawierające włók 518,925 pozostałoby szacunku . . . . . . Złp 1,989,342,600
czyli na włókę Złp. 3,833.

Ktokolwiek zna dobrze Królestwo ten przyzna, że pomijając ograniczenia wynikające z Ukazu z dnia 7go czerwca 1846 roku i przypuszczając na chwilę, że Ukaz ten przestał obowiązywać, że każdemu właścicielowi wolno jest usunąć wszystkich włościan z wyłączeniem tych tylko, którzy zajmują osady z mocy zawartych przed rokiem 1846 kontraktów, pomimo to stósunek przecięciowéj wartości włóki gruntów włościańskich Złp. 2,800 do przecięciowéj wartości włóki gruntów dominialnych to jest folwarków i lasów Złp 3833 jes raczéj za wysoki jak za niski.

Powody téj różnicy leżą:

a) w niezaprzeczenie lepszéj uprawie gruntów dworskich od włościańskich,
b) w kosztowniejszém ich zabudowaniu,
c) w kapitale jaki przedstawia drzewo w lesie na pniu stojące,
d) w ograniczeniu możności ciągnienia odpowiednich dochodów z gruntów wypuszczonych przed rokiem 1846 za kontraktami wieczystemi, za opłatą czynszu daleko niższego od najumiarkowaniéj obrachowanego dziś dochodu z gruntu, co wynikło najczęściéj z pobrania wkupnego.

[15]) Każdy zapewne przyzna, że kurs po 90% nie jest za nadto wy-

Lecz różnica pierwszéj i drugiej pomocy jest daleko większą na korzyść tej ostatniej pod innemi względami i tak:

---

soko podany, w porównaniu z kursem obligów indemnizacyjnych, który na 80% podany został.

Obligi bowiem indemnizacyjne opi erałyby się tylko na gruntach włościańskich, a wypuszczoneby zostały w takiej wysokości na jaką oszacowane by zostały dopiero powołane grunta włościańskie, gdy tymczasem listy zastawne nie dochodziły by $^2/_5$ części wartości gruntów zastawionych Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu, to jest, że gdy obligi indemnizacyjne wypuszczone w summie Złp. 623,179,200 opierałyby się tylko na 222 564 włókach miary nowopolskiej w posiadaniu włościan zostajacych, listy zastawne wypuszczone w sumie Złp. 832,000.000 opierać się będą na 689.596 włókach gruntów dworskich i włościańskich.

Aby utrzymać ten kurs nowych listów zastawnych dosyć będzie z zupełną jawnością cały ten interes prowadzić, to jest przynajmniej raz na miesiąc tak we wszystkich pismach peryodycznych krajowych, jako też w kilku zagranicznych ogłaszać krótkie sprawozdanie z działań Władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a mianowicie na ile dóbr przyznano pożyczkę, jaka jest obszerność ogółu tych dóbr — ile w tym ogóle nieużytków; a ile gruntów użytecznych, ile w tym ogóle gruntów dominialnych, a ile włościańskich — nakoniec ile wynosi przyznana pożyczka w ogólności i ile wypada przecięciowo na włókę.

Gdy zatem każdy kapitalista będzie miał na cyfrach oparte urzędowe sprawozdanie przekonywające, że ogół listów zastawnych zabezpieczony solidarnie na wszystkich majątkach Towarzystwu zastawionych nie wynosi jak po Złp. 1,500 na włókę gruntów użytecznych, to jest mniej jak $^2/_5$ części rzeczywistéj ich wartości, z pewnością twierdzić można, iż nie będzie się wachał włożyć w te papiery swoich kapitałów, a tém samem utrzyma się wysoki kurs tych papierów, który jednak zawsze z uwagi na powiększoną ilość wypuścić się mających listów zastawnych podaję o $9\frac{1}{2}\%$ niżéj od teraźniejszego ich kursu.

W razie uwłaszczenia właściciele dóbr dla otrzymania 498, 543, 360 Złp. muszą się starać o summę Złp. 125,000,000 stanowiącą różnicę kursu obligów indemnizacyjnych od nominalnéj ich wartości — w razie oczynszowania właściciele dla otrzymania 532,000,000 Złp. muszą się tylko starać o 59,000,000 Złp. a zatem o summę przeszło dwa razy mniejszą.

Po otrzymaniu pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy odjęcie robocizny następuje nie zaraz, lecz dopiero za lat parę, a tam gdzie jest dużo ziemi pod włościanami, za lat kilka, tymczasem w razie uwłaszczenia zniesienie robocizny następuje zaraz po wypłaceniu lub złożeniu do depozytu obligów indemnizacyjnych: bo nowo uwłaszczony musi zaraz opłacać raty amortyzacyjne od obligów indemnizacyjnych; w ciągu tych lat kilku właściciel może przeto powoli przygotować się do utraty pańszczyzny i łatwiéj przebyć to przesilenie.

Przystąpienie do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego będzie dobrowolne, i ten któremu trudnem lub niepodobném byłoby wystarać się o różnicę kursu papierów od nominalnéj ich wartości będzie mógł wstrzymać się z swem żądaniem dopóty dopóki nie wystara się o fundusz na tę dopłatę; może być wprawdzie znaglonym przez wierzyciela hypotecznego do przystąpienia do Towarzystwa, lecz w takim razie wierzyciel ten musi się zgodzić wziąść listy zastawne al pari, a jeżeli nie jest zamieszczony pierwszym w księdze hypotecznéj, musi dla poprzednich wierzycieli złożyć różnicę kursu listów zastawnych od nominalnéj ich wartości. — Jakkolwiek zatem wierzyciele hypoteczni mają prawo znaglić właściciela do przystąpienia z dobrami do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, nie mają prawa znaglić go do złożenia różnicy kursu listów zastawnych od nominalnéj ich wartości, a tém samém nie mogą go posta-

wić w konieczności składania gotowizny, któréj nie ma i któréj dostać nie może; uwłaszczenie zaś jako przez Rząd wyrzeczone musiałoby być przymusowém i tém samém obligi indemnizacyjne musiałyby być wierzycielom doręczone, wyrodziłaby się konieczność ściągnięcia od właściciela dóbr różnicy kursu tych obligów od nominalnéj ich wartości; że zaś jak powyżéj nadmieniłem kurs tych papierów nie byłby zapewne wyższy od 80% wyrodziłaby się konieczność ściągnięcia od właścicieli w gotowiźnie $/_5$ części nominalnéj wartości przyznać im się mającéj indemnizacyi to jest jak wyżéj obliczyliśmy 125,000,000 Złp.

Uwłaszczenie przeto włościan wyzułoby wielu właścicieli z zajmowanych przez nich majątków ziemskich czego oczynszowanie dokonane w sposób powyżéj powołany nigdy nie spowoduje.

Dla włościan oczynszowanie pod tym względem lepsze będzie od uwłaszczenia, że gdyby chcieć uwłaszczenie odpowiednio przeprowadzić a mianowicie zapewnić obligacyom indemnizacyjnym kurs nie niższy przynajmniej od 80% należałoby ustanowić od tych papierów 4 $1/_4$ % a zatem gdyby na ich umorzenie tylko 1% przeznaczyć a $1/_4$ % na administracyę, wypadałoby pociągnąć włościan zaraz po uwłaszczeniu, a zatem wtenczas kiedy najwięcéj będą mieli wydatków na przenoszenie budowli na nowe osady i inne melioracje, do uiszczania większéj opłaty od téj jakąby opłacać im przyszło, jeżeliby tylko zostali oczynszowani.

Największa jednak korzyść z oczynszowania włościan w miejsce ich uwłaszczenia wypłynie dla produkcyi krajowéj.

Na pozór zdawałoby się, że gdyby w wydać się mających przepisach o uwłaszczeniu włościan zastrzedz, iż odseparowanie gruntów dworskich od włościańskich i zniesienie służebności leśnych musi koniecznie poprze-

dzić uwłaszczenie, już tém samem położyłoby się tamę wszystkim złym następstwom pozostawienia w pomięszaniu gruntów dworskich od włościańskich i że tem samem uwłaszczenie nie wywarłoby szkodliwych wpływów na produkcyę krajową.

Bliższe jednak zapatrzenie się na ten przedmiot przekona, że gdy podług projektu przezemnie podanego właściciel dóbr wz ąłby zgóry pożyczkę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i dopiéro w kilka lat potém byłby obowiązany oczynszować włościan, a tém samém niepotrzebowałby wcale spieszyć się z oczynszowaniem i poprzedziłby je separacyą zapewniającą możność najdogodniejszego zagospodarowania gruntów dworskich i włościańskich; podług projektu p. Sulimy właściciel nie mógłby otrzymać pierwéj indemnizacyi dopóki by nie uregulował gruntów włościańskich, pomijając zatem kosztowny pośpiech z jakim wypadałoby odseparować i urządzić włościan miejscowych, właściciel bardzo często dla prędszego dostania indemnizacyi niewykonałby należycie separacyi i ograniczyłby się na poprostowaniu niektórych linij granicznych, dla zadosyć uczynienia nie potrzebom gospodarstwa wymagającego zupełnie innego oddzielenia gruntów dworskich od włościańskich, ale jedynie przepisowi stanowiącemu że uwłaszczenie włościan poprzedzone być musi odseparowaniem zajmowanych przez nich gruntów.

Rozbiór powyższy dostatecznie zdaje mi się wykazał że tak dla właścicieli, jako też dla włościan i dla produkcyi krajowéj najpożądańszą jest rzeczą, aby usunięcie robocizny było następstwem oczynszowania nie zaś uwłaszczenia, i pewnym prawie jestem, że gdyby Rząd pozostawił samym interesowanym właścicielom wybór pomiędzy oczynszowaniem poprzedzonem udzieleniem pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy i przy którem wolno byłoby przekazy-

wać czynsz od włościan na poczet rat przypadających Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu i pomiędzy uwłaszczeniem, znaczna większość oświadczyłaby się za oczynszowaniem.

Aby wszakże dać dowód p. Sulimie, że jakkolwiek zwolennik oczynszowania nie należę ani do kategoryi nieznających stosunków krajowych, ani do kategoryi fałszywych filantropów, winienem oświadczyć, że jakkolwiek tak stanowczo obstaję za oczynszowaniem, uważam jednak że takowe w takim tylko razie byłoby lepszem od uwłaszczenia, jeżeli z jednéj strony poprzedzone zostanie udzieleniem pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy, a z drugiéj dozwoleniem przekazania na rzecz rat pożyczkowych czynszów włościańskich; gdyby bowiem oczynszowanie miało być nakazane bez poprzedniego udzielenia dodatkowéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i pozostawiając exekwowanie czynszów włościańskich drodze sądowej, w takim razie jakkolwiek uwłaszczenie wywarłoby przytoczone wyżéj najgorsze następstwa dla właścicieli ziemskich, a bardziéj jeszcze dla produkcyi krajowéj, wybierając z dwojga złego, przełożyćby wypadało uwłaszczenie nad takie oczynszowanie.

P. Sulima powie może, że właśnie nie mając nadziei aby Rząd zgodził się na poprzedzenie uregulowanie stósunków włościańskich udzieleniem dodatkowéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy i na dozwolenie przekazania na rzecz rat pożyczkowych czynszów włościańskich — a wiedząc jak oczynszowanie nakazane bez tych dwóch dogodności byłoby dla właścicieli zgubnem, przełożył raczej zaproponować uwłaszczenie przy którem uregulowanie stosunków włościańskich poprzedzoném być musi udzieleniem spłaty powinności włościańskich, a tem samem udzieleniem pomocy pieniężnej właścicielom ziemskim, a nad-

to exekwowanie należności od włościan następować będzie w drodze administracyjnej na pokrycie procentów i amortyzacyę obligów indemnizacyjnych.

Tłómaczenia tego jednak przyjąć niemożna: bo skoro p. Sulima zaprojektował aby właściciele dóbr bez względu na wysokość długów dobra obciążających mieli prawo całą przyznaną im bonifikacyę w obligach indemnizacyjnych za odjęte grunta włościańskie obracać na swój użytek, pozostawiając długi dotąd zarówno grunta dominialne jako też włościańskie obciążające, przy hypotece samych gruntów dominialnych i nie miał obawy czyli Rząd przyjmie taki projekt, nie mógł się obawiać czyli Rząd zgodzi się na udzielenie dodatkowéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wynoszącéj przeciętnie tylko Złp. 1500 na włókę gruntów użytkowych, to jest mniéj jak $^2/_5$ części rzeczywistej wartości całéj przestrzeni solidarnie Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu zastawionéj i nieuwalniając od odpowiedzialności dominia dozwolić im tylko przekazywać czynsze włościańskie na poczet rat pożyczkowych przypadających Towarzystwu.

Aby dalej uniknąć zarzutu iż oczynszowanie w zanadto świetnych przedstawia mi się kolorach, winienem jeszcze zwrócić uwagę na jedną okoliczność, która utrudniać będzie zniesienie robocizny dotąd przez włościan odbywanej, to jest brak funduszu na koszta zaprowadzenia gospodarstwa bezpańszczyznianego jakiego doznają ci właściciele, których dobra obciążone są długami wyrównywającemi, a nawet przewyższającemi pożyczkę dodatkową i odnowioną jaką w r. 1860 mogliby otrzymać.

Niesporną jest rzeczą, że w połowie przynajmniej dóbr pożyczka odnowiona i dodatkowa wystarczą zaledwie na pokrycie w części lub całości długów dobra obciążających i że tem samem połowa właścicieli dozna

wprawdzie ulgi w skutek opłacania umiarkowańszych jak dawniej procentów lecz nie otrzyma żadnego funduszu na koszta zaprowadzenia gospodarstwa bezpańszczyznianego, to jest na wzniesienie budowli dla komorników lub czeladzi dworskiéj, jako też na zaopatrzenie się w inwentarz roboczy i machiny gospodarskie.

Przedewszystkiem winienem przytoczyć, że niedogodność ta wyniknie tak przy oczynszowaniu jako też przy uwłaszczeniu, gdyż jak poprzednio widzieliśmy przy oczynszowaniu dziedzice otrzymają w listach zastawnych 591,000,000 Złp. czyli licząc je po 90% Złp. 532,000,000
a przy uwłaszczeniu 623,179,200 Złp. w obligach indemnizacyjnych czyli licząc je po 80% Złp. 498.543,360
a zatem przy oczynszowaniu otrzymają jeszcze więcéj Złp. 33,456,640

Zaradzenie temu brakowi funduszu jak z jednéj strony bardzo pożądane, tak z drugiéj bardzo trudne. Rozciął wprawdzie ten węzeł gordyjski p. Sulima proponując aby właściciele mieli prawo bez względu na wysokość długów dobra obciążających, podnosić dla siebie obligi indemnizacyjne, propozycya ta jednak z powyżéj przytoczonych powodów nie może być bliżéj rozbieraną.

Niezaradziłoby temu brakowi podniesienie nieco pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, bo chociażby nie po Złp. 1,500, lecz np. po Złp. 1,800 pożyczać na włókę, przewyżka ta w dobrach bardziej obdłużonych, jeszcze nie do rąk właściciela, lecz na poczet niższych numerów wierzytelności hypotecznych musiałaby być użytą, z drugiéj zaś strony udzielanie więcéj jak po Złp. 1,500 na włókę, osłabiłoby kurs listów zastawnych ze szkodą właścicieli ziemskich obowiązanych dopłacać

wierzycielom hypotecznym różnicę kursu listów zastawnych od nominalnéj ich wartości.

Idzie więc o to, aby dać nie pożyczkę: bo ta musiałaby być użytą na pokrycie wierzytelności hypotecznych, lecz pomoc bezzwrotną to jest uwolnienie od opłacania podatków skarbowych.

Aby wydatek ten nie był tak wielkim, wypadałoby postanowić że do zawieszenia w opłacie podatków nie będą mieli prawa:

a. właściciele którzy nie przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego,

b. właściciele którzy całą lub część pożyczki dodatkowéj i odnowionéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wezmą do ręki,

c. właściciele tych dóbr gdzie włościanie są już oczynszowani i odbywają tylko dodatkowe powinności w naturze,

d. właściciele tych dóbr gdzie włościanie jakkolwiek stałą tygodniową robociznę odbywający zajmują mniej jak $^2/_{10}$ części ogólnéj rozległości dóbr.

Pozostałym zaś właścicielom wypadałoby zawieszać podatki w stosunku utraconéj robocizny, to jest postanowić że za każdy dzień utraconéj robocizny sprzężajnéj dziedzic otrzyma np. Złp. 2 gr. 15 a za dzień pieszy Złp. 1, to jest że dziedzic którego włościanie zajmujący osady trzymorgowe i większe odbywali rocznie dni sprzężajnych 500 i pieszych 2000, miałby darowane podatki Skarbowe do wysokości Złp. 3,250.

Gruba powłoka jaką finanse Królestwa są dla publiczności pokryte nie dozwala ocenić czyli wydatek ten może być proponowany bez jednoczesnego zaproponowania źródła intraty z któréj poniesionyby został.

Zdawałoby się że podniesione znacznie ukazem z d. 10 Stycznia 1849 r. podatki gruntowe [16]) dozwoliłyby zawiesić pobór podatków w dobrach oczynszowaniu ulegających, szczególnie z uwagi na ograniczenia powyżéj powołane a to tém bardziéj:

a. że skarb od r. 1855 wolny jest od opłacania kilku milionów Złp. rocznie z powodu umorzenia po tę datę wszystkich obligacyj udziałowych wypuszczonych w roku 1829.

b. że obecnie z wpływów bieżących umarza się serya Isza Biletów Skarbowych wypuszczona w roku 1848 z mocy ukazu z d. 9 Marca t. r. w summie Złpol. 6,666,666 gr. 20, a których wycofanie z obiegu w ciągu lat 12tu nakazane zostało, — że zatem po umorzeniu drugiéj seryi wypuszczonéj w podobnéj summie w r. 1854 z mocy ukazu z d. 14 Maja 1850 r. i postanowienia Rady Administracyjnéj z d. 28 Marca 1854 r. które nastąpi w roku 1865, Skarb Królestwa będzie miał corocznéj oszczędności półtora miliona Złp.

c. że z początkiem r. 1859 ma wejść w pobór podatek podymnego nowo zrewidowany w skutek ukazu z d. 10 Stycznia 1849 r. a przyczem o ile słychać będzie podwyżki 2,000,000 Złp. rocznie, nie już nad dawny podatek, lecz i nad płaconą tymczasowo tytułem zasiłku połowę opłaty szarwarkowéj.

d. że z r. 1866 przestanie go ciążyć opłata po $68^1/_5$ % od pożyczki zaciągniętéj w r. 1838 z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na 134 dóbr darowanych a

---

16) Ukazem z dnia 10go Stycznia 1849 r nakazana została rewizya dwóch podatków podymnego i ofiary, a w oczekiwaniu na rezultat rewizyi tytułem tymczasowego zasiłku dla Skarbu:
1. Podniesiono o połowę podatek ofiary.
2. Zdublowano kontyngens liwerunkowy dworski.
3. Podniesiono o połowę podatek szarwarku.

na które Skarb nie brał już w r. 1853 odnowionéj pożyczki III okresu. [17]).

e. że z dniem 1 Czerwca 1866 r. to jest po zapłaceniu ostatniej raty przypadającéj Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu z dóbr darowanych, wrócą do Skarbu dobra wydzierżawione właścicielom Majoratów na fundusz opłacania rat Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu, w skutek czego przy nowem wydzierżawieniu stu kilkudziesięciu dóbr od lat trzydziestu niewydzierżawionych spodziewać się można znakomitego plusu.

Gdyby wszakże pomimo takiego stanu rzeczy i pomimo że proponowane wyżéj zawieszenie w opłacie podatków Skarbowych częściowo tylko dochody budżetowe dotykałoby: bo dokonywałoby się od roku 1862 [18])

---

[17]) Wszystkie dobra darowane obciążone są długiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego II. okresu, pomimo to właściciele tych dóbr nie płacą rat Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu, lecz te uiszcza łącznie z ratą przypadającą z dóbr rządowych Skarb Królestwa.

Dla dania zaś rękojmi donataryuszom że Skarb płacić będzie procent od pożyczki z dóbr stanowiących ich własność, otrzymali do roku 1866 z wolnéj ręki dzierżawy dóbr rządowych przyległych dobrom darowanym, z których raty dzierżawne wnoszą do Kass Skarbowych, lecz kontrakt dzierżawny opiewa, że gdyby Skarb niezapłacił kiedy Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu raty od pożyczki obciążającéj dobra darowane natenczas donataryusz miałby prawo niezapłacić raty dzierżawcy, a w miejsce tego uiścić ratę Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu.

[18]) W roku 1861 będą czynszowani tylko włościanie w tych dobrach gdzie przestrzeń przez nich zajmowana stanowi tylko $\frac{1}{10}$ część rozległości całych dóbr — właściciele zatem takich dóbr nie będą mieli prawa do żadnego zawieszenia podatków Skarbowych.

do roku 1876, [19]) Skarb nie mógłby przy dzisiejszych funduszach przyjść w pomoc właścicielom ziemskim, wypadałoby zaproponować ustanowienie opłaty stemplowéj od spadków w prostej linii (opłaty pobieranéj już w większéj części Europy) i podniesienie podatków gruntowych z tych dóbr w których nie ma wcale włościan 3ch morgowych i z większem uposażeniem, których tem samem właściciele wolni będą od strat i wydatków na jakie narażeni zostaną ci, których część majątków zasiedlona jest włościanami.

Winienem nakoniec dodać, że jakkolwiek z tego co powyżéj przytoczono dostatecznie się wykazało, iż oczynszowanie poprzedzone udzieleniem pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy byłoby dla właścicieli, dla włościan i dla produkcyi krajowéj daleko lepsze od uwłaszczenia, pomimo to oczynszowanie rzeczywiście tylko za stan przechodni uważane być winno.

P. Sulima łącznie zapewne ze wszystkiemi zwolennikami uwłaszczenia zwycięzko woła: A co, nie mówiliśmy że oczynszowanie jest pół środkiem niedoprowadzającym do zamierzonego rezultatu, gdy uwłaszczenie wszystko od razu już kończy.

Nie zastrasza nas zupełnie ten okrzyk. — Przyznajemy że oczynszowanie jest stanem przechodnim, ale wcale nie pół środkiem. Jest stanem przechodnim ale tak niezbędnym, jak uczęszczanie do szkół przed pójściem

---

[19]) W r. 1876 czynszowani będą włościanie w tych dobrach które dopiero w r. 1866 przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i gdzie z powodu zajmowania przez włościan więcéj jak $^{9}/_{10}$ części całéj rozległości oczynszowanie w lat 10 po udzieleniu pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przedsięwziętem zostanie.

do Uniwersytetu, jak granie gamm przed graniem większych kompozycyj.

Widzieliśmy że oczynszowanie wykonane podług podanego wyżéj projektu przecina tak samo jak uwłaszczenie wszelkie stosunki pomiędzy właścicielami a włościanami, i daje właścicielom majątków ziemskich tak samo jak uwłaszczenie fundusz: niezadłużonym na ulepszenia gospodarskie, a zadłużonym na spłacenie wierzycieli hypotecznych, nie jest to więc półśrodek, a przeprowadza przez stan przechodni dla tego:

aby właściciele mieli czas przygotować się do utraty robocizny, co najwcześniéj w rok, a najpóźniéj w 10 lat po otrzymaniu dodatkowéj i odnowionéj pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego będzie musiało dopiero nastąpić, gdy tymczasem przy uwłaszczeniu z chwilą otrzymania indemnizacyi upada od razu robocizna,

aby włościanie nie byli zniewoleni w pierwszych latach po uwolnieniu ich od odbywania powinności w naturze, opłacać oprócz czynszu wyrównywającego umiarkowanie obliczonemu dochodowi z gruntu, summ potrzebnych na umorzenie kapitału wyrównywającego wartości zajmowanych przez nich osad.

aby co najważniejsza nie czynić zawisłem otrzymanie indemnizacyi od porozumienia się z włościanami, bo tym sposobem właściciele dla szybszego uzyskania indemnizacyi będą zniewoleni z jednéj strony przepłacać jeometrów, z drugiéj strony nie dopełnią należycie separacyi i o tyle ją tylko dokonają, o ile to będzie koniecznem dla zadosyć uczynienia przepisowi że grunta dworskie winny być od włościańskich oddzielone.

Gdy jednak włościanie od lat 12tu będą już czynszownikami, i przez ten przeciąg czasu przeniosą bu-

dowle na miejsca przy urządzeniu wskazane, pokasują dawne miedze i powyzbierają z nich kamienie, poogradzają nowe siedziby, powycinają krzaki i wykarczują pnie jakie im powpadają do osad, i tą powolną nieprzymuszoną, lecz wywołaną własnym interesem pracą, podniosą wartość tych osad, a z drugiéj strony włożą się w uiszczanie się pieniędzmi, wtenczas będzie można ułatwić im nabycie osad podnosząc opłatę czynszu o $^1/_{10}$ część, co bez żadnego uciążenia doprowadzi ich do własności [20].

Jak zatem z jednéj strony dla włościan przejście z opłaty czynszu do uiszczenia rat od obligów indemnizacyjnych nie będzie uciążliwe bo wywoła tylko podniesienie czynszu o $^1/_{10}$ część, tak z drugiéj strony nie wyrodzi potrzeby tak wielkich ofiar ze strony właścicieli (obowiązanych dopłacać wierzycielom hypotecznym różnicę kursu obligów indemnizacyjnych od nominalnéj ich wartości) albowiem kurs tych papierów nie będzie tak niski i jeżeli od nich zapewnimy $4^1/_2$ procentu, mogą stać blisko al pari: bo będą oparte tak samo jak listy zastawne na ziemi, a jakkolwiek listy zastawne będą przez jednych bardziéj od obligów indemnizacyjnych poszukiwane raz jako papier już od lat kilkudziesiąt

---

[20]) W dobrach gdzie włościanie płacą czynszu Złp. 1000 indemnizacya wynosić będzie Złp 20,000.

Procent bieżący od tych 20,000 Złp. wynosić będzie $4^1/_4$ % czyli	Złp. 850.
1% na amortyzacyę	„ 200.
$^1/_4$ % na koszta administracyi i fundusz zapasowy	„ 50.
Razem Złp.	1,100.

że zaś włościanie płacili czynszu Złp. 1000 podnieść go tylko wypadnie o $^1/_{10}$ część, to jest o Złp. 100.

znany i oparty solidarnie na ziemi trzy razy więcéj wartéj od ilości kursujących listów zastawnych, kiedy obligi indemnizacyjne oparte tylko będą na ziemi wyrównywającéj ich wartości, znajdą się wszakże i tacy, którzy znajdując te papiery zupełnie pewnemi bo opartemi na osadach pracą znacznie w wartości podniesionych i do których jako zupełnie odseparowanych znajdzie się zawsze konkurencya w razie gdyby dotychczasowi ich posiadacze w skutek zadłużenia się w opłacie czynszu z takowych usunięci zostali, a obok tego przynoszącemi o ¼ % rocznie więcéj od listów zastawnych przełożą je nad listy. — Zresztą na lepszy kurs obligacyj indemnizacyjnych od tego, jakiby miały gdyby uwłaszczenie zaraz obecnie nastąpiło, i to jeszcze wpłynie, że puszczanie ich w obieg będzie powolne: bo uwłaszczenie następować będzie częściowo, to jest corocznie tylu tylko włościan ilu ich przed 12tu latami zostało oczynszowanych.

Gdy przyjdzie do uwłaszczenia nastąpi nowe oszacowanie oddzielnie gruntów dominijalnych, a oddzielnie gruntów włościańskich.

Jeżeli w skutek tego oszacowania okaże się iż obciążająca wówczas (a zatem w części umorzona) grunta dominialne i włościańskie pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego znajdzie dostateczne bezpieczeństwo na samych gruntach dominialnych, Towarzystwo wypuści z pod zastawy grunta włościańskie i zahypotekuje całkowitą swoją wierzytelność na gruntach dominijalnych, jeżeli zaś Towarzystwo nie będzie uważało dla siebie dostatecznego bezpieczeństwa, będzie w części spłacone obligami indemnizacyjnemi ze stósowną dopłatą w gotowiznie różnicy kursu obligów indemnizacyjnych do nominalnéj ich wartości.

Następnie wierzyciele będą mieli również prawo żądać spłaty swéj wierzytelności obligami indemnizacyjnemi z powołaną dopiero dopłatą, i dopiero gdyby przyznana bonifikacya przewyższała długi hypoteczne, zwyżka ta poszłaby do rąk właściciela.

Ponieważ uwłaszczenie ma głównie na celu z jednej strony zasłonienie włościan od potrzeby zamieszczenia w kontrakcie o oczynszowanie zawrzeć się mającym warunku iż ustanowiona pierwotnie opłata czynszu ulegać będzie co pewien przeciąg czasu podwyższeniu w miarę podnoszenia się wartości ziemi, do czego właściciele najsłuszniejsze mieliby prawo, z drugiéj zaś strony podać tymże włościanom możność wykupienia się powoli na własność, a być może że znajdą się właściciele, którzy przełożą pobieranie bezzmiennego czynszu nad staranie się o gotowiznę potrzebną do uiszczenia wierzycielom hypotecznym dopłaty różnicy obligów indemnizacyjnych od nominalnéj ich wartości — i nawzajem znajdą się włościanie, którym z trudnością przyszłoby uiszczać więcéj o $1/_{10}$ część od opłacanego przez pierwsze lat 12 czynszu, dla tego wypadałoby godząc interesa obudwóch stron postanowić że tam gdzie obydwie strony obstawać będą za utrzymaniem oczynszowania, tam uwłaszczenie nie potrzebuje być przedsiębranem lecz każdéj ze stron wolno będzie co trzy lata odstąpić od poprzedniéj deklaracyi i żądać uwłaszczenia.

Pan Sulima utrzymywać może będzie że jakkolwiek projekt przezemnie podany doprowadzi włościan do własności, lecz w terminie znacznie odleglejszym od tego, w jakimby do niéj przyszli, gdyby uwłaszczenie wykonane zostało podług projektu jaki on podał, — na to odpowiem Mu własnemi Jego słowami: „Tu nie idzie „o to czy dziś żyjąca generacya lub następna przyjdzie „do własności i wiele generacyj włościańskich pracować

„będzie dla generacyj późniejszych, tylko chodzić po-
„winno o to, by bez krzywdy właścicieli, a przeciąże-
„nia pierwszych generacyj włościańskich, kiedyś w da-
„nym i stanowczo oznaczonym terminie, wszyscy wło-
„ścianie byli uwłaszczeni“.

Warszawa w miesiącu kwietniu 1858 r.

ALEKSANDER LUDWIG.

DZIECIĘ OKONORA

czyli

KOCHANEK KRWAWY,

PRZEKŁAD

z Tomasza Campbella.

I.

Były czasy gdy rozkoszą
Brzmiały harfy Innisfalu, [1])
Jest i czas gdy smutek głoszą,
Dzieje złej doli i żalu:
Smutne było strón ich brzmienie,
I ich dźwięków dzikie biegi,

---

[1]) *Innisfal* dawno nazwisko na Irlandyą podobnie jak *Eryn*.

Jakby wiatrów w noc jęczenie
Ponad Fion Galu brzegi,
Gdy Bard rzewnie płacząc doli
Pięknéj córy Okonora,
Nócił: jako smętna woli,
Sama zrana do wieczora,
Gdzie nie wiedzie żadna ścieszka,
Kędy z ludzi nikt nie mieszka,
Bez obrony i bez zbroi
Zwiedzać ustronną pustynię,
Gdzie dzikich zwierząt jaskinie
I przygody się nie boi.

Ale czemuż tak w ustroni,
Blade i smętne się chroni
Dziecię Okonora,
Jego miła córa?

II.

Ach! już w Erynie zielonym
Serc nie zachwyca nadobna,
W gmachu niesiada złoconym,
Do rannéj zorzy podobna.
Nie błyszczą na niej klejnoty,
Nie lśnieją drogie kamienie,
Nie wplata pereł w włos sploty;
Połysknych jak krople rosy
Na lilii, gdy promienie
Słońce nań sieje z niebiosy.
Czemuż, gdy już braci niema —

Gdyż mierząc z Burgą [2]) oręże
W boju legli jako męże,
Wieczny sen ich w grobie trzyma —
Jeszcześ w Leinstrze żyją krewni,
Od najazdu Anglów pewni;
Po cóż błędna dłużéj stroni
Od Erynu swéj ojczyzny,
I przy morskiej w Solway toni
Patrzy na morza głębizny?
Po co z łukiem zwierze goni,
Dziecię Okonora,
Jego luba córa?

III.

Albo stając osłupiona,
Czemu z nienacka się zrywa —
Wzrok jéj się iskrzy dzikością?
I znów jakby rozrzewniona,
Burzę stłumioną pokrywa —
Patrzy z anielską słodkością?
Ostry targa wiatr jéj loki —
Ona Moran! Moran! woła;
Wśród głuche idzie opoki
Gdzie śpiewa, pląsa dokoła:
I znów wraca w miejsce miłe,
Gdzie z krzyżem widać mogiłę;

---

[2]) ***Burgo*** **czyli** ***Buorgo*** **wodz angielski był jednym z dawnych najezdników w Irlandyi. Możny ród Okonorów stając w obronie swéj ojczyzny, wiele bitew z nim staczał.**

Na murawie i mchu siada,
Uzbierane kwiatki składa;
Róże, mirty, wonne zioła,
W różnokształtne splata koła;
W nie się stroi, zdobi cała;
Jakby iść do ślubu miała:
Bo choć jéj kochanek w grobie,
Myśl go jéj obecym stawia,
Zawsze widzi go przy sobie,
Czasem tkliwie z nim rozmawia —
Rada, że mogą szczęśliwi
Żyć z sobą zmarli i żywi.

IV.

Nieraz jej się przywiduje,
Iż on na tęczy zstępuje
W Erynu szacie złocistéj, [3])
Jak syn zorzy promienistéj —
Ku niéj — na jéj pocieszenie
I jéj smutku podzielenie;
To go widzi na murawie,
A przy nim trąbkę myśliwą;
To znów na wzgórzach w obławie,

[3]) W oryginale jest w *szacie żółtéj*, bo kolor żółty czyli szafranowy jest narodowym w Irlandyi. Był on także kolorem Belgijskich Celtów, co zdaje się popierać domysł tych, którzy chcą mieć Irlandczyków za współplemienników Celtów belgijskich. Nawet za nowszych czasów starszyzna Irlandzka będąc wezwana na układy z namiestnikiem zesłanym od królowéj Elżbiety, zjechała się na nie w szatach żółtego koloru.

Jak ściga sarnę płochliwą.
Niestety! jéj łowiec i sarna,
Są to widma, postać marna,
Co jéj umysł zaszły mrokiem
Gwoli jéj snuje przed okiem.
A ona powiada przecie:
Że przy Morana mogile
Najszczęśliwszą jest na świecie —
Szczęśliwszą niżli w te chwile,
Gdy przed rycerstwa oczyma
Siadała w gmachu Agryma;
Gdy w obec niéj bardy stały,
Jéj wdziękami harfy brzmiały,
Pacholęta na kolanach
Słodki morat [4]) podawały,
W szczerozłotych roztruchanach".

V.

Nie tak — sławne przodków plemie!
Nie w téj tu ci bawić ziemie!
Próżno tu Morana wzywasz,
Próżno siedzisz z okiem łzawem
Lecz powiedz: Na co nazywasz
Kwiatek ów „kochankiem krwawym" [5])

[4]) *Morat* napój z jagód morwowych i miodu; używany dawniéj zamiast miodu.

[5]) W oryginale angielskim jest: „*The flower of love lies bleeding*", co znaczy kwiat miłości leży krwią zbroczony. Tę nazwę nosi on w pospolitéj mowie ludu, i z niéj wszedł do poezyi.

Kwiat ten urósł łzami memi,
On najmilszy mi w téj dobie;
Pierwszy bowiem przed drugiemi
Zakwitł na Morana grobie.
A to miejsce méj niedoli
Na dom wzięłam z własnéj woli.
Biednam ja! lecz czczę wyroki,
Że zwróciły tu me kroki.
Do tych gór nieznana ścieszka,
Wśród ich opok wolność mieszka.
Sam niewolnik tu jest panem,
I ja wolnam z mym Moranem.
Te wąwozy, las, opoki,
I ów Niebios strop wysoki,
Świadczą razem wzrokiem swoim,
Żem ja jego, on jest moim.

VI.

Okonora jestem dziecię,
Ród mój z królów na Erynie,
Sławą miałam słynąć w świecie,
Jak dom przodków moich słynie.
Cóż gdy życia sam początek,
Uwikłany w krwawy wątek!...
Lecz przebóg!... Błyskiem znów lecą —
Cisną się zbrodni widoki —
Znów przed okiem duszy niecą
Zgrozę nocy, krwie potoki,
Kiedy Morana skrzywdzono,
Podłość rodu zarzucono,

I mu wręcz zapowiedziano!
Nie dla niego moje wiano.
Inna dlań oblubienica,
Nie z Okonorów dziewica;
Sławę ich domu potęgi
Opiewały Tary księgi [7])
Świadki temu godła w herbie,
Gdzie mężnego Etha [8]) sława
Miecz był nie o jednéj szczerbie,
I Kathala Ręka Krwawa,
Wielkość od wieków i chwała
Z ich się rodziną bratała,—
A mój Moran nosił w herbie,
Miecz o jednéj tylko szczerbie!

---

[6]) *Księga Tary* albo jak w oryginale nazwana *Psaltery* (psałterz), była rodzajem naszéj metryki koronnéj, czyli księgą wywodową szlachty Irlandzkéj. Niema narodu pyszniącego się więcéj od Irlandczyków z dawnością swych rodzin. Gdy jednemu z O'Neilów raz powiedziano, iż Barret Castlemone sięga szlachectwem roku 400, „Fraszka!" — odrzekł na to O'Neil — „On się wczoraj urodził — gardzę tym chłopem". Najświetniejszą i najdawniejszą epokę swego kraju odnoszą Irlandczycy do panowania wielkiego ich monarchy Ollam Fodlah, który według ich kronik miał panować r 950 przed erą chrześciańską, i pierwszy zaprowadził zjazdy na obrady narodowe. Posłowali na te obrady druidowie, lub też inni świadomi potrzeb kraju wolnemi głosami ludu obierani. Zjazdy te miały miejsce co trzy lata. Po obradach podejmowano posłów na ucztach w pałacu Tara: obszernym na 900 stóp kwadratowych. W nim miało być 50 obszernych sal, tyleż pokoi sypialnych. Każdy naród jak i my, ma swą bajeczną historyę.

[7]) *Eth* czyli *Aeth O'konor*, potomek bliski Kathala *z krwawą ręką* zbił w walnéj rozprawie najezdników Anglików. Dowódzca ich umarł ze smutku po téj klęsce.

VII.

Oj bracia! na cóż się zdało
Że wasz honor był pomszczony
Tylu Anglów gardła dało
Burgo z jazdą rozgromiony?
I cóż dla mnie i Morana
Że pod znaki wasze stawa
Tłuszcza lenników poddana,
I cześć hołdu wam oddawa?
Albo że gór tysiąc w łunie
Waszych zwycięztw ogúmi płonie? [8])
Cóż, że w swéj dzierżycie mocy
Eryn do morza północy!
Alboż gwałt gróżny żelazem
Ma i dla serc być nakazem?
Nie! Niech orły zmienią pierze,
Gaje zieleń, barwę kwiaty —
Serce to trwać będzie w wierze,
Rychléj się rozprzęgną światy!

---

[8]) W każdéj pomyślnéj dla kraju okoliczności zwyczajem było w Irlandyi i Szkocyi zapalać ognie po górach. Ognie te do dziś dnia zwane *bon fires*. Są one zabytkiem obchodów pogańskich świąt. Zwyczaj ten szczególnie był zachowywany w maju, dla tego też miesiąc ten podziś dzień nazywany w Irlandyi *Mi Beal* miesiąc ognia. W nim palono ognie na cześć słońca, i mnóstwo gór dochowało ztąd swe nazwy *Cnoc greine* czyli pagórki słońca. Na wielu widać jeszcze rozwaliny ółtarzy Druidów. W Szkocyi ognie te po górach służyły przed stu laty za hasło dla Klanów do zbierania się na wojnę. I w Polsce niegdyś zapalane były na słupach obwiniętych słomą ze smołą podczas wojen z nieprzyjaciołmi.

VIII.

W mroku przy powrocie trzody
Spiewał piosnkę Moran luby:
„Wynijdź luba czeka młody —
Czeka młodéj spełnić śluby.
Wnet pierwospów będzie pora,
Stoi łódka u jeziora —
Za jeziorem rącze konie —
Uniosą przez góry, błonie,
Nas do Zamków O'konora —
Uchodź razem z łowcą twoim,
Ja stać będę u jeziora
I czatować z sercem moim
Aż cię ptaszynę ułowię,
Droższą mi nad życie, zdrowie;
W moje cię zawiozę progi,
Domek ci wystawię błogi,
Wszelkie dam ci w nim wygody,
Znosić będę miód, jagody,
Grać na kobzie przy twym boku —
Uchodź ze mną w nocy mroku".

I jakże niepójść? — Psy gończe
Przodem, ścieszką biegły rącze:
Świecił księżyc — szłam stroskana
Za światłem oczu Morana.

IX.

Rączośmy polem spieszyli
W strony za poranną gwiazdą,
Ledwo o zorzy zoczyli
Zamek Okonorów gniazdo.
W tęśmy się skryli pustynię
Do niéj człeka nic nie złudzi;
Dla mnie jak z klatki ptaszynie
Milszą była że bez ludzi.
On na łowy, górą, dołem,
Wychodził z łukiem, z sokołem—
Jam z wieczerzą go czekała,
Szczęsna całym dzień śpiewała.
Lecz nie długo szczęścia było,
Szczęście w rozpacz się zmieniło.
Rychłoś godzino wybiła,
Coś mnie i jego zgubiła.

X.

W nadwieczornéj było porze,
Zcichł szum wiatrów, zcichło morze,
Gdy przy nim siedząc przed chatą,
Słucham — Alić psów szczekanie.
„Słyszysz?“ — A Moran mój na to:
„To, luba, orła hukanie“.
Oj, nie był to orzeł z skały,
Buldogi to nas szukały.

Obal odszczeknął z łożyska.
Już szczekanie słychać z bliska,
Słychać zgrai gwar, okrzyki, —
Wytropili nas złośniki.
Oszczędź go Desmondzie srogi!
Zlituj się, nie szarp Brazyli!
Psy nieznały serca trwogi.
Bracia się z mieczmi rzucili.
Własną piersią chcę go bronić —
Próżnom chciała go osłonić,
Miecze dosięgły Morana.
Jednym ciosem legł na ziemi,
Poniósł krocie cięć drugiemi —
Od mych braci każda rana!
Gdy ucichły zgonu jęki,
Bracia dół wygrzebli sami —
Ziemią ciało zasypali
I po ziemi téj deptali.
A jam nieszczęsna patrzała,
Jak z pod ziemi krew pluskała!

XI.

Tak w utkanéj z ran koszuli
Morana ziemią nasuli.
Dzwon nie dzwonił, mszy nie miano,
Gdy do grobu go spuszczano.
Ja do zamku zawleczona
Uległam na czas przemocy;
Lecz na zmysłach zamroczona
Nieznałam, ni dnia, ni nocy:

Gruba noc, i ciągle jedna,
Mnie pomroką ogarniała;
Gdym do zmysłów przyszła, biedna,
I rozpoznać dzień zdołała,
Niewidziałam jedno braci,
W groźnéj wedle mnie postaci.
Na iskrzący gniew z ich wzroku,
Łzy się wstecz cofały w oku,
A miasto bólu ulżenia
W piersi wracały westchnienia.
Jeśli wewnątrz serce biło,
Bicie to na zgon dzwoniło.

XII.

Niebo w końcu mrok zgarnęło,
I widność stawiąc przed oczy,
Na duszę jasnością tchnęło —
Ogień poczułam proroczy.
Trzykroć wschód zabłysnął krwawo,
Zbrojni szli Anglowie w szykach —
Szli, jak na zwierza obławą,
Idą myśliwi w okrzykach.
Stawam w nadludzkiéj postaci,
I przed sąd mój wzywam braci.
Stają wi ni, każdy zbrojny,
Z tarczą, z orężem do wojny.
Burgo bowiem z swemi hordy
W Ulsterską wpadłszy krainę,
Wszędzie mieczem szerzył mordy,
Wszystko obracał w perzynę —

Nieba poziom był roztlony,
Od pożarów nocnėj łuny.
U góry na wieży szczycie,
Gdziem spędzała nędzne życie,
Tkwiał mych przodków sztandar dawny,
Ich zwycięstwy w bojach sławny.
Ja chorągiew tę wynoszę —
Dając braciom, jak duch zbladła,
Że się w żyłach krew im zsiadła —
I przeznaczeń wyrok głoszę: —

XIII.

„Idźcież — rzekłam — idźcie w pole,
Serca bez czucia i trwogi,
Kamienne na siostry dolę,
I nie wróćcie w ojców progi!
Rychlėj nad kim zbrodnia ciężу
Nie da gardła pod miecz ostry,
Niż chorągiew ta zwycięży,
Rozwinięta klątwą siostry!“

Świadczę się ojczyzną miłą,
Mą miłością, tą mogiłą —
Nie byłabym to stargała,
Co przyroda krwią związała;
Lecz duch jakiś stał przy boku, —
On gniew niecił w moim wzroku,
I w duszy żarzył szaleństwo,
Żem wyrzekła to przekleństwo.

XIV.

Tu, radziby się żegnali,
Tu, radziby się modlili,
Aby Niebo przebłagali
I mą klątwę odwrócili.
Alem ja ręką skinęła,
I do modłów moc odjęła:
„Precz z tąd! Na Athurny błonie
Nieście waszéj dumy znamie,
Kędykolwiek wam powionie,
Dosięgnie was śmierci ramie!
Spieszcie, gdzie żołdactwa hordy
Pragną was na zbójcze mordy;
Gdzie waszych przodków dziedziny
Porosną osty, krzewiny —
A jako cichą murawa
Co się po grobach zieleni,
Na taką się cichość zmieni
Okonorów rodu sława.
Spieszcie na Athurny pola, [2])
Tam was spotka wasza dola—
Tam — nim słońce zajdzie w toni,
Z kruków całun was osłoni;
Nikt się przy zgonie nie zdarzy,
By przyłbicę zdjąć wam z twarzy.

---

[2]) Bitwa pod Athurną stoczona roku 1315 rozstrzygnęła ostatecznie los Irlandyi. — W niéj wojsko Okonorów pobił na głowę William de Bourgo, i wódz Irlandzki Felin Okonor poległ z braćmi na pobojowisku.

XV.

Na wzniosłéj wieży nad nami,
Zdawna wisiał dzwon święcony,
Pokąd miotałam klątwami
Wisiał cicho niewzruszony;
Lecz wręcz za ich dokończeniem,
Sam się ozwał ciężkiem brzmieniem.
Bracia gniewni wyszli w pole,
Tłumiąc zgryzot swoich bole.
I owóż, gdzie wzniosłe wzgórza —
Jak bystre wśród skał potoki
Spienione szumią do morza,
Tak rączemi dążą kroki
Okonorów szyki zbrojne:
Setne hufce Innisfalu
Spieszą ochoczo na wojnę —
Na wojnę gorzkiego żalu.
Wszczął się, oto, szturm wichrowy
I z hełmów pióra rozrywa —
Oto, błysnął łysk krzyżowy,
I znów ciemność je okrywa —
Jeszcze ztarły się ich dłonie
Na ducha błyskawic łonie.

XVI.

Jam tu uszła z trosk siedliska,
Aby mieszkać przy Moranie.

A gdzie owa chatka niska,
Widząc jego łuk na ścianie,
Zdjęłam go, ślubując szczerze,
Mieć go za moje kochanie,
Z nim po górach ścigać zwierze —
Nic milszego niemieć sobie
Nad Morana w krwawym grobie.
A że z królów jestem plemie,
Biorę w moc tę dziką ziemię.
Nic niepomna — zapomniana —
Osiąść chcę między głazami,
I na mogile Morana
Pielęgnować ów „Kwiat“ łzami.

K. Lach Szyrma.

PADYSZAH

I CZTÉRECH DERWISZÓW *)

(Powieść Derwisza Drugiego).

Derwisz wtóry odemknąwszy ust zaworę pokazał takie kwiaty dotąd chowane w pączku tajemnicy, rzekł: Najdrożsi wy co w głowie um macie, pożyczcie jedną godzinę słowu mojemu! Bracia wędrownicy po wspólnéj drodze, towarzysze szukający prawdy, dowiedzcie się a bynajmniéj niewątpcie że:

Jestem syn króla Persyi. Ojciec mój niemając dzieci, myślał żem jego jedyny dziedzic i następca tronu. Przeto mię bardzo kochał, a ja będąc jeszcze pacholęciem, mądrze z pomocą Bożą, kierowałem wszystkiemi państwa sprawami. Bez wszelakiéj trudności, owszem łacno i zręcznie rozkazywałem i rządziłem. Ze wszystkich zabaw najlepiéj lubiłem polowanie. Razu pewnego za-

---

*) Zob. *Dodatek* z października 1857.

chciało mi się spędzić czterdzieści dni na łowach. W szczęsną godzinę, wskazaną przez astrologa dworu, wyjechałem. Mój wielki łowczy i leśniczowie przygotowali wszystko potrzebne, panterę, sokoły, jastrzębie, orły, wyżły, charty, łuki, arkany, słowem na niczem niezbywało. Ze wsi zwołani ludzie na obławę nagnali z okolic mnóstwo zwierzyny. Na dane hasło że już wszystko w pogotowiu, książęta wysokiego rodu i panowie znamienici zaczęli łowić lwy i sarny. Ja, wśrodku obławy, stojąc na wzgórzu patrzałem i cieszyłem się widokiem; aż tu bieży gazelka, tak piękna i rącza że języki ludzkie napróżnoby się kusiły wychwalić ją godnie. Na szyi miała obróżę złotą, na nogach pierścienie złote rzęśniejące klejnotami, na obu rożkach skówki złote a grzbiet pokryty maleńkim, ślicznie haftowanym czapraczkiem. Co mię najbardziéj zdziwiło to, że wcale niedzika, zwyczajem stepowych gazelek, ale śmiało i spokojnie tu i owdzie biegała sobie nie uciekając od nikogo. Zapragnąłem złowić ją żywą i ani mi na myśl przyszło, że to sidło zdrady. Zaczęliśmy więc przemyślać nad sposobami pojmania jéj. Zewsząd na nią rzucano petle i arkany, nikt nie trafił. Spłoszona gazelka rzuciła mi się pod nogi jak gdyby prosząc o ratunek, chciałem ją schwytać ale wymknęła się z pod konia. Więc ja za nią, gonię cwałem po pustyni, wołam na myśliwych aby żaden mi nie przeszkadzał, że sam jeden chcę złowić ją, że ona dla tego się niedaje iż tłum ją trwoży. Otóż z arkanem w ręku, sam tylko pędzę za nią, za tą gazelką biady. A ona to podbieży to znowu zatrzyma się i patrzy na mnie, już już ją łowię, już arkanem rogów dotykam, skoczyła naprzód i znowu staje i tak daléj i daléj, od poranku aż do zachodu słońca cwałowałem za nią. Nakoniec koń mój znużony niemógł biedz daléj, a ja zniecierpli-

wiony i zagniewany przywiązałem arkan do troków. Dobywszy mój łuk z kości słoniowéj, kładę na cięciwę jedną z mych strzał orlego lotu, celuję w lewe udo gazelki niegodziwéj i napiąwszy łuk, strzelam!— Los zdarzył że strzała zawisła tylko ale nie przeszyła na wskróś uda. Gazelka stanęła. Było to blisko jakiegoś skalistego wzgórza, na które po chwili wbiegła i z oczu mi znikła. Rzekłem sobie: zapewne gdzie upadła. Zsiadam z siodła i czynnie tu i owdzie szperam a wypatruję. Nigdzie ani śladu, a tu już noc zmierzchła i ciemność świat zakryła. Ujrzawszy na pochyłości wzgórza jakąś kaplicę otoczoną kilku drzewami, postanowiłem noc tam przespać aby jutro wrócić nazad do myśliwców moich. Przychodzę przed kaplicę i widzę przed nią krynicę wody przeźroczystéj jak źródło rajskie. Siadam na brzegu jéj, umyć sobie ręce i twarz i orzeźwić się świeżym napojem. Nagle usłyszałem głos idący ze środka budowy; ktoś mówił: „o towarzyszko wierna, o przyjaciołko najdroższa, jakiż to niegodziwiec, jaki okrutnik nieulitował się ciebie ani się bał Boga, ani wspomniał na dzień Sądu Ostatecznego i ranił cię kochanko! Twórco przedwieczny, zrań także mu serce a niechaj nieujrzy pociechy ani dobra od kochanych swoich!“

Wyrazy te zasmuciły mię. Wchodzę do kaplicy, widzę tam starca z sędziwą brodą, jak kamfora, w czarném odzieniu, siedział skrzyżowawszy nogi i na nich trzymał moją gazelkę. Powitałem go, chciał wstać przez grzeczność, alem się niezgodził na ten trud staruszka i prędko usiadłszy rzekłem: Czcigodny a litościwy mężu, widzisz przed sobą winowajcę, lecz Bóg mi świadkiem, żem to uczynił w jednéj z chwil owych gdzie człowiek nie jest panem siebie, pozwól mi więc nietracić nadziei że grzech mój przebaczyć raczysz. Rzekł mi:

Młodzieńcze! Bogu zostawmy sąd o grzechach prawowiernych sług Jego! Po tak dobrym początku, wspólnie

wydobyliśmy strzałę z uda gazelki, opatrzywszy ranę i odmówiwszy pacierz wieczorny zaczęliśmy miłą a poufałą rozmowę. Starzec postawił najlepszą na jaką się zdobyć mógł wieczerzę,—zjedliśmy. Niebawem sen mię zmorzył, zacząłem zasypiać, widziałem tylko że mój gospodarz poszedł do przyległéj alkowy i skrył się w niéj za kotarę. O północy, zbudziły mię jęki i płacz starca, słyszałem wyraźnie łkanie jego z pod kotary i skargi.

Wiersz. Niebo, dopókiż mi krwią płakać, jak obłok deszczowy? zlituj się Niebo, nad zbolałém sercem człowieka!

Zdziwiony rzeczą i wyrazami zbliżam się pod kotarę cicho podnoszę róg jéj, zazieram i widzę: na łożu wzniesionem pośrodku alkowy, siedziała wdziękini, piękna jak księżyc, ubrana jak europejska pani, na głowie europejskie ubranie, w ręku skrzyneczka osypana brylantami, jedna noga spuszczona, a nogę tę całował on starzec i płakał tarł ją twarzą swoją i narzekał, ale wdziękini, rzekłbyś dumna pięknością swoją ani raczyła nań rzucić oczyma.

Wiersz. Masz puszek młodości na twarzy i plamkę czarną jak indyanin i usta jak rubin Bedechszański; księżycu mój! jedynym niedostatkiem twoim jest brak litości *)

O derwiszowie, bracia!— od pierwszego spojrzenia rozum i przytomność straciłem, pierzchnęły z wiatrem, krzyknąłem i bez zmysłów upadłem. Obudziwszy się, widzę że starzec skrapia mi twarz zimną wodą i łzami swojemi i mówi:

Wiersz. Kto, jak ja, oddał jéj serce swoje, ten nieszczęśliwszy od nas i godzien politowania.

---

*) **Dosłownie: jedynym niedostatkiem twoim jest żeś nie muzułmanka.**

Rzekłem: Starcze zdradliwy i chytry, kto ta huryska, jak się nazywa, zkąd rodem? Ta róża bez cierni z czyjego kwietnika? Ten cyprys, swobody drzewo z czyjego sadu? Czyj dom osierociłeś wydzierając mu taką pieszczotkę aby ją tu na pustyni uwięzić? — Odpowiedział mi: Sam u niéj zapytaj. Więc boso i bez czapki *), z głową niegrzecznie obnażoną stanąłem przed nią i zaimprowizowałem:

Wiersz. Europejskim zwyczajem, z nagą głową przychodzę do ciebie, bom ja żebrak europejski ty król Europy.

Powitałem ją — nieodkłoniła mi się, więc rzekłem:

Wiersz. O ty na któréj twarzy miesiąc, a na czole twojém gwiazda Wenus!

Wdziękini ma prawo być dumną, to przywiléj piękności, wszakże nieszkodziłoby oddać grzeczność za grzeczność. Racz mi powiedzieć kto jesteś, a jeżeli ten starzec obraził ciebie, daj rozkaz, skiń, abym natychmiast pomścił się. — Znowu nic nieodpowiedziała. Napróżno błagałem i prosiłem — ani drgnęła. Oziębłość ta tak mię rozgniewała, że trąciłem ją ręką, uczułem chłód i ból. Wpatruję się bliżéj aż to kamienny posąg arcydzieło jakiegoś rzeźbiarza co z marmuru wyciosał księżyc **), a jakiś Mani ***) ubarwił go tęczą życia! Więc z głębi serca westchnąwszy zacząłem siebie łająć: O głupie serce ty moje, patrz w jaką kamienną pastkę wpadłoś i otworzyłoś przed sobą wrota boleści i biéd na przyszłość. Potém obróciwszy się do starca zawołałem:

---

*) T. j. nie obyczajnie; na wschodzie nieodkrywają głowy nawet w obecności króla.

**) T. j. piękną kobietę.

***) *Mani* Rafael persów, ten sam co był założycielem sławnéj Manichejskiéj sekty, największy malarz swojego wieku.

Starcze bałwochwalco! człeku zdradzieckiéj, czarnéj duszy, zgrzybiały kuglarzu, niecny oszuście i czarowniku, robiąc to osobliwsze a dziwne pięknidło, stawiąc na drodze sług bożych, tę szatańską samołówkę, chciałeś aby jak ty kłaniali się bałwanom i zapomnieli czci Boga żywego?— Starzec uśmiechnął się i rzekł: Gorączko młoda, bodajeś był tu nigdy nieprzyszedł, bo nie życzę nikomu aby cierpiał co sam cierpię i dzielił biadę moją. Rzekłem: tak, tak, tobie śmiech, uwikławszy mię w sidło zdrad twoich, żartujesz sobie; więc to o toś się modlił wczoraj wieczorem? — Dosyć już tego, natychmiast albo zgaś namiętność wrzącą w sercu mojem, albo powiedz gdzie oryginał téj kopii, gdzie kobieta z któréj wzoru ten posąg ciosałeś, gdzieś ją widział i czemu kalasz się bałwochwalstwem dla niéj? Czemu żyjesz jak kruk w pustyni, samotny? Jak się zowiesz? —

Rzekł: — młodzieńcze: powieści mojéj nie zniesie ucho człowieka. Niebadaj daléj. Jeżeli ci droga spokojność duszy, myśl że ci się przyśniło, że niczegoś ani słyszał ani widział posągu i wracaj z Bogiem!

Rzekłem: Starcze, ja muszę dobadać się prawdy chcę, muszę, powinienem wiedzieć, i nieodstąpię ciebie aż mi wszystko wyznasz!

Ale czegóż to tobie.

Rzekłem. Poeci mówią „serce uwięzło w miłości.“ — Chcę dowiedzieć się w czyjéj zarośli mam być słowikiem i na ogniu czyjéj świecy motyl miłości mojéj osmolił sobie skrzydła? —

Rzekł: Dziecko ty moje, wiedz ani powątpiewaj, że: nazywam się *Neamon podróżnik*, urodziłem się w Persyi na granicach arabskiego Iraku. Ojciec mój zostawił mi był w dziedzictwie majątek nielada. Od pierwszéj młodości podobałem sobie w podróży i zawszem lubił zwiedzać rozmaite strony świata, ale w żadnym kraju

niebawiłem dłużéj nad czas potrzebny dla handlu mojego, owszem ustawicznie jeździłem z miejsca na miejsce, dla rozmaitości i gdy takim sposobem, zwiedziłem wszystkie siedm klimatów ziemi, ziomkowie moi dali mi przydomek *podróżnika.*

Pewnego razu zapragnąwszy zobaczyć Europę, dałem znać o tem znajomym i wielu kupców zażądało towarzyszyć mi w téj podróży i obrali mnie za swego przewodnika. Otóż jadąc z krain do krain, przybyliśmy do miasta nazwanego *Pierwsza błogość Wszechświata.* Było to nie jedno ale dwa ogromne miasta na brzegu morza oddzielone od siebie szerokością wielkiéj rzeki. W każdem z nich panowało dwóch królów a granicą ich posiadłości była owa rzeka. Miejscem naszego pobytu uczyniliśmy miasto zabudowańsze i ludniejsze, a zatem wygodniejsze dla handlu i często odwiedzane przez kupców muzułmańskich. Przedaż towarów naszych szła dobrze. Pewnego dnia rano siedząc w moim sklepie patrzę aż przychodzi do mnie eunuch haremu bogato odziany, a za nim jakaś kobieta lat podeszłych i kilku sług murzynów. Pytali gdzie jest starszyna kupców muzułmańskich, towarzysze wskazali na mnie. Powitali mię grzecznie i łatwo się domyślałem, że należeli do jakiegoś zamożnego domu, więc przyjąłem ich z uczciwością, i zapytawszy o zdrowie, oświadczyłem gotowość usług moich.

Eunuch rzekł: Księżna i pani nasza słysząc że przyjechali kupcy muzułmańscy z towarami u nas nieznajomemi, chciałaby widzieć wasze najdroższe materye.— Bądź łaskaw, weź próbki najlepszych i zanieś je dla pokazania. Natychmiast więc wybieram co najpiękniejsze własnych i towarzyszów, i razem z eunuchem idę do pałacu królewskiego. Jak tylko weszliśmy a był to dworzec bardzo wspaniały, wprowadzono mię do środka haremu. Dziwiłem się wysokim ślicznie ozdobionym

salom. W każdéj z nich pełno pięknych dziewic i kobiet bez opony i zasłon. Wszystko europejki z licem słońca, z godłem księżyca, wszystkie udatne z jaźminowéj białości szyją z oczyma patrzącemi jak miesiąc pogodnéj nocy, to promieniącemi się pokojem serca to z pod rzęsów czarnych święcącemi dziko i żywo jak spojrzenie gazelli. Ich usta świeże i na pół rozwite jak pączek róży, ich warkocze mające zapach i barwę piżma, spadały, wijąc się niby arkany do łowienia serc. Wszystkie słodko wymowne albo śpiewające mile. Słowem rozkosz i pieszczota, a najśliczniejsza,

wiersz. Wdziękini z jaźminową piersią, z oczyma jak zdrój życia, w szaty czarne okryta od głowy do stóp;

Siedziała w krześle, a w koło niéj, rzekłbyś orszak gwiazd, stały dziewczęta o cyprysowych kibiciach rzeżwe, hoże i wesołe, tylko ich pani ze spuszczoną głową ze smutkiem na twarzy i zasępionem czołem.

Patrząc na ten orszak hurysek i peri, olśniony blaskiem téj mlecznéj drogi nieba piękności, jak podstrzelony ptak omal nie upadłem, wszakże wstrzymałem westchnienie, i udało mi się być panem siebie, a to było nie łatwo:

wiersz. Bo jak wzbronić miłości zakochanemu sercu? Bo jak przekonać motyla, że spłonie, lecąc na ogień świecy?

Krótko mówiąc roztopiwszy się w gorącéj atmosferze niebieskiéj piękności pani i sług jéj, nie byłem w stanie ani ust otworzyć ani iść daléj. Stałem osłupiały i jak przymarzły na jedném miejscu.

Po kilku chwilach milczenia, owa pani haremu europejek, podniósłszy głowę, spojrzała ku mnie i uśmiechnąwszy się tak rzekła:

wiersz. Niegrzęźnij w smutkach życia, jak czapla

w bagnisku. Raczéj jak słowik przelatuj z krzewu na krzew.

— Kupcze muzułmański, — zbliż się i pokaż twój towar.

Ośmielony spojrzeniem łaskawem, choć palącem, postąpiłem naprzód i takiemi wierszami przemówiłem do niéj:

— Niech powiew strapienia nieschyli palmy wzrostu twojego; niech cień łaski twojéj ocienia wiecznie skroń moją!

Tak zacząwszy od darowania duszy i serca, skończyłem na wysypaniu przed nią moich najlepszych pereł i kamieni. Potem pokazałem kilka próbek najdroższych szalów i materyj.

Rzekła: „Muzułmanku, niech to wszystko tu zostanie. Jutro przyjdź dla wzięcia należnéj ceny“.

To, *jutro przyjdź*, tyle mię rozradowało, jak gdyby mi darowano świat cały. Boże, więc że raz jeszcze ją zobaczę! — Podziękowawszy jéj od serca, wróciłem, serce już nie moje przy niéj zostało! Zamknąwszy drzwi sklepu, usiadłem w kątku łzy lejąc, szlochając, żaląc się i stękając. Skarżyłem losy moje lecz i siebie samego nieszczędziłem: — mówiłem w duszy co to za dziwactwo, jaka niewczesna pycha roić sobie że możesz pozyskać względy takiéj kochanki! Niepotrzebnie psujesz krew sobie, uschniesz od smutku i spalisz się nikczemnie jak garść lichéj słomy na ofiarnym ołtarzu miłości. Skończy się na tem że wiatry rozwieją duszę twoję i drogocenny rubin życia pogrzebiesz w piasku śmierci. Co ty robisz zuchwały szaleńcze, jaką klęskę sprowadzasz sobie na głowę! Co ty teraz poczniesz z tą namiętnością gwałtowną! — A taka mię tęsknota, taka rozpacz dręczyła, że śmierci jak błogosławieństwa wzywałem. Cały ten dzień i całą noc przebolałem w mękach.

Nazajutrz ledwie się słońce podniosło, stanąłem u drzwi pałacu haremowego. Eunuch już czekał na mnie biednego i jak tylko mię ujrzał, zawołał: „Spiesz się co rychléj! spiesz, księżna pyta o ciebie!“

Co najprędzéj wchodzę. Jak tylko ujrzała żem smutny, łaskawie kazała mi usiąść. Pytała ile kosztują wczorajsze towary. Odpowiedziałem:

— „Niech cię Bóg długiem życiem uszczęśliwi! To fraszki, dasz, nie dasz, co łaska“. Osłodziwszy usta uśmiechem, kazała przynieść sługom kieskę złota i dać mnie. Zawstydzony i zmięszany, z głową spuszczoną nie śmiałem podnieść oczu, a w duszy mówiłem sobie: aj, aj, otóż i koniec wszystkiemu! Chciałem wstać i odejść...

Rzekła: „Muzułmanku, zostań tu jeszcze z jaką godzinę. Mam z tobą do pomówienia.

Na taką wieść najmilszą uradowałem się i znowu siadłem. Służące na jéj rozkaz przyniosły na tacach łakocie i sorbety, a księżna co chwila pozierała na mnie miléj i miléj, rozdymając płomień mojéj miłości, a ja jeno ofiarny baran pod nożem drgałem i po cichu powtarzałem:

wiersz. Milczę w zdumieniu nad wdziękiem twych oczu; ginę w uroku twych spojrzeń gazellowych.

Jak tylko w rozesłanym obrusie postawiono śniadanie, moja kwiatolica zaczęła płakać jak wiosenny obłok, łzy jéj toczyły się jako perły urjańskie po alabastrze jagód. Po płaczu i tęsknocie niechętnie zjadłszy kilka kąsków, kazała wynieść śniadanie, i gdyśmy umyli ręce i usta, służący rozeszli się; sam na sam zostaliśmy. — Wtedy zaczynając rozmowę spytała: „Wiele masz kapitału?“

— Sługa twój ma do 10,000 tumanów. *).

*) Fr. 125,000.

— Ileż do roku możesz mieć z tego procentów?

— Ile Bóg da.

— Wieleś zamierzył sobie zyskać przez teraźniejszy pobyt twój w Europie?

— Tyle, ile się Bogu podoba.

— Zapewne jakie 1000 tumanów mniéj więcéj.

— Mam rozmaite towary, jeżeli przedam, to zyskam prawie tyle.

— Czy podjąłbyś się zrobić mi pewne poruczenie?

— Pani rzecz skinąć, moja biedz na skinienie.

— Słuchaj, jeżeli mi dasz słowo, że niepomylisz się, dam ci w nagrodę 1000 tumanów.

— Mniejsza o zysk, lecz drożéj cenię szczęście służenia tobie, i każdy rozkaz wypełnię z duszy.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Jeśli nagrodą gardzisz, ja usług niepotrzebuję:

— Sługa twój niewolnik woli twojéj, rób jak uradzisz, a co raczysz rozkazać, spełnię.

— Dam ci list do oddania w miejscu, które ci wskażę. Powinieneś mi przynieść odpowiedź. Tylkoż pamiętaj ostrożnie. Nikt o tem nie ma wiedzieć, inaczéj bowiem narazisz życie i zdrowie twoje na niebezpieczeństwo, strzeż własnéj głowy.

Rzekłem: (*wiersz*). Głowa nie chcąca leżeć u nóg przyjaciół, jest niepotrzebnym ciężarem na karku.

— Nadewszystko ostrożność i sekret! Potem, natychmiast dała mi kieskę z 500 tum. mówiąc: Weź to i odejdź, a nieczekając dłużéj, dzisiaj towary twoje każ przewieźć na drugi brzeg rzeki, i tamże znajdź sobie mieszkanie. Zrób to wszystko téj nocy, a nazajutrz tu przyjdziesz do mnie, wraz po wschodzie słońca dam tobie drugą połowę obiecanéj nagrody.

Zdziwiło mnie to szczególniejsze poruczenie. Pomyślałem sobie, coby to wszystko miało znaczyć? Czemu ta tajemnica? Wszakże nie pytając daléj, wziąłem kie-

skę, i wróciwszy do karawanseraju, powiedziałem towarzyszom, że: nieradzę wam dłużéj tu bawić, upewniają mię wszyscy, że król tego miasta niesprawiedliwy i srogi, przeciwnie zaś król panujący na drugim brzegu mąż prawy i miłosierny, lepiéj więc przejedźmy na mieszkanie na drugi brzeg rzeki. Zgodzili się. Bez dalszéj zwłoki, złożyliśmy do łodzi towary nasze, pomyślnie przepłynęliśmy rzekę i zamięszkaliśmy w jednym z karawanserajów owego miasta. Resztę dnia tego i noc przemarzyłem o mojem słońcu nieba piękności. Co chwila przychodziła z serca myśl do głowy, co też to jutro mi powie? czy też domyśli się, że ja bez niéj żyć nie mogę? Gdyby mię nawet zabili, będę żyć wiecznie w jéj pamięci. Cóżkolwiek bądź, muszę się urządzić tak, aby ją częściéj widywać, bo nie ma rady stęsknionemu, bo jeśli mię nie zabiją, nie będę mógł żyć dłużéj zdala od tego fenixa złotopiórego, od téj jedynéj perły morza dostojeństw i blasku.

Śród takich myśli dzień zaświtał, zerwałem się z łoża aby się zebrać i spieszyć do świątyni serca i duszy mojéj. Na zapytanie towarzyszy dokąd idę, odpowiedziałem, że idę do króla drugiego brzegu rzeki, upomnieć się o pieniądze należne za towary, które mu onegdaj zaniosłem. Biegnę więc do téj bogini, czcicieli ognia, wchodzę do haremu, kazała mię wprowadzić do własnego pokoju i przyjąwszy mię nadzwyczaj łaskawie, list zapieczętowany zawinęła w ręcznik przetykany złotemi nićmi. Potem zdjęła z palca pierścionek i to wszystko dając mi, rzekła:

— O jedną milę odległości od północnych ścian miasta jest ogród, a u drzwi ogrodu pracują liczni robotnicy. Idź tam. Dopytaj się, gdzie dozorca robotników, młedzieniec na imie Kiej Chosrou; pokaż mu pierścionek mój, a on tobie wskaże osobę któréj masz oddać własnoręcznie ten list w ręczniku. Weź odpowiedź

i prędko wracaj z nią. Oto masz pozostałe 500 tum. nagrody. Tylkoż mój drogi miéj się na ostrożności. Pozdrów odemnie biedaka, któremu list oddasz.

O, bracia moi, Derwisze! Ucałowawszy podłogę spieszyłem spełnić polecenie. Szedłem po drodze wskazanéj przez księżnę, i przyszedłem do drzwi jakiegoś ogrodu. Ujrzałem młodzieńca lwiéj postaci. Siedział na krześle. Przed nim do stu robotników uzbrojonych stało uszykowanych rzędem. Jak tylko mię zobaczył kazał zbliżyć się i zapytał kto jestem? Odpowiedziałem dodając że zabłądziłem, że nieznam drogi. — Ty kupiec? — Tak jest. — Zapewne masz z sobą próbki towarów twoich. Korzystając z tak dobréj zręczności, pokazałem jemu pierścień księżny i stanąłem na ustroniu.

Kiej Chosrou obejrzawszy starannie pierścień, bardzo się zarumienił. Potem wprowadził mię do ogrodu i tam bez świadków zaczął wypytywać się zkąd i jak pierścień dostałem. — Rzekłem że właścicielka dała mi go na znak, dla pokazania tobie. — Czy masz jeszcze co innego? — Mam ręcznik przetykany nićmi złotemi — Idź do środka ogrodu i oddaj temu kogo tam znajdziesz. Pamiętaj tylko niedługo tam bawić. — To powiedziawszy wrócił na swoje miejsce, a ja szedłem daléj.

Po samym środku ogrodu, pod drzewem granatu, ujrzałem klatkę stalową, w niéj młodzieniec lat około dwudziestu, z twarzą porastającą pierwszym puchem młodości, niby świeżo runiejące pole, — istny cyprys z kwietnika dźwięków, albo bukszpan z zarośli powabów.

wiersz. Cyprys jego kibici wyrósł na łące duszy —
To gałąź róży przeobrażona w postać człowieczą.

Podobnie ptakowi z połamanemi skrzydłami, siedział w klatce. Głowa jego spoczywała na kolanach zamyślenia, milczał ponurzony w morzu dumania. Zadziwiłem się i zabolałem nad stanem jego. Zbliżam się do

samėj klatki witając go uprzejmie i życząc mu dobrėj doli.

Podniósłszy głowę zapytał: kto ty dobry człowieku, co mię pozdrawiasz i życzysz dobrėj doli, moje zdrowie i dola odeszły ode mnie.

Rzekłem: Ja posłaniec, mam do ciebie list tchnący miłością twoich kochanych.

Rzekł: jakich kochanych? — jaki list

Pokazawszy mu zatem list, oddałem go wraz z haftowanym ręcznikiem, wcisnąwszy je przez szczelinę do klatki. Niezapomniałem także poleceń ustnych. — Jak tylko przeczytał, zapłakał jak obłok jesienny i łzy rzęsiste toczyły się mu po jagodach. Przeczytawszy, wstrząsł smutnie głową i rzekł:

„Powiedz owėj kochance wiernėj, że kto wie, może Bóg sprawca spraw wszelakich zdarzy i nam kiedyś dolę szczęśliwszą, może też nakoniec ten krzak ciernisty wyrwie z pośrodka drogi naszėj. Ale dopóki tego nieuczyni, wszystkie usiłowania i trudy nasze są niczem. Powiedz też jej i to że dusza moja radaby sama sobą okupić spokojność duszy twojėj; Bogu wiadomo ile pragnę być z tobą, ale wiem, że nie dla mnie ta błogość. Jedna już tylko żądza mi pozostała: ujrzeć ciebie gdy będę konał i patrząc na cię oddać ducha Stworzycielowi! — Powiedz jėj, aby się nienarażała i rzadziėj mi przysyłała listy i polecenia swoje, nie budźmy biady uśpionėj“.

Mówiąc to miotał się jak słowik w sidle i gorzko płakał. Jeszczem nie otrzeźwił się ze zdumienia, gdy nagle powstał krzyk i wrzawa: *wykonawce gniewu* *) *królewskiego* werwali się tłumnie do ogrodu, a każdy z nich z orężem w ręku. Jakiś oprawca murzyn, opryszek sil-

*) To jest kat i jego pomocnicy.

nie zbudowany, szedł przed nimi z ogromną maczugą nastrzępioną sześciu stalowemi piórami. Jak tylko przybiegł do klatki tak mię uderzył, że dwa pióra ugrzęzły mi w głowę.

„O derwiszowie patrzcie!“ — to mówiąc powieściarz odsłonił głowę swoję i pokazał miejsce zagojonéj już ale szerokiéj i pozbawionéj włosów blizny; — poczem dodał:

„Oto znak ciosu od ktorego padłem jak nieżywy i niewiem, co się daléj stało. Wiem tylko, że gdym do siebie przyszedł, była już noc. Jeden mię niósł na plecach, a drugi z nim rozmawiał. Szli pospiesznie. Jeden z nich mówił drugiemu: Idź prędzéj, a to ten trup przebrzydły przeszkodzi nam napatrzyć się i nacieszyć widokiem. Ot rzućmy go tu pod ścianę i idźmy bawić się. Chyba chcesz aby nas obu ukarano... Przerwałem ich rozmowę:

— Dobrzy ludzie, czy mogę wiedzieć o jakiem to widowisku mówicie z sobą?— Musi być miłe nie lada, gdy tak wam spieszno? Na miłość Boga, pozwólcież i mnie biednemu z łaski waszéj i z za plec waszych trochę pogawronić na dziwowisko, jeżeli istotnie tak zabawne. Odpowiedziano mi: Cóż może być zabawniejszego jak widok śmierci kochanka z rąk kochanki. Rzekłem: Dobrzy ludzie, ja nie umiem rozwiązywać zagadek i nierozumiem bynajmniéj, jaki to kochanek i co za kochanka, ani wiem, za co jedno drugiego zabija. Odpowiedzieli: Kochanką jest księżna, a kochankiem jest krewny, ten sam młodzieniec, któremu list przyniosłeś i stałeś się powodem nieszczęścia.

— Dla czegóż ona zabija go? spytałem. — Rzekli: długo by mówić o wszystkich szczegółach. Odpowiedziałem: więc weźcie mnie z sobą to sam zobaczę. Bardzo im chciało się widowiska, więc dali się namówić i wrócili do pałacu królewskiego.

Celem moim jedynie było upromienić oczy moje widokiem rajskiéj huryski mojéj, w nadziei że w jéj obecności umrę, gdyż poraniona głowa moja groziła bliską śmiercią. Jak tylkośmy weszli do haremowego sadu, posadzili mnie na ziemi pod drzewem. Patrzę przed nami śród drzew w najrozkoszniéjszem miejscu ogrodu było jeziorko, a na jego brzegu siedział na tronie monarcha jak oświecony blaskiem zapalonych pochodni. Nagle przed tronem stanęła Peri, owa księżna moja, prowadzona przez jakiegoś starca. Król jak dowiedziałem się późniéj, był ojcem jéj. Stanąwszy przed nim uczciwie ucałowała ziemię, a on ją podjął i posadził przy sobie i dał jéj się napić wina różowego jak rubin kilkakrotnie raz po raz.

Pytałem towarzyszów moich coby to miało znaczyć. Rzekli: Młodzieniec uwięziony w klatce jest synem nieboszczyka króla naszego, bratanka tego monarchy co go widzisz na tronie. Król nasz umierając naznaczył go namiestnikiem swoim, to jest opiekunem jedynaka syna, wtedy jeszcze małoletniego, pod warunkiem, aby jak tylko chłopiec dorośnie, ożenić go z ową księżną i oddać mu tron i koronę dziedziczną. Monarcha mógł tym sposobem zapewnić los córce swojéj przedłużyć dynastyą i sam panować dalej we własnem państwie, ale jak tylko skosztował słodyczy królowania w cudzem królestwie, zapomniał o testamencie bratnim, chciał siedzieć na dwóch tronach. Tymczasem córka jego, zaręczona od dzieciństwa temu młodzieńcowi, rosła z nim razem. Z laty podrastała w nich miłość, przywykli do siebie a kochali się bardzo.

Monarcha widząc, że chłopiec dorósł i że ma rozum już dojrzały i zdolny, radził się swego wezyra jakby tu go pozbyć się. Wezyr wpadł na myśl, aby go ogłosić waryatem i zamknąć do więzienia. Monarsze podobał się mądry sposób wezyra; więc zmówiwszy się

z przedniejszymi urzędnikami, zamykają niewinnego chłopca po stalowéj klatki, rozpuściwszy po całym kraju pogłoskę, że dostał pomięszania zmysłów.

Księżna niedała się oszukać i wszelkiemi sposobami starała się wydobyć kochanka z ostrogu. Dowiedziawszy się o tem ojciec jéj, znowu zasięgnął rady wezyra, a ten zebrawszy ludzi stanu tak rzecz zagaił: Niedobrze jest trzymać dłużéj księcia w murowanym domu; lepiej zrobimy znalazłszy dlań ogród, nasadziwszy kwiatów i ziół powonnych, więzień odetchnie świeżem powietrzem, i orzeźwi się; nie trzeba go więzić, ale dla zapobieżenia porywom szaleństwa każmy go zamknąć w stalową klatkę i postawić ją w ogrodzie. Wszyscy się na to zgodzili i odtąd biedny młodzieniec mieszka, w klatce zawieszonéj na gałęzi drzewa i strzeżony przez stu dozorców. Oddawna już karmią go rzeczami niestrawnemi. Wszakże jak na przekor im, zdrowie więźnia bynajmniej nieucierpiało, owszem coraz się poprawia.

Wiersz. Niech miecze całego świata uderzą nieprzetną żyły, jeżeli Bóg niechce.

Niecny monarcha nieśmiał zabić niewinnego, gdyż w takim razie lud i wojsko oburzyłyby się na zbójcę i pozbawiłyby go życia i tronu. Tymczasem córka nieprzestawała szukać sposobów oswobodzenia. W liście co ty przyniósłeś, pisała mu: dni rozłąki kończą się; róża spółki rozkwitła; bądź co bądź ojca zabiję a ciebie i siebie uwolnię! — Szpiegowie donieśli o tém ojcu, który natychmiast rozkazał zabić podawcę listu, a klatkę z więźniem poruczyć strażnikom, aby ją przynieśli na dwór królewski. Rozkaz natychmiast spełnili i ciebie nawet przynieśli, ale widząc żeś poraniony i omdlały, rzucili na drodze.

Monarcha i wezyr czarnéj duszy, radzili się znowu, co tu począć? — Wezyr rzekł: przychodzi mi na myśl,

że gdyby się nam udało wmówić córce twojéj, iż ją książe szkaluje i przechwala się, że spał z nią, wtedy zgodziłaby się może sama zabić oszczercę dla zachowania sławy panieńskiej. Lud by powiedział, że księżna miała prawo to uczynić, i żeśmy, ty i ja, bynajmniéj niewinni śmierci jego. Monarcha rzekł: dobrzeby to było, ale jak otrzymać na to zgodę księżny?

Wezyr stamtąd udał się do niéj. Ostrożnie i zręcznie otworzył drzwi zdrady i chytrze doprowadził rozmowę do celu; zakończył wnioskiem że: osoby krwi królewskiéj, bez ubliżenia prawidłom zdrowéj logiki, niemogą i niepowinny cierpieć niesławę, ani dać powód gminowi, aby mówił, że córka monarchy ma amanta. Księżna zrozumiała o co rzecz idzie, lecz zaczęła niby uniewinniać się. Wezyr rzekł: jeśli chcesz potwarcom zamknąć usta i zadosyć uczynić woli twojego ojca, trzeba ci własnoręcznie zabić tego szaleńca, i nikt ci tego za złe nieweźmie. Księżna zamilkła; wezyr obiecał wrócić wieczorem i prędko pobiegł do monarchy z wieścią, że tejże nocy młodzieniec umrze. Jak tylko ściemniało, wezyr wrócił do księżnéj i razem z nią szedł do Monarchy. Po drodze, księżna widząc, że leżysz we krwi na ulicy, kazała ciebie podnieść, a że zacząłeś dawać znaki życia i jęczeć, księżna poleciła nam abyśmy ciebie przewieźli na drugi brzeg rzeki, do mięszkania twoich towarzyszów. Terazże siedź tu spokojnie, zobaczymy co dalej będzie.

Młodzieńca wyprowadzono z klatki przed króla, który skinął na księżnę. Z niemałém zdziwieniem ujrzałem, że skoczyła z tronu na ziemię jak spadająca gwiazda, i wziąwszy miecz obnażony, rzuciła się lotem pioruna ku młodzieńcowi. Przybiega doń, staje i cóż? — Miecz wypadł z rąk a obie ręce zawisły na szyi kochanka, i zlała się z nim jak cień jego, i całując, płacząc, zawołała:

Wiersz. Kielichu biady, wino twoje spaliło mię, płonę, gorę od wody twojej; jedynym celem moim, najgorętszą żądzą moją było złożyć mię głowę na ulicy twojéj, i zgonem własnym odwrócić klęskę grożącą tobie. Oczy moje spłakane, oślepione nocą nieobecności twojéj, nagle przejrzały, dotknięte balsamem krasy wdzięków twoich.

To powiedziawszy zemdlała i padła jak martwa. Król widocznie zagniewany, bardzo się zasępił. Kazał córkę odnieść w stronę i jął wezyra strofować: Zaprawdę ślicznieś doradził! Więcże ci o to chodziło abym w obliczu ludu mojego, patrzył na te szkarady? — Niegodziwcze! Zaraz mi ściąć głowę temu szaleńcowi, niechcę już dłużéj słuchać tych jeremijad. — Wezyr chcąc pozyskać względy pańskie, chciał sam być katem i dobywszy z pochew szabli rzucił się na młodzieńca. W tem z pomiędzy drzew wyleciała strzała, niby niesiona wolą bożą, i utkwiła w piersi wezyra. Jego dusza wypadła jak ziarno wyłuszczone ze strączka. Raz tylko jęknął i tarzał się w mękach konania. Śród krzyków rozjuszonego motłochu, król zlękniony uciekł i skrył się w zamku.

Ja także bardzo strwożyłem się i omal nie omdlałem, lecz orzeźwiwszy się ujrzałem, że mię już zaniesiono do mego karawanseraju i że nademną płakali kupcy towarzysze moi. Chirurg europejski ranę mi opatrywał. Krótko mówiąc, wyleczyli mię bo niesądzono mi było umrzeć z tej rany. Ah, ale sercowa rana codzień jątrzyła się. Dla tego zdrowie moje nie było zdrowiem. Towarzysze, postanowiwszy opuścić owe miasto, zabrali mię zbolałego i gwałtem wywieźli. Wreszcie sam dobrze wiedziałem, iż niepodobieństwem było, ażebym kiedykolwiek złączył się z ową jedyną perłą na świecie. Pocieszałem siebie myślą i wspomnieniami o niej. Nakoniec przyszło do tego, że niemogłem już dłużéj

znieść towarzystwa ludzi. Stroniłem od nich, a że mi ciężko było na świecie, więc handel z rąk a przyjaciele z serca wypadli. Napotkawszy tę odludną pustyń i to źródło wody rzekłem w sercu:

Wiersz. Gdy się w ręku zerwała nić związku z kochanką, lepiej ci szukać ustroni zdala od zgiełku światowego.

Tak więc zatrzymawszy się tu na pobyt przez resztę dni życia mojego, sprowadziłem malarzy, snycerzy, artystów władających pęzlem jak Mani, i innych robotników biegłych w swojem rzemiośle; nagromadziwszy zewsząd potrzebne materyały kazałem wybudować tę kapliczkę i wykrzesać ten posąg. Majątek mój rozdzieliłem pomiędzy moich dziedziców. Tylko tysiąc tumanów gotówką i jeden zaprząg *) wielbłądów dałem jednemu z wyzwoleńców moich. Wierny ten sługa pamięta, żem go kupiwszy za moje pieniądze, uwolnił i wzbogacił. Dla tego prowadzi handel powierzonym sobie kapitałem i co rok przybywa tu z zyskiem, zaopatrując mię we wszystkie potrzeby. Odtąd podziśdzień żyję rozkoszą wpatrywania w posąg ten bardzo do niej podobny.

Wiersz. Ponieważ los mi wzbrania związku, przestaję na marzeniu o niej.

O derwiszowie moi! Usłyszawszy opis piękności wdzięków duszy i ciała tego słońca doskonałości i dostojeństwa, uczułem się pod parciem nadludzkiej potęgi. Podobny szaleńcowi, niewiedziałem co się zemną dzieje; w rozpierzchłym nieładzie myśli i uczuć, zacząłem całować ręce i nogi starca i zawołałem: Bądź dobroczyńcą moim i nieskąp mi daru bliższej z tobą znajomości. Wyznaję tobie, że mam już serce i rozum okute w więzach owéj księżnéj europejskiéj!—Łzy i błagania moje

---

*) Zaprząg, *kettar*, to jest kilkanaście wielbłądów dla przewożenia towarów z miejsca na miejsce.

wzruszyły litościwego starca. Widząc, że rady jego nieskutkują, zaczął mię gotować do podróży. Nauczył mię kiedy i jakim sposobem mam jechać i jak postępować, aby się podobać obywatelom ojczyzny owej wdziękini. Odmówił nademną kilka modlitw i dał błogosławieństwo na drogę, a także trochę pieniędzy i suknie w które przebrany do niepoznania pożegnałem go.

Otóż z sercem pełnem boleści, spuszczam się z wierzchołka owéj góry i jak potok, przebiegam pola i pustynie. Nocy i dni schodziły mi na płaczu i tęsknocie, ale się niezatrzymywałem nigdzie. Widziałem mnóstwo dziwów i osobliwości. Wycierpiałem wiele męk i trudów. Musiałem nieraz odpierać napaść, i wielu położyłem trupem za wyrządzane mi szkody. Co chwila gorące westchnienia moje sięgały aż do nieba.

Krótko mówiąc, po najtrudniejszych przeprawach, dostałem się w końcu do owego miasta. Włosy mej głowy sięgały mi aż do pasu, schudłem i wyschłem jak trzcina. Dzieci po ulicach biegały za mną rzucając kamieniami. Długo w tak opłakanym stanie, błąkałem się po mieście, jak szalony, jak mara szukając mojéj jedynej po wszystkich zakątach, a nigdzie mię niedoleciał zapach róży pożądanéj, znikąd wietrzyk pomyślny nie wionął. Serce płonęło wrzało na próżno.

Tak cały rok zmarniał na szukaniu jej, śród utrapień losu i pośmiewiska ulicznych szubrawców. Nakoniec obmierziwszy sobie życie i żyjących, przeklinałem los przewrotny i jego wiecznie toczące się koło, wołałem z poetą:

Wiersz. Niebo! — dopókiż mam w niezmiernéj srogości twojéj, tułać się z kąta w kąt ode drzwi do drzwi? Dopókiż tylko ty jedne szczęśliwe masz rzęśnieć blaskiem orszaku świateł twoich i jasne, pogodne z wysoka urągać się biedóm i mgle naszego padołu? Póki zły wróg i los mię odrywa od mojéj różolicy, póty, jak na męczarni kole, będę się miotał i pragnął. Jak tu nie

cierpieć, jak niepłonąć ogniem rozpaczy, gdy wszyscy piją z pucharu miłości, ja tylko jeden mam usta spalone pragnieniem? — Samotność duszę pożera, rozłąka serce rozgryza, i płonę jak lampa grobowa.

Tak mijały dni moje, a w nocy, w gorączce serca, żaliłem się i wołałem:

Wiersz. „Mocarzu Boże! — zżal się, ulituj, zaklinam cię na zasługi króla proroków; na cześć należną imieniowi Ali; na niepokalaną piękność świętych twoich; na różę co rozkwita w ogrodzie twarzy ich, na miłość zakochanych w doskonałości bóstwa twojego; na ich serce płonące żądzą złączenia się z Tobą; na wdzięk narcyzów raju skłonionych pod ciężarem rosy niebieskiéj; na serce skruszone wiernych twoich!

Błagam cię Boże, na cześć należną pielgrzymom, cudzoziemcom i nieszczęśliwym, racz już upromienić mrok ich nocy wszechjasną obecnością uczty łask Twoich!“

Pierwszy obrzask świtania znalazł mię we łzach i w modlitwach takich, żebrałem, u progu dworu bożego, o jałmużnę dla nędzarza duszy mojéj. Jak tylko wielka pochodnia światów błysnęła i oświeciła obszary ziemskie pięknością swoją, uczułem że mi lżéj na sercu. Wstaję z łoża boleści i idę przéjść się po miejskich bazarach. Zbliżam się do *Czeharsuk* *) i widzę że lud ztamtąd uciekał i każdy śpieszył się skryć gdzie można, leźli na dachy, na wieże etc. Czeharsuk opróżnił się, ale tętent koni i wołania słyszałem coraz bliżéj. Nakoniec wynurzył z przyległéj ulicy jakiś młodzieniec, o lwistych barkach, w ruchach miał coś tygrysiego, postaci marsowéj. Na szczękach pięknéj twarzy jego, czerniła się młodzieńcza bródka; w pasie cienki i udatny jak cyprys,

---

*) *Czeharsuk* a cztery ulice „cazzefour“ to jest miejsce gdzie w środku bazarów, ulice krzyżują się i gdzie najbogatsze sklepy i zgiełk większy niż gdzie indziej.

albo jak nadobna sosenka, oczy duże, jasne i srogie; na głowie włosy zjeżone w nieładzie, krzyczał i pienił się. Odzież miał ze skóry lamparciej, pas złotolity; głowę miał okręconą łańcuchem; miecz osypany dyamentami wisiał mu na biodrach, buława stalowa w jednej ręce, a drugą wsparty na boku, dumnie szedł i ryczał, jak potok jesieni, wołał: z drogi! precz zdrogi! Za nim dwóch ślicznych czternastoletnich giermków, rzekłbyś księżyce w pełni lub słońca w godzinę wschodu Piękne ich kształty tonęły w blasku pereł i drogich kamieni rzęśniejących na ich stroju. Giermkowie ci nieśli trumnę i postawili ją na środku Czeharsuk. Wtedy ów groźny młodzieniec, przyklęknąwszy na trumnie, zaczął tak śpiewać.

Wiersz. Bez ciebie, sen nienawiedza oczu naszych zamiast łez, krew pada z rzęsów naszych; wracaj, ah wracaj, bośmy po tobie wypłakali źrenice nasze!

Jakoż istotnie płakał jak obłok wiosenny. Widząc to lud płci obojej dzielił żal młodzieńca, niepodobna było od łez wstrzymać się, szlochaliśmy z nim wszyscy. Tak płacząc i jęcząc trzy razy obszedł do koła trumnę, potém ją giermkowie znów na ramiona wzięli i poszli.

O derwiszowie!

Wiersz. Serce zbolałe łacniej znajdzie współczucie; od dymiącéj lampy, głowa łacno czadzieje.

Na widok takiej boleści i słysząc takie narzekania taka mię żałość przejęła, że zapragnąłem umrzeć, lecz rzekłem sobie: o serce, uczeni ludzie mówią, że ktokolwiek walczy z trudnością i nie może jej przezwyciężyć siłą własnego rozumu, niech pójdzie po radę do cudzych rozumów i prosi z pokorą o wskazanie środka rozwiązania trudności swojéj, a gdy wskażą niech krok w krok idzie drogą wskazaną palcem mądrości.

Wiersz. Nieraz, gdzie zdrowy rozsądek niepodołał, tam szalona zuchwałość przemogła.

Trudności, które cię utrapiły, nie znikną pierwéj, aż ci jaki dobroczyńca pomoże. Dotąd, śród tylu poszukiwań, ani razu nieznalazłeś doskonałego przewodnika. Daleko lepiéj zrobisz idąc do bezrozumnych. Zapukaj do drzwi tego szaleńca i szczerze się spól z jego boleścią, pozyskaj perłę jego zaufania, a może da Bóg że, tym sposobem, twoja noc samotnika zmieni się w poranek szczęśliwca, i nakoniec znajdziesz klucz do otwarcia dotąd zamkniętego skarbu.

Pobiegłem tedy za owym młodzieńcem. Lud uliczny starał się mi odradzać, prosząc i grożąc: Cudzoziemcze! mówili, a młodyś i niedoświadczony, narażasz się na śmierć pewną. Ażaliż ci życie nie miłe? Co za waryacya, jakie głupstwo nieść pod miecz głowę! — Zacząłem więc udawać żem także szalony, nie słuchając dłużéj, wyrywałem się ale mię niepuszczali. Szczęściem znalazł się jakiś dobroczyńca, niby opiekuńczy anioł i rzekł im: Przyjaciele, dajcie mu święty pokój i pazurami oporu nie drzyjcie mu serca, bo dobrze to mówią że:

Wiersz. Waryat gdy ujrzy waryata, raduje się i cieszy.

Znudzeni moim uporem, puścili mię nareszcie. Ja za nim a lud zewsząd uciekał od niego, krzycząc szalony! szalony! — kiwali na mnie abym wrócił, ja biegłem daléj i dalej. Młodzieniec szedł przed trumną i nie obzierał się. Nareszcie przybywszy do jakiegoś wspaniałego domu wszedł do bramy. Ja stałem przy progu zdziwiony i niewiedząc co począć. Po chwili wyszedł służący i prosił mię, abym wszedł.

Idę do środka. Był to ogród rozkoszny i do koła otoczony budynkami wysokiemi. Młodzieńca znalazłem w altanie; siedział na sofie przed trumną stojącą już na katafalku. Świéca paliła się u głów trumny. Młodzian trzymał buławę w ręku, ale głowę miał schyloną, marzył czy myślał. Przystąpiwszy ku niemu zacząłem od

życzeń i modlitwy za jego powodzenie się. Chwaliłem jego urodę i nazwałem go królem świata piękności.

Podniósłszy głowę, rzekł: Głupcze, kto ci poradził iść za mną?— tu pogroził mi buławą. Ja w odpowiedź wyciągnąłem moją szyję, niby gotową do ścięcia, i stojąc odpowiedziałem: Mężu, na wiarę twą zaklinam ciebie, uderz i uwolnij mię od ciężaru nieznośnego życia! Mnie żywot zgorzkniał. Młodzian odrzucił buławę w stronę, wstał i tak trącił mię w policzek że upadłem na głowę i zemdlałem.

Przyszedłszy do zmysłów uczułem głowę moją na kolanach jego. Z uszanowaniem skoczyłem na nogi i siadłem uczciwie. Wtedy utkwiwszy we mnie oczy zapytał: Nędzarzu bezrozumny! na co ty chory? na jaką gorączkę, na jaki szał bezrozumny, na jaką rozpacz zuchwałą że, niby popchnięty ręką losu, odważasz się przyjść do mnie ani uciekasz odemnie jak tylu innych Chodzisz za mną jak cień mój, co to ma znaczyć? wytłumacz się.

Wiersz. Wolnyś od wszelkiéj szkody jeżeliś prawdomówny. Szczerość wyzwoli ciebie od bied ziemi i piekła.—

Odpowiedziałem: waleczny mężu!

Wiersz. Skargą moją, łzy moje, jak skarga dzieci Nikt nie wie boleści mojego serca.— O przyjacielu drogi! niepytaj co mię dolega bo na wieść tę i tobie serce zaboli. Jakże bo opowiedzieć co się dzieje w sercu strapionem? Jak opisać tęsknotę choréj duszy mojéj?

Niemogłem skończyć tych wierszy bo taka mię rzewność przejęła; tak zapłakałem że i młodzieniec się rozpłakał i po długiéj przerwie rzekł: Dosyć już dosyć łez niemęzkich. Opowiedz mi ich przyczynę, chcę wiedzieć co robić zamierzasz. Nawet przyrzekam pomódz ci po przyjacielsku o ile będę mógł, ale pod tym warun-

kiem że niczego nie zataisz, i dasz mi szczerą spowiedź ze wszystkiego co cię boli.

Derwiszowie! co tylko dosłyszałem z powieści starca pustelnika o postaci i wdziękach owéj piękności, księżny europejskiéj, jéj imie i rodzinę, co tylko widziałem był i ucierpiałem na owéj pustyni, wszystko opowiedziałem. Młodzieniec ponurzył się w morze zamyślenia i po chwili, podniosłszy głowę, rzekł:

Wielki Boże, iluż to nieszczęść była powodem ta chytra kobieta! Własny jéj ojciec, jéj stryj i tylu innych zabici dla niéj! Dobrze że się upamiętała, i pokruszywszy posągi bałwochwalstwa, wróciła do wiary prawéj bez tego złożyłbym ją w jedym grobie z królewiczem moim. Masz bowiem wiedzieć że łucznikiem tym który w dniu owym, z za drzewa, zastrzelił królewskiego wezyra, ja byłem. Trumna ta co tu widzisz, jest trumną królewicza mojego, co to był więziony w stalowéj klatce. Mój ojciec był jego nauczycielem *(lele)* a ja kochałem królewicza jak własnego brata. Po stracie jego zrządzonéj sprawą losu przewrotnego, tak byłem strapiony, że straciwszy przytomność i rozum boso, istny szaleniec, biegałem po mieście prześladując i zabijając wszystkich co się przyczynili byli do śmierci królewicza. Co się zaś tycze obłudnika, owego monarchy ojca księżny, udawał on żal po stracie królewicza i dla tego nie bronił mi szaleć i mścić się za zgon pana mojego. Odtąd poświęcam jeden dzień każdego miesiąca scenie, którą widziałeś. Obchodzę bazary i ulice z trupem królewicza w trumnie, śpiewając pogrzebowe pieśni a lud sądzi żem istotnie postradał zmysły i boją się mnie jak ognia. Ja też, z mojéj strony, chcę uchodzić za takiego, gdyż to pozwala mi bezkarnie zabijać prześladowców i okrutników naszych.

A teraz, ponieważ tyle już ucierpiałeś dla téj peri różolitéj, muszę ci pokazać ją. Zrobię to najprzód dla

tego, że mnie tylko a nie komu innemu to uczynić można, a powtóre dla tego że istotnie zasłużyłeś na moje współczucie. Wszakże pod warunkiem, że na jéj widok wstrzymasz się od wszelkich niedorzeczności, pamiętaj ani skarg, ani łez, ani nic podobnego coby cię mogło zdradzić. Ostrzegam cię we własnym interesie twoim i moim. Jeżeli postąpisz inaczéj, niewątp że tamże rozsiekam ciebie w kawałki.

Odpowiedziałem, szlachetny mężu!

Wiersz. Zakochanemu sercu cierpliwość nieznana, lecz wszystkie inne cnoty są możne.

Na tę uwagę, młodzian uśmiechnął się i zauważał, że bądź co bądź warunek trzeba spełnić niezbędnie. Ostatek dnia tego i całą noc następną spędziłem w jego towarzystwie. Nazajutrz, o wschodzie słońca, młodzian uzbroił się od stóp do głowy i kazał przynieść bogate suknie w które, także z jego rozkazu odziano mię. Wzięliśmy, ja jeden koniec trumny a giermek drugi, i szliśmy za młodzianem naszym, który przodkował nam wszędzie. Po długiéj wędrówce tu i owdzie, stajemy u drzwi jakiegoś ogrodu. Znajdujący się tam ludzie rozpierzchli się na nasz widok. Wśrodku, ogrodu było wielkie jezioro a po czterech rogach wznosiły się cztery l on y (*czenar*) bardzo już stare. Na jego skinienie postawiliśmy trumnę na brzegu jeziora i siedliśmy. Młodzian najprzód zawołał głosem tak silnie rzuconym z głębi, iż cały ogród zatrząsł się, a potem zaczął śpiewać:

Wiersz. O mój cyprysie ty chodzący! bez ciebie mówiłem do kwiatów ogrodu: co mi po warkoczach hyacentowych, do czego mi twarz liliowa? Ah, zła wiara mych wrogów broni mi widoku twarzy twéj, rozbiłem zwierciadło bo ciebie w niem nie widzę.

Śpiewając to, płakał jak obłok kwietniowy, a jego łzy rosą padały pod nogi na róże i liście. Co do mnie,

dręczony żądzą widzenia obietnicy, pijany nadzieją i spragniony, wyglądałem przybycia jéj. Aż oto, szczęście pomogło mi i owa wdziękini błysnęła słońcem obecności swojéj!

Wiersz. Pani serca mojego, po wieczorném winie, w pół pijana wpół trzeźwa. Jéj oczy wiecznie miłością pijane, zaczęły jeszcze piękniéj patrzéć.

O derwiszowie bracia moi najdrożsi! Uderzony nadludzką pięknością, złożyłem głowę na kolanach moich i zemdlałem. Przyszedłszy do siebie, otwarłem oczy, ujrzałem ją znowu, niby krynicę wody życia. Zauważałem że była cała w żałobie i w ręku miała chusteczkę czarną. Siedziała przed owym młodzianem, słuchając jego powieści. Niewiem o czém jéj mówił, zrozumiałem tylko że musiało być coś bardzo rzewnego, gdyż zapłakała jak obłok wiosenny. Żal jéj tak mię zasmucił, że powtórnie wojsko szaleństwa wkroczyło na pole mojego bytu, chciałem jęknąć, rozedrzeć w rozpaczy szaty moje, i rzucić się aby jéj wyznać wszystko ale spotkałem na sobie wzrok młodziana; śmiałe, ogniste, srogie oczy jego przeraziły mię, omdlałem!

Przebudzam się, widzę że powieść toczy się daléj.— Księżna położyła sobie rękę na oku, co znaczyło że zgadza się — niewiedziałem na co. Każdy ruch jéj pożérałem wszystkiemi zmysłami aż wstała i odeszła, co także i młodzieniec uczynił. Znowu oczy napełniły mi się łzami, serce krwią, a boleść tak mówiła we mnie:

Wiersz. Pójdę po drodze, którą mi bicie serca wskazuje, pójdę zobaczę co mi gwiazda moja nadarzy.

Idąc mówiłem z sobą skarżąc się na losy moje. Nareszcie wchodzę do domu młodzieńca mojego; z bojaźnią zapełzłem do najciemniejszego kąta i gryząc sobie pazury palców żałości i powtarzając z poetą:

Wiersz. Z oczu łzy płyną, a w każdej z łez część serca mego roztopiona, a niema sposobu wyzwolić się

z okowów biady i smutku, dla tego że śmierć nieprzybywa mi w pomoc!—

Młodzieniec odpocząwszy, zawołał mię do siebie i zapytał jak się mam?— Rzekłem:

Wiersz. Po co, czemu mię pytasz jak się ze mną dzieje? Spojrz na moją twarz zżółkniałą, na te łzy boleści. Jak w ranie świeżo zaszytéj, w piersiach moich krwi pełno. Biada wam, jeżli usta moje nauczą się skarżyć.

Młodzieniec rzekł: dziecko moje, podziękujmy Bogu, że gwiazda przeznaczeń twoich wynurzyła się nakoniec z chmur nieszczęścia, i ostatnia chwila rozłąki minęła. Los ci sprzyja, a palma twoja zgina się pod ciężarem słodkich owoców.

Rzekłem odpowiadając z poetą:

Wiersz. Dolo zła moja, kiedyż na tyle rozumu ci stanie, że z palmy życzeń podasz mi owoc pożądany sercu?

Rzekł: nie, dziecko moje, bądź pewny że wszystko się stało gwoli życzeniom twoim. Gdybyś wiedział ile mówiłem jéj o tobie!—

Rzekłem: Bóg mi świadkiem, że gwałtowne wzruszenie broniło mi słyszeć słów waszych; byłem ciągle w omdleniu, a obudziwszy się tylko dwa razy pamiętam tylko dwie rzeczy, że najprzód płakała, a potém, że na znak zgody zbliżyła rękę do oczu.—

Rzekł: to jest, zgodziła się, ażebyś dzisiejszéj nocy przyszedł ku drzwiom jéj ogrodu i przyprowadził ją do naszego mieszkania. Nie lękaj się niczego, będę czuwał nad wami i nikt się o niczém niedowie. No, a teraz rad jesteś?—

Ucałowałem mu ręce i osypałem go dziękczynieniem. Jak tylko zmierzchło, dał mi jednego ze sług swoich i kazał mu aby doprowadziwszy mnie do ogrodu, sam czekał mię, w pobliżu aż wrócę. Potém raz jeszcze po-

lecając mię słudze, dodał: „pamiętaj żebyś miał czujne oko nad nim i zawsze był blisko, on cudzoziemiec nie-zna miasta i może zabłądzić.“—

Idziemy tedy, lecz niewiem co się memu przewodnikowi zrobiło, bo odprowadziwszy mię kilkaset kroków, wskazał mi na ulicę przed nami i rzekł, idź prosto, a ona doprowadzi ciebie aż do drzwi samego ogrodu; wrócisz tą samą drogą i tu mnie znajdziesz. To mówiąc poszedł gdzieindziéj. Trafiłem do drzwi ogrodu, dzięki magnesowi serca mojego. Ucałowałem próg ich i pyłem *) ich niby *collyrium* tarłem sobie oczy. Łzy radości były na rzęsach moich a na ustach:

Wiersz. Na śladach stóp twoich składam powieki, do drzwi twoich tulę się twarzą!—

Niebawem usłyszałem wołanie, i życie życia mojego przyszło!— W ciemnościach nocy, błysnęło słońce piękności owéj wdziękini cukroustéj, srebrolicéj. Dziękowałem Bogu łask i miłosierdzia za zdarzone mi szczęście, a potém ucałowałem obie nóżki wdziękini wołając:

Wiersz. Każdą troskę gorzkniejącą w oczekiwaniu, słodzi obietnica widoku kochanki.

Rzekła: zapaleńcze młody, nie jest to chwila zwłoki i dłuższéj rozmowy, spiesz się do twego mieszkania, pójdę za tobą. Nieczekając puściłem się w drogę a ona, rzekłbyś słońce, za swoim cieniem, krok w krok za mną.

O Derwiszowie! porwany wirem rozkoszy i radości, straciłem resztkę pozostałéj mi pamięci i zbiłem się z drogi, ulice siatką splątały mi się w myśli, niewiedziałem jak trafić do domu młodzieńca, opiekuna naszego? Całą noc aż do poranku, błąkaliśmy po wszystkich bazarach i zakątach miasta. Wdziękini moja, zniecier-

*) Poeci wschodni mówią że pył i piasek deptany nogą osoby kochanéj jest najlepszem lekarstwem od bólu oczu.

pliwiona pyta co chwilę: ale gdzie ten dom nic dobrego? Oto zaczyna już świtać, jak i hańba wpaść w ręce nieprzyjaciół naszych! —

Łatwo pojmiecie moją rozpacz. Od wstydu niemogłem ani słowa przemówić. Szliśmy prędzéj i prędzéj niewiedząc dokąd i kędy. W duszy modliłem się do Najwyższego aby nas wyrwał z téj matni i mówiłem: *Wiersze pobożne.* Wielki Wszechpanie! na prawdę przedwiecznej Istoty Twojéj; na cześć powinną dostojeństwu proroka twojego; rozwiąż węzeł trudności niedołęstwa naszego! Święć się ogrom twój, blask twój, szczodrobliwość i łaska bezmierna twoja! Prosi cię o to zbolała dusza sługi twojego. Po tylu cierpieniach, doścignąwszy kresu życzeń moich, mamże go postradać marnie? — Mamże znów zdala od kochanki, być pastwą boleści i wstydu żem nieumiał podjąć perły rzuconéj przedemną? —

Los zrządził że odblask pierwszych promieni słońca wschodzącego padł na dom stojący w głębi ulicy zamkniętéj *) ze wszystkich trzech stron. Zmięszanie się moje i wstyd jeszcze się powiększyły. Chciałem o mur głowę sobie roztrzaskać ale nieśmiałem spojrzeć za siebie Dom był wspaniały, wysoki ale zewnątrz miał drzwi zamknięte. Gryzłem sobie pazury stojąc przededrzwiami z pochyloną głową na piersi i patrząc na nogi moje. Księżna w trwodze i niecierpliwości szepnęła mi: głupcze, o czemże myślisz? otwieraj, prędzéj! — Rzekłem: królowo moja! — Niewiem za co mię los prześladuje. Odźwierny mój, sługa doświadczonéj wiary, niewiem dla czego tu niedoczekał się nas, i czemu drzwi zamknął. — „Tyś zapewne rozum postradał; zapomniałeś że musisz mieć klucz w kieszeni?“ — Nie mam. „Więc

---

*) *Kuczei bun besti* „ulica z dnem zamniętym“ cul-de-sac, impasse.

trzeba drzwi wyłamać, spiesz się, lud zaczyna wychodzić na ulicę, poznają mnie!" i nie czekajac odpowiedzi rozbiła rygle kamieniem. Mnie ręce i nogi drżały. Mówiłem w duszy: biada mi, biada, co raz gorzéj, nie lepiéj; Bóg wié czyj to dom; co ja domowym powiem, jak wytłómaczę poco przyszliśmy?... Tymczasem, księżna już była na dziedzińcu. Chcąc niechcąc szedłem za nią, i w popłochu, zapomniałem drzwi zamknąć za sobą.

Wiecież co, wszedłszy ujrzeliśmy? — O Derwiszowie, był to dom istny raj! Mnóstwo drzew krain ciepłych i zimnych, sosny, cyprysy, bukszpany, cisy, wiązy, wierzby pachnące, przytem obfitość drzew owocowych. Przechadzki cieniste, trawniki starannie utrzymywane, palmy niebotyczne, kwiaty barw rozmaitych, zewsząd rozkwitające. Strumyki płynące w korytach powabnie wężykowanych; ich woda, jak różanna woda, płynęła po widnych na ich tle kamykach, pączkach i murawie. Róże uśmiechające się, niby przypominając niepewność szczęścia ludzi, i nietrwałość rozkoszy znikoméj ale uroczéj, jak one. Ptaki lubośpiewne, nucące hymn Stworzycielowi Świata. Kioski, altany i inne budowy; ich ściany sufity malowane i złocone, ich podłogi usłane kobiercami królewskiemi, ich framugi zastawione sprzętami od porcelany, od srebra, od złota. Wszystko gotowe do uciech i wczasu. W każdym zakątku miejsce starannie schludnie zaopatrzone we wszystko co bawi, a najwybredniejszy gust znawcy niemiałby tu nic do zarzucenia.

Mój księżyc chodzący, gwiazda moja weszła do jednego z kiosków, ja za nią ale nierad z siebie, ale drżący od strachu co też gospodarze nam powiedzą jak nas powitają z czém odeszlą? — Los zdarzył iż w owym kiosku, przed rozkosznemi sofami, stały butelki pełne rubinowych win, sterczące z nad koszów, tac i kryształów zasypanych owocami świeżemi i suchemi, przysma-

kami wszelakiego rodzaju, rozstawionemi na złotolitych obrusach. Księżna przypatrując się półmiskowi z pieczywem zwierzyny i chlebom z najdelikatniejszéj mąki, uśmiechnęła się i rzekła:

Odźwierny twój wyszedł i drzwi zamknął, zapomniawszy klucz zostawić, lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, że wszystko tu najstaranniéj przygotował dla nas. To mówiąc, nalała sobie wina, wypiła i mnie podała. W dowód ślepego posłuszeństwa, wychyliłem kielich aż do dna i zapomnieliśmy przeszłości i przyszłości. Księżna, po kilku innych kieliszkach, rozweseliła się i zauważała że pod kolumnadą pałacową nie tak gorąco. Wyszliśmy tedy na krużganek, siedliśmy a ja, złożywszy skroń moją na jéj nóżkach osypywałem je pocałunkami! Po godzinie tak błogo minionéj, księżna kazała stół zastawiony przysunąć. Dumny urzędem jej sługi, przyniosłem przysmaki. Trzeba było widzieć z jak uroczym powabem, jéj śliczne palce dotykały: to skrzydełko kurczęcia, to owoce, to inne przysmaki, a ja tymczasem pożerałem oczyma i duszą jéj każdy ruch, tonąłem w blaskach słońca jéj nadludzkiéj krasy i niepomny na przewrotność chytrego losu co tak lubi psuć szczęście ludzkie, czułem z owym poetą:

Wiersze. To czego szukałem tak długo po świecie, widzę tu dzisiaj na łonie mojem, znalazłem ją w sercu mojém, jak słońce skryte w ciemni przedświtu. Ani nawet sam poranek, nieznajdzie tyle blasków w promiennym pożarze słońca swojego, ilem ja ich znalazł po długiéj nocy tęsknoty i oddalenia!

O derwiszowie! — Strażnicy jéj, lękając się kary za niedbalstwo swoje, pobiegli dać znać królowi, a ten natychmiast rozkazał szukać straconego cyprysa. Trzęsą wszystkie kryjówki i kąty, piszą i rozsyłają polecenia wszystkim urzędom pilnującym granic królestwa, aby śledzono pilnie na zastawach pogranicznych. Czterdzie-

ści bab starych a dobrze świadomych zdrad i chytrości, rozesłano tu i owdzie na zwiady, aby jawnie i skrycie szpiegowały po domach dla powzięcia języka o owéj różolicy, piżmowonnéj wdziękini.

Zrządzeniem losu jakieś zgrzybiałe babsko, herszt filutek, istna wiedma zgarbiona, wsparta na kosturze przechodząc przez ową ulicę, postrzega dom z bramą otwartą, i jak się już wspomniało, wchodzi tam. Ujrzeliśmy ją gdy już kulejąc i potykając się a modląc się w głos, stanęła pod przysionkiem i zawołała: „Wielki Allahu! błogosław téj młodéj parze! Oby Allah oddalił od was biedę (bedi) wszelaką! Oby poniszczył waszych wrogów i wam niechętnych i wygubił ich do ostatniego!“ Temi i temu podobnemi słowy wzbudziła w nas uczucie litości. Kochanka moja spytała: „Matko, zkąd idziesz, i czemu te łzy i smutek? — odpowiedziała: księżniczko, niech cię niedola omija! W sąsiedztwie tu mam lichą strzechę i żyję pod cieniem waszym, przestając na kawałku wyżebranego chleba. — Mam córkę w ciąży, od dwóch dni męczy się w boleściach połogu. Akuszerka mówi, że dla ulżenia jéj trzeba upiec kurczę aby się dobrze posiliwszy i wzmocniwszy się należycie, zległa. Otóż nie mając za co kupić pieczywa, odważyłam się przyjść do was z prośbą, abyście raczyli się użalić nad niedolą zgrzybiałéj staruszki. Raczcie pozwolić aby tu córka moja przyszła, a sami dajcie jéj jedno czy nieszkodziłoby nawet i dwa kurczątka dobrze upieczone, kilka chlebów i sukienkę, niech podje i nosi, modląc się za was!“. — Królewna rzekła: „I owszem matko, zachodź do nas czasami, nagrodzim trud twój, a teraz co rychléj pójdź a nakarm i odziéj córkę, aby już niecierpiała dłużéj. To mówiąc dała jéj własną suknię i pieczyste i chleby, i czego tylko była zażądała.

Staruszka błogosławiąc bardzo i dziękując odeszła. Królewna zamyśliwszy się o niéj, skłoniła głowę na

kolana i odeszła. Wtem słyszę stuk jakgdyby zamknięcia wrot domu naszego i tętent koni. Patrzę w tę stronę i widzę że nikt nie wszedł, a tylko słychać jęk owej staruszki wołającéj z drugiego końca ogrodu. Zdziwiony i zatrwożony zbiegam ze wschodów kiosku i przez zarośle przekradając się, wyglądam, i cóż? — Oto jakiś młodzieniec srogiego wejrzenia, istny lew lub tygrys, rosły jak dąb, z ramionami jak konary, z twarzą niby twarz księżyca w pełni, pokryty na szczękach swieżo wysypującą się bródką. Suknię miał z czarnego aksamitu; na głowie kołpak uchylony na bakier z chorasańskich baranków, okręcony złotym łańcuchem; kitka różnopióra, po rycersku, pas litego złota. Rycerz siedział na koniu. Oszczep jego wisiał u troków, miecz u łęku, kindżał u pasa; kołczan strzał pełen, łuk i szeroka tarcza, ze złotym guzem były na plecach bohatera. Poły miał ukasane i zatknięte za pas, siekierkę z rękojeścią ozdobioną dyamentami na temlaku. Widać, że się zmordował bardzo na łowach, bo często oddychał, a twarz miał bardzo ogorzałą i sarna wisiała przywiązana do siodła. Prawą ręką trzymał chińską dzidkę (dżeryd) lewą zaś podnosił za kołnierz, ową babę na pół już umarłą i drżącą jak skrzydło gołębie. Zeskoczył z konia na ziemię, rzucił babę tak, że aż się rozpłaszczyła. Potem utkwiwszy dzidkę w głąb (w serce) ziemi i przywiązawszy do niéj konia, podjął babę, za jedną nogę przywiązał do drzewa, za drugą wziął i rozpłatał wiedmę na dwoje. Potem odmówiwszy modlitwę, oderwał od troków sarnę i zaczął ją drzeć ze skóry, patroszyć itd. — widocznie że na pieczyste, ale dla jakich gości?

Widząc to wszystko i srogość nieludzką i zuchwałość młodziana, straciłem ostatnią nadzieję życia, myślałem, zginę ja marnie z rąk tego Marsa (merrich). Zimny dreszcz przebiegł mię od stóp do głowy, ani wiedziałem

jak poradzić sobie. Na domiar niełaski losu, rycerz mię postrzegł i zawołał: „Hej no ty, pójdz tu bliżéj!“ — Chcąc niechcąc polecając duszę mą Bogu, przychodzę i uderzam pokłon. Przywitał mię grzeczniéj niż spodziewałem się.

Rzekł: „Tak to zawsze dzieje się z ludźmi bez szczęścia i bez rozumu. Gdyby nie był mym gościem natarłbym mu porządnie uszu tak żeby i inni nauczyli się rozumu“ Nierozumiejąc jeszcze co mówi przybiegłem i chciałem rzucić się mu do nóg ale mię podchwycił i czule do piersi przytulił, ucałował w czoło, uśmiechnął się i rzekł: „Szaleńcze młody! Porwawszy się na tak wielką sprawę, jak śmiałeś bezpiecznie i co najspokojniej sobie siedzieć niezamknąwszy drzwi nawet od ulicy? Wchodząc tu trzeba było je za sobą zatrzasnąć“. Wtedy, zaledwie aż wtedy, przyszło mi na myśl, żem istotnie wrót nie zamknął, i że miał prawo fukać mię.

Zdobywszy się więc na ile mogłem najwymowniejsze przeprosiny, ucałowałem ręce jego. On mię w twarz pocałował i spytał: „Znaszli tego trupa?“. Rzekłem: „że tak jest, widziałem ją przez jedną chwilkę“. Rzekł: A wieszże dla czego ją zabiłem? — Bog tobie sprzyja że mię tu wam na pomoc przysłał i że w porę pośpieszyłem. Inaczéj bowiem już teraz w téj chwili stałbyś na miejskim placu, kaźniony publicznie. Ta stara sekutnica była hersztem królewskich szpiegów, rozesłanych po ulicach i zaułkach dla znalezienia was. Ryją się i nurkują wszędzie a burzą i niszczą aż strach o tem mówić. Wracając z polowania przez bazary, dowiedziałem się o waszéj ucieczce, a przybywając na moją ulicę znalazłem przebrzydłe babsko, zgadnij co robiącą: chleby i pieczywa moje rzucała z pogardą na ziemię i mówiła do siebie: téj sukni dosyć mi, — to najlepszy znak i dowód. Widząc to, pomyslałem natychmiast że na téj ulicy nikt oprócz mnie nie mieszka, musi więc

z mojego domu powracać. Wołam ją do siebie i pytam co tu robi? Odpowiedziała że ma córkę bliską połogu, bardzo cierpiącą i że niosła jéj kordyały posilne dane przez pana i panią „co ot w tym domu!". Rzekłem: jeżeli tak, więcże chodź ze mną, a ja dam ci jeszcze zwierzyny tylko co upolowanéj; zwierzyna lepsza dla chorych niż kurczę. Rzekła: „Bóg ci zapłać, nie mam czasu" i chciała się wymknąć, ale ja nie w ciemię bity, zrozumiawszy o co rzecz idzie, przywlókłem ją aż do drzwi i ukarałem zdrajczynię. No teraz bracie drogi, możesz już być spokojnym a siedź sobie i używaj spokojnie, bo gdybyś sto lat u mnie tu przeżył, nikt ciebie tknąć się nie odważy. Młodzieńcze! lud nazywa mię Belizad Chan *herami* (zbójcą), a król Frengów tak mnie się boi, że myśl o mojéj szabli sp ć mu niedaje. Przed tem ja służyłem u dworu stryja twoiéj księżniczki, byłem naczelnym wodzem wójsk jego. Póżniéj gdy brat jego zasiadł na tronie, służyłem daléj aż do dnia w którym zamordowano niewinnego księcia. Straciłem chęć służenia tyranowi, zrobiłem się wire kozakiem *). Sam jeden napadałem na wioski, aż łupież, rabunek i grabież państw okolicznych stały się mojem rzemiosłem.— Król nieraz wysyłał na mnie wojska swoje, raz nawet sam je przywiódł osobiście ale zawsze pobici, wracali z niczem. Nakoniec musieli mi ofiarować pokój, który przyjąłem nie przeto abym daléj niemógł panować ale oto dla czego:

Pewnej nocy, nieśpiąc zobaczyłem na jawie błogosławioną postać Alego, prawowiernych Emira i pobożnych Imama, tego samego co go prorok przezwał *lwem-bożym*, święć mu Allahu i świeżej rodzinie jego! — Ujrzawszy natychmiast u stóp jego zarzekłem się zbrodniczej exy-

---

*) *Kazzaki pisz giryftem* „przedsięwziąłem kozactwo" to jest stałem się rozbójnikiem od nikogo niezależnym.

stencyi mojéj i wszelakiego rozboju a łupiestwa. Odtąd znowu spokojnie żyję w tém mieście i służę Bogu jak umiem i jak mogę nalepiej, a ile razy mi się zatęskni, wyjeżdżam sobie na łowy, lecz nigdy się z nikim nie spolę ani się bratam. Terazże powiedz mi także, skądeś rodem i jak ci przyszło zawędrować aż do mego domu i wrota otworzyć moje? — Mów prawdę bez ogrodek jeśli chcesz być zbawionym".

Wtedy opowiedziałem jemu od początku, aż do końca, wszystkie przygody moje i przybycie do dworu i zawód w nadziejach moich i służbę mą u eunucha w haremie i złamanie rygla sprawą krolewny i wejście do domu i rozgospodarowanie się, wszystko a wszystko co do joty. Bohater bardzo się udobruchał i rozweselił słuchając mojej spowiedzi, pocałował mię w czoło i rzekł: Bóg cię zapłać, powieść twoja gwoli mojemu sercu. No, a teraz jeżeli chcesz mi przypodobać się a nawet zobowiązać mię sobie do dalszychu sług abym ci pomagał z duszy i z serca, trzeba abyś uiścił się z obowiązków właściwych panu. Nazywaj mię sługą swoim i traktuj jak niższego.

Na te słowa skłoniłem głowę i zacząłem się rozwodzić nad wdzięcznością moją. Rzekł: Słuchaj bracie, bez zwłok dalszych, idź siadaj na swojém miejscu i nie troszcz się bynajmniej, gdyż, dzięki Bogu najwyższemu, stanie mi na wszystko czegobyś tylko zażądał, Bóg nieograniczony w szczodrobliwościach swoich!

Zawstydzony i arcy zmięszany taką dobrocią, wracam do kiosku. Mój bohater lwiéj siły, obłupiwszy swą sarnę ze skóry, przyniósł do przysionku misę pełną rozpalonych węhli, przytem rożen i wszystko potrzebne do pieczystego. Nareszcie na półmisku złotym przyniósł doskonale upieczoną sarninę, postawił przed nami, a sam obyczajnie ze skrzyżowanemi rękami na pasie, stał w milczeniu, jak czekając dalszych rozkazów.

Królewna, obudzona ze snu, widząc przed sobą niby owego winowajcę sługę, zaczęła go strofować i ganić że nas tak długo samotnie zostawił. Bohater, jak człowiek serca i rozumu, z miną zbiednioną, niepodejmując spuszczonego wstydliwie czoła rzekł: „Pani moja! przewiniłem więcéj i gorzéj niż mówisz a najsroższa chłosta nie zmaże winy mojéj! Jedyną nadzieją przebaczenie w nieprzebranéj dobroci państwa mojego pokładam. Oto jak zawiniłem: gdy pan mój, słońce moje, udał się ze służbami pokornemi do księżyca wdzięków JWPani, przyszło mi na myśl przygotować wam jakiś podarunek. Niebyło nic pod ręką, więc pomyślałem sobie: pobiegnę na łowy i zwierzynę złożę w dań u stopy pańskiéj. Stało się. Teraz los mój w ręku wszechwoli panów i dobrodziejów moich!“

O Derwiszowie, postępek zacny tego męża tak mię zawstydził, że od wielkiego sromu zaladwie nie umarłem. On tymczasem, postawiwszy przed nami dzban rubinowej barwy, przyniósł nowe danie złożone z suchych owoców i łakoci. Z najgłębszém poszanowaniem, podał mi jeden puhar a drugi królewnie. Potém, również zgrabnie i grzecznie, podawał nam rożenki z pieczoną sarniną *).

Królewnie bardzo się podobały jego służby czynione z etykietą najwybrydniejszej dworszczyzny i z nienaśladowaną zręcznością. Zawołała go i raczyła mu dać jeden z nalanych puharów. On, ucałowawszy ziemię służb pokornych, wypił duszkiem, i znowu po dawnemu się krzątał.

Niebędę was, derwiszowie, męczył dalszemi szczegółami. Dosyć wam wiedzieć, że przez całe trzy miesiące, płużyliśmy w roskoszy i słodyczach pod dachem owéj go-

*) Gastronomowie wschodni pieką mięsa na rożnach drzew pachnących i rożenki razem z pieczenią podają do stołu.

ścinnej gospody. Behzad Chan, z cierpliwością Joba i hojnością Oceanu, dni i noce na usługach naszych marnotrawił, i ani razu nie uchybił w prawidłach najsroższej etykiety. Pewnego wieczora, po upłynieniu trzech miesięcy, rzekł do mnie, a byliśmy sam na sam: „Bracie! duszo moja! Gdybyś sto lat przebywał w domu moim, a śmierć do nas nie zaglądała, to wierz mi, że będę wam służył z duszą i sercem, i ani na myśl wam nieprzyjdzie, że tu zbywa na czém. Gdybyś nawet za żądał wrócić do ojczyzny z kochanką twoją, Bóg świadkiem, że was i tam zdrowo i cało dostawię.“ Rzekłem: wszystko to możne wszechpotężnéj szczodrobliwości i ludzkości twojéj, bo ani widzę dna zdroju dobroci i łask twoich. Boli mię tylko, że staruszek, ojciec mój, tak dawno już niemiał wieści o mnie.

Jak tylko Behzad Chan to usłyszał, nieczekając zawołał: więc na koń jedźmy! i przysiągł, że mię zawiezie do ojca mojego. Nazajutrz poradziwszy się mojej jaśminolicy i otrzymawszy jej zgodę postanowiliśmy jechać. Po dwóch dobach, nasz bohater, mąż królewskiego serca, przygotował trzy konie, ze sporym a niemęczącym jeździca krokiem, trzy podróżne rynsztunki, dla każdego siodło, ubranie, arkan, łuk, tarczę, miecz, dzidę, zbroję, kolczugę etc., a takież trzy kieski i sakwy pełne złota i klejnotów, jadła i przysmaków. W nocy osiodłał i zauzdał nasze trzy rumaki, wybornie opatrzone lamparciemi derami, wszyscy zbrojnie, chędogo, Behzad Chan na przedzie, my za nim przybywamy do wrót miejskich prowadzących do Persyi.

Zapomniałem wam mówić, że od dnia w którym królewna znikła, król rozkazał pomnożyć straże na brzegach morskich i przy bramach miejskich, zamykać co noc i nikogo niepuszczać pierwéj, aż pokaże dwa paszporta podpisane ręką J. K. M. Niewiedzieliśmy o tem, ale jak tylkośmy ku bramie przyjechali, wódz nasz tak

krzyknął, że aż obudził śpiącego odźwiernego. „Hola! Otwórz mi wrota!“ A kto wy tacy i dokąd jedziecie?

Behzad Chan zaśmiał się i zawołał: „Ej stróżu ospalcze! ażaliś oślepł? — To ja Behzad Chan, zbójca, ten młodzieniec zięć Jego królewskiej Mości ta panienka córka J. K. M. Jedziemy do Persyi“. Odźwierny rzekł: „Na rozkaz króla wrót nie otwieram w nocy“. Nasz wódz wpadł na strażnika i krzycząc: „Psie, zrozumiéj więc, że chcę i pragnę aby tyran morderca, to jest król wiedział żeśmy wyjechali i nie mówił że mu córkę ukradziono! a nie, to ot jednym zamachem tak ci łeb rozkwaszę, że aż jelita wypłyną! Śpiesz więc oznajmić tyranowi, że jeżli chce wysłać za nami pogoń, i znowu słabizny swojéj spróbować, ja Behzad Chan, zbójca!“ — Wrota jakby się rozdarły.

O derwiszowie! każde z słów jego, jak nicią, targało sercem mojém. Zdawało mi się, że to przechwałki i szara pyszka. On kochankę moją wyprowadził za wrota, potém mnie, a potém dognawszy nas, popędzał a śpieszył. Jak koń wyskoczy, po pustyniach, po polu po górach, aż do rozświtu czwałowaliśmy. A kiedy słońce weszło, ujrzeliśmy przed sobą ogromną rzekę, na niéj most, a na moście tłum zbrojnych orężników.

Behzad Chan, jeno słoń wściekły, ująwszy rękojeść miecza obosiecznego, ryczał i gromił a łamał. Po chwili wszystkich jak gwiazdy niedzwiedzicy wielkiej (*benati neasz*) rosproszył tu i owdzie, kilkunastu z nich ranił lub zabił. Tak otwarłszy nam drogę, skinął na nas, abyśmy most przejechali. — Mijamy i niezatrzymując się jedziem dalej i dalej, aż oto z tyłu za nami, o jakie półfersecha odległości od mostu widzimy, że słup kurzu wzniósł się i dosiągł aż pod niebiosa. Behzad Chan rzekł: najdrożsi moi, ten głupiec wyprawił wojsko dla pojmania nas. Niech i tak będzie, ponieważ tak chce, wolej to niż gdyby paplał żeśmy uciekli

Wjedźcie na ten wzgórek i ztamtąd przypatrujcie się a ja pobiegę im zajrzeć w oczy i rosprawię się z nimi zanim wrócę tu.

Natychmiast skoczył ze strzemienia, ścisnął mocniej popręgę potem znowu na siodło, zaciął konia po obu bokach i puścił się czwałem i ani się zatrzymał aż przy owym moście, właśnie gdy już dojeżdzała tam konnica króla Frengistanu. Behzod Chan, podobnie ryczącemu lwowi, szukającemu zdobyczy i walki, wpadł na niewiernych i gdzie tylko się zwinął, wnet całą kupę trupów nasypał, gdzie machnął mieczem krew siejącym, wnet szczelina w tłumie jeźdźców ś..ieciła, strasznym wył głosem wołając: ha, ha, giaurowie! krew wasza na głowę waszą! Bogu za nią odpowie ten kto się poważył rzucić was na mnie! — Tak trzebiąc sobie drogę przerznął się aż pod chorągiew, gdzie stał naczelny wódz wojska. Był to mąż sławny, wielkiego serca, europejczyk, co w godzinie boju stał za stu najdzielniejszych rycerzy, ani było starszego nadeń naczelnika w całéj armii królewskiéj. On nieczekając dłużéj, rzucił się przed Behzod Chana, ich mierze skrzyżowały się dzielnie, silne razy padały ztąd i zowąd, dzwoniąc po zbrojach i hełmach. Behzod Chan westchnął z głębi serca: Boże najwyższy, z ogromu wielkości Twojéj, ześlij mi w pomoc nową siłę! — i spuścił miecz na ciemię giaura, tak że łeb rospadł się, a żelazo grzyznąc przez szęszak przez przyłbicę, przez napierśnik stalowy i przez całą zbroję utonęło aż w wątrobie. Tułow wzdłuż rozpłatany rozpadł się na dwoje. Drugie cięcie Behzod Chana spadło na rękę niosącego chorągiew, obie z nieszczęśliwym chorążym runęły.

Po śmierci naczelnego Serdara, żołnierze niewidząc chorągwi zaczęli uciekać. Nasze lwisko pędziło za zbiegami przeszło pod Fersecha, waląc bijąc mordując, gniotąc, i gruchocząc. Nakoniec raczył powrócić. Na brze-

gu rzeki, obmył pazury nóg i rąk, zbroczone w posoce wroga. Potem przyjechawszy pod samo wzgórze na którem staliśmy, zaczął po dawnemu mówić do nas jak do panów swoich i prosić o przebaczenie, że nas przymusił czekać na siebie: „Moi wy najdrożsi! Dzisiaj bardzoście się znużyli; ale raczcie nie gniewać się na mnie!“

Królewna i ja, pobłogosławiwszy sercu i duszy szlachetnego męża, oddawszy hołd należny męstwu jego, jechaliśmy przez całą noc następną, ani zatrzymaliśmy się aż wśrodku jakiejś prześlicznéj łąki. Tam puściwszy konie na paszę i sami trochę się posiliwszy zasnęliśmy.

Taką i temu podobną koleją podróżowaliśmy przez całe dziewięć miesięcy. Z granic ojczyzny mojéj napisałem do ojca donosząc mu o szczęśliwym powrocie. Uradowany starzec pośpieszył na spotkanie moje z całem wojskiem swojém, aż na pięć ferzechów odległość od stolicy królestwa naszego.

Już tylko szerokość rzeki rozdzielała nas od nich, już widzę jak najukochańszy mój ojciec zatrzymał konia swojego i stanął na samym jéj brzegu. Serce mi powiedziało: niegrzecznie to, aby twój czcigodny rodziciel, w tak podeszłym wieku przebywał w bród rzekę, może głęboką, więc zniecierpliwiony, niepytając spiąłem konia i co prędzej skoczyłem w nurty wód zdradliwych, niewiedząc, że tam wir i bezdeń. Ręka nieżyczliwego losu pchnęła mię. Po setnych usiłowaniach, dostałem się na brzeg, ale o włos żem nieutonął. Cóżkolwiek bądź, rzucam się w objęcie drogiego ojca, całując najprzód kolano jego i strzemię...

Aż tu nagle powstaje hałas, nieład i wołanie o ratunek. Patrzę i widzę, że ów lew szlachetności i dobroci Behzod Chan z moją perełką wdzięku i pieszczot, nurzają się w fałach spienionych, niosących konia i jeźdźca. Klacz na któréj jechałem była matką źrebięcia

co pod siodłem kochanki mojéj. Otóż źrebię jak tylko zobaczyło, że matka na drugim już brzegu, skoczyło samo do rzeki. Behzad Chan zrozumiał całe niebezpieczeństwo grożące królewnie, spieszy jéj na pomoc; oboje na samym strzale, porwani prądem, to znikali to wynurzali się z wezbranych martwych bałwanów. Wszystko to stało się tak prędko, tak niespodzianie, że gdyśmy się postrzegli, woda już ich niosła! — Konie osobno, a on i ona, gdzieindziéj, pasowali się ze śmiercią. Kilkunastu dobrych pływaczy rzuciło się do wody, ale oboje znikli im z oczu.

O derwiszowie! łatwo pojmiecie co się we mnie działo, jak rozpierzchły się myśli, jaki wir w głowie? Po tylu trudach wycierpianych, tylu biedach i niebezpieczeństwach tak długiego tułactwa, w chwili zwycięztwa i pomyślności stanowczéj, nagle znowu stracić zdobyty skarb duszy mojéj, patrzeć na zgon i jéj i tego najlepszego z przyjaciół, co zdaje się po to tylko zapłacił trudem i męztwem i złotem i sercem swojem, aby w nagrodę znaleść śmierć niesławną, zdala od rodzinnéj ziemi.

Rozdarłszy na sobie suknie w szmaty, boso i z obnażoną głową pobiegłem w głąb pustyni, i długo, długo bez pokarmu, bez snu, z ruiną w duszy, z ogniem w sercu, z oczyma zalanemi, błąkałem się po piaskach i bezdrożach. Nareszcie postanowiłem odjąć sobie życie, rozerwać wiotką szatę istnienia mojego w hołd żałobny kochance i przyjacielowi. Przeznaczenie powtórnie zawiodło mię na ową górę do chatki owego pustelnika staruszka, znalazłem czcigodnego a mądrego sędziwca. On mię wysłuchał, pogodził z Bogiem i z sumieniem i natchnął nową nadzieją połączenia się z drogiemi serca. Dzięki Najwyższemu, znalazłem w was bracia derwiszowie, podporę i osłodę Pustelnik przepowiadając mi pomyślną przyszłość, nauczył znaków, po jakich mam

poznać zbliżenie się jéj godziny. Znak pierwszy już się pokazał, tuszę, iż i inne zjawią się, — zobaczymy na czem to wszystko skończy się.

Zaledwie Derwisz Drugi skończył swą powieść; na minaretach meczetu odezwała się pieśń muezzina *) wołającego prawowiernych do modlitwy porannéj. Azade Becht z sercem pełnem otuchy i radości, wrócił do pałacu swojego i zaczął sprawy dzienne od pacierza. Potem zrzuciwszy suknię w którą był przebrany, raczył powagą obecności swojej zaszczycić ministrów zgromadzonych w posłuchalnéj sali. Natychmiast dwóch *jesaułów* (woźni) zapraszają derwiszów do dworu, a sam zaczął rozmowę z emirami i przedniejszemi urzędami państwa.

Tak było w królewskim pałacu. Tym czasem derwiszowie odmówiwszy poranne modlitwy, namyślali się, czy to pójść dzisiaj do miasta czy nie, czy może lepiéj pozostać na swojem miejscu? Aż tu przychodzą jesaułowie królewscy z dobrą nowiną że Padyszah żąda aby przyszli odwiedzić go. Derwiszowie radzi z zaszczytu podziękowali najprzód monarsze ziemi i nieba, najlepszemu i najhojniejszemu z panów, a potem spiesznie puścili się w drogę i bez zwłoki stanęli u wrót pałacu Azade Bechta. Królewski odźwierny pobiegł oznajmić o tem padiszahowi, a otrzymawszy pozwolenie J. K. Mci wprowadził ich. Uderzeni wielkością i liczbą wspaniałości królewskiéj, ucałowali poły podnóżka tronu Azade Bechta i otwarłszy usta modlitwy i pochwał, tak zagaili posiedzenie:

---

*) Klecha którego obowiązkiem śpiewać z minaretów i dachów, wołając lud do modlitw, osoba znajoma już z Sonetów Mickiewicza.

Wiersze pobożne. Boże utrwal dolę królowania jego! Rozognij promienie gwiazdy opiekuńczéj jego! Niech mu koło fortuny posłusznie toczy się gwoli chęci jego! Niech szczęście jak giermek towarzyszy nieodstępnie strzemieniowi jego.

Po uiszczeniu się z pierwonaczelnego obowiązku chwały i wdzięczności, na rozkaz Azade Bechta, który im bardzo łaskawie pozwolił zbliżyć się do siebie, wszyscy czteréj derwiszowie stanęli przed tronem. Padiszah osypał ich grzecznościami. Rad jestem z przyjścia waszego, dziękuję za przyjemność mi uczynioną; — zkąd i dokąd idziecie? Dla czegoście nieweseli i zamyśleni?

W odpowiedź rzekli: Oby szczęście Padiszaha było wieczyście młode i panowanie jego na zawsze trwało! My derwiszowie tułamy się po świecie zdala od naszych rodzimych krajów i wyrzekliśmy się wszelkiéj błogości téj doliny płaczu. Znieśliśmy cierpliwie trud i rozłąkę; po pustyniach, po bezdrożach szukamy, pijemy truciznę w kielichu biedy. Przemierzyliśmy morza i lądy nieużywszy jednéj chwili spokoju.

Azade Becht rzekł: opowiedzcie mi wasze przygody i wasze cele tułactwa.

Rzekli: Padiszahu!

wiersze: Boleści naszéj rozum uleczyć nie umie., Rozłąki naszéj mądrość ludzki nie spoi.

Żyj długo a błogo. Ani możemy wszego wypowiedzieć ani zdołacie wszego wysłuchać.

Azade Becht uśmiechnął się i rzekł: To prawda, — wszakże o derwiszowie bądźcie przekonani, ani wątpcie że jużem się nieco obeznał z przeszłością waszą. Słyszałem od początku do końca powieści dwóch towarzyszy waszych. Teraz chcę, aby dwaj pozostali podobnież opowiedzieli mi przygody swoje.

Derwiszowie zrazu zmięszali się i ulękli bardzo ani śmieli spowiadać się swobodnie przed majestatem i uro-

czystą powagą tak możnego Monarchy; stali każdy jak niemy, jak głuchy. Azade Becht widząc że derwiszom braknie siły wymowy i że nieodważą się mówić z nim jak z sobą samymi, kazał im usiąść. Promieniem poufałego wejrzenia, rozjaśnił mgłę otaczającéj go powagi, i dla zachęcenia ich perłą własnego głosu zadzwonił w ucho licznie zgromadzonych słuchaczy, oświadczywszy że zacznie od opowiedzenia derwiszom własnéj przeszłości swojéj i rzekł im: Ponieważ żałujecie dla mnie powiastki o przygodach waszych, albo może wstyd wam wzbrania tego, musicie przynajmniéj wywiązać się z długu wzajemności. Przed kilką godzinami słuchałem cierpliwie opowiadań waszych, teraz wet za wet dajcie ucha spowiedzi mojéj.

Derwiszowie ucałowawszy ziemię pokornéj grzeczności, rzekli: Słońce łaski padiszaha weszło na noc biedactwa naszego, a w tém coś raczył powiedzieć, widzimy krynicę niewyczerpanéj szczodrobliwości twojéj! Niech będzie jak chcesz.

Aleksander Chodźko.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Podanie i krytyka w historyi. — Żywot ś. Wojciecha X. Pęchalskiego l Lechicki, początek Polski Karola Szajnochy.

W dawnych wiekach przyjmowano każde podanie za prawdę historyczną i nie troszczono się o ściśle, dokumentne dowody — Podania te utrzymujące się zazwyczaj w pewnej części społeczeństwa przewodniczącej narodowi, miały tem samem niezaprzeczoną powagę, i wzbudzały wiarę w ich rzetelność. Wiadoma rzecz, jak od czasow reformacyi, zmieniły się punkta widzenia i oceniania prawdy.—Wielkie tradycye kościoła narodów poszły pod rozbiór, wyśmiane lub zaprzeczone zostały.

Dzisiejsi pisarze dziejów idą tą ostatnią drogą, to jest drogą krytyki — a to dla tego, że niezawsze chcą szukać tradycyi tam gdzie jest; powtóre, że niezmiernie posunięta badawczość źródeł dziejowych, dozwala im pochodnią rozumu i nauki rozwidnić mroki przeszłości najodleglejszej...

Zdrowy rozsądek, kombinacya rozumowa, mogą być w takim razie najwyższym trybunałem w ocenieniu zdarzeń i poznaniu prawdziwej prawdy. Zapewne są to potężne czynniki i rozczynniki — ale trzeba pamiętać iż nie wszystkie wieki dają się mierzyć jedną miarą; że sama natura faktów opiera się częstokroć badawczości historyka. Zarozumiała więc pewność krytyki historycznej, że ona jedynie może być tylko w posiadaniu najprawdziwszej prawdy, że co ona przesieje przez sito— to jedynie jest ziarnem czystem, a reszta plewą fałszu i ułudy — znajduje w historyku prawdziwie krytycznym jak Tacyt swoje najlepsze ocenienie. Opowiadając śmierć Germanika, podaje, jako powszechne było mniemanie, że Germanikus otrutym był przez Piso — Senat zarządza śledztwo — a Piso uprzedzając wyrok zabija się. Tacyt posępnemi farbami malując to zdarzenie, niepomija obiegających wieści: że Piso był do tej zbrodni pobudzony przez Tyberyusza, i że nie sam się zabił, tylko zginął na rozkaz Cesarza, aby prawda nie wyszła na jaw — poczem dodaje te godne uwagi wyrazy: „I najważniejsze zdarzenia bywają wątpliwe; ponieważ jedni, cokolwiek zasłyszeli, podają bez ogródki za prawdę; drudzy wręcz kłamią. A oboje to, tak umyślne jak nieumyślne fałszowanie prawdy, tém bardziej rośnie, im zdarzenie dawniejsze" — Jeżeli bezwzględna prawda nieosiąga się krytycznością badań, tedy tradycye narodu nie są tak bardzo do wzgardzenia, zwłaszcza gdy wiara w nie żyje choć w części między nami. Ażeby zrozumieć te tradycye, częstokroć na pozór niegodne krytycznego noża wysokiéj uczoności książkowej, potrzeba zlać się z narodem, być wykarmionym mlekiem wspomnień, a nadewszystko żyć pośród niego życiem czynnem, bo nie historya jest szkołą życia jak utrzymują pedanci, ale życie jest szkołą dla historyi. — Im kto więcéj miał sposobności poznać ludzi i ich sprawy,

im kto głębiej potrafił wżyć się w teraźniejszość, ale rzeczywistą nie urojoną, ten staje się zdolnym najlepiéj zrozumieć przeszłość. Natura bowiem ludzka, potrzeby jej duchowe i cielesne, równie jak wszystkie węzły utrzymujące społeczeństwo, były prawie po wszystkie czasy jedne i też same. Poznać tę główną osnowę, więcéj znaczy, niż mierzyć i śledzić każdy ścieg zdarzeń dzierzganych na niéj.

Jak tedy badawczość w dochodzeniu zdarzeń odległej starożytności, powinna mieć się bardzo na baczeniu, aby przypuszczeń i zdradnych podobieństw niestawiała wyżej nad tradycyę uświęconą dawnością i wiarą narodu, tak z drugiéj strony krytyka historyczna nieocenione oddaje usługi gdy zasycona szeroką nauką, drogą analogii i uzasadnionych wniosków umie rzucać światło na epoki ciemnych dotąd początków. — U nas można powiedzieć dziejopisarska krytyka zaczęła się dopiero z Naruszewiczem, i odtąd postęp na téj drodze zrobiono niemały, i przez badanie źródeł i licznych gałęzi należących do nauki historyi. Właściwie więc jesteśmy w epoce przygotowawczéj, w epoce zbierania materyałów, oceniania ich, a razem wyświecania szczegółów dziejowych, bez czego nie można dojść do pragmatyki. Błąd to był historyków naszych, osobliwie z czasów Tow. Prz. Nauk, że gwałtem chcieli być pragmatyczni, czyli więcéj chcieli wiedzieć o historycznych zdarzeniach i wewnętrznym ich związku, niż wiedzieć byli w stanie, — z tego to względu dowolnych przypuszczeń i przeobrażeń tyle się namnożyło, że prawie każdy fakt musi być źródłowie zbadany na nowo, aby się mógł przedstawić w rysach zbliżających go do prawdy z rzeczywistością świadectw poważnych zgodnej.

W ostatnich czasach wyszły dwa pisma noszące cechę znamienitéj historycznéj krytyki — oba poświęcone rozwiązaniu dwóch dziejowych zagadek. Pierwsze: *Ży-*

wot ś, Wojciecha z uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały, napisane jest przez X. Piotra Pękalskiego. — drugie: *Lechicki początek Polski*, skreślił Karol Szajnocha, znany tak zaszczytnie z tylu historycznych prac. W sprawozdaniu z pierwszego dziełka pójdziemy porządkiem jakiego trzymał się autor. Zaczyna on od skreślenia Żywota śgo Wojciecha, podług najautentyczniejszego źródła, to jest podług podania Jana Kanaparza benedyktyna klasztoru ś. ś. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie, gdzie ś. Apostoł wiódł życie zakonne. Zdaniem Pertza jest to najstarożytniejszy zabytek. — Ś. Wojciech pochodził z możnego czeskiego rodu Slawników, spowinowaconego z domem cesarskim. W szesnastym roku życia swego, opuścił dom rodzicielski, udając się na naukę do Magdeburga, gdzie celujący między spółuczniami pilnością i pobożnością, po ośmiu latach wrócił do rodziny, do Czech i tam pod koniec r. 891 przyjął kapłańskie święcenie od Thetarata pragskiego biskupa. Smierć tego pasterza zdarzona r. 983 i straszne na żywot niedosyć chrześciański wyrzekania umierającego, zbawienny wpływ wywarły na młodym kapłanie; albowiem wiodąc pod ten czas cokolwiek wolniejsze życie, uczuł wewnątrz zgryzotę a razem pragnienie poprawy. W skutek tego przywdział zaraz włosiennicę, popiołem głowę potrząsnął, a rozdawszy majątek między ubogie, stał się prawdziwym bojownikiem Chrystusa. Po śmierci onego biskupa, oczy wiernych zwróciły się na młodego pokutnika, którego cnota, zacność i możność rodu, a nadewszystko surowa poprawa życia, stały się pobudką dla panującego księcia Bolesława II. i ludu, iż go wezwano na biskupstwo praskie, na którą to godność d. 29 czerwca 983 r. przez arcypasterza Mogunckiego Willigisa wyświęcony został. Na stolicy biskupiéj sześć lat siedząc, a nie mogąc ani przykładem świątobliwego, w zaprzaniu siebie samego

życia, ani słowem rozwiozłej, zatwardziałego serca, i zatyłego karku owczarni swojej, od wszeteczeństw najbrzydszych odprowadzić, by duszy swéj niestracił, złożył w ręce Ojca śgo władzę biskupią, a sam jął kija pielgrzymiego do grobu Zbawiciela. W pielgrzymce téj zatrzymał się w pewnym klasztorze benedyktyńskim, gdzie upodobawszy sobie życie klasztorne przywdział u ś.ś. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie sukienkę ś. Benedykta wraz z bratem swym Radzynem.

Czasu nieobecności ś. Wojciecha dyecezya praska zostawała pod zarządem Arcybiskupa Moguńckiego, który litując się nad jej sieroctwem zaniósł do Rzymu prożbę o zwrócenie ś. Wojciecha do Pragi — co papież Jan XV uczynił, przeznaczając go, na osierocony stolec biskupi w Pradze. Całe miasto uradowane z powrotu świętego męża, wyszło na przeciw niemu, przyrzekając stateczną poprawę. Lecz przyrzeczenia prędko wyszły z pamięci ludzi nieumiejących powściągać najdzikszych namiętności. Zdarzyło się, iż gdy żonę jednego z Wrzeszowców magnatów czeskich ze Slawnikami na równi możnowładztwa stojących, zemsta za cudzołostwo aż za ołtarz ścigała, kędy ją biskup przed mieczem zemsty ukrył — zbroczenie miejsca świętego krwią onéj niewiasty — taką zgrozą duszę swiętobliwego pasterza przejęło, iż postanowił po raz drugi owczarnię swoją opuścić. Zanim atoli wrócił w zacisze klasztorne, udał się na początku r. 995 do Węgier dla opowiadania ewanielii, gdzie prócz mnóstwa ludu, ochrzcił był syna króla węgierskiego Gejzy, a późniejszego króla i sługę bożego ś. Stefana. — Z otwartem a radośnem sercem od ojców zakonnych przyjęty, rok tylko lubował się w osamotnieniu klasztornem, albowiem na gorące nalegania arcybiskupa Moguńckiego, stolica Apostolska po raz drugi zawezwała zakonnika by zasiadł na urzędzie biskupim Posłuszny władzy, gdy stanął na granicy

Czeskiéj, doszło go, iż naród zbrodniczy do którego spieszył, zbroczył swe ręce krwią jego własnéj rodziny. Czesi w szaleństwie swojém braci jego wraz z ich rodzinami wymordowali, krewnych i mnogo szlachty pokaleczyli, a wszystkie włości ogniem i mieczem zniszczyli. Krwawe te zdarzenia zagrodziły dalszą drogę Wojciechowi; nieobiecując on sobie żadnego pożytku z rozbestwionych owieczek, zwrócił kroki swe ku Polsce, gdzie panował Bolesław Chrobry. Jakoż przez Węgry idąc stanął w Krakowie z bratem Radzynem nie odstępnym towarzyszem, i niejaki czas kazywał na rynku krakowskim, na którą to pamiątkę stanął później kościołek ś. Wojciecha, po dziśdzień w części utrzymujący się. Niedługo bawiąc w tem mieście, przy końcu 996 r. przeniósł się do Gniezna, ówczesnéj stolicy Polski, zkąd wysłał do prażanów poselstwo z zapytaniem czy zechcą go przyjąć, i czy obyczaje swe poprawią? Odebrawszy odmowną odpowiedź, postanowił sąsiadującym z Polską Prusakom naukę Chrystusa opowiadać, i w tym celu na wiosnę 997 r. z bratem Radzynem i Benedyktem kapłanem popłynął Wisłą do ziemi prusaków, gdzie, jak wiadomo tegóż roku d. 23 kwietnia, z powodu przekroczenia gaju poświęconego pogańskiemu bożyszczu, został siedmią włóczniami przebity; dwaj zaś jego towarzysze z rąk pogańskich uszedłszy, przynieśli tę smutną wiadomość do Polski. Bolesław zawiadomiony o śmierci Wojciecha, postanowił wykupić jego zwłoki, przyczem jak wiadomo stał się cud, który wypadł na niekorzyść łakomych pogan — ciało bowiem ś. męczennika stało się tak lekkiem, iż ilość złota odpowiednia ciężkości ciala, zredukowała się do nieznacznéj summy. Zwłoki sprowadzone do Polski złożone były naprzód w Trzemesznie, następnie dla większego bezpieczeństwa w Gnieźnie, zkąd szerzące się łaski i cuda doszły nawet do Cesarza Ottona III.

W r. 1000 Otto udał się z Włoch na pielgrzymkę w zamiarze odwiedzenia grobu ś. Wojciecha. Wspaniałe są opisy kronikarzy współczesnych tego zjazdu dwóch monarchów, lecz to mniej do rzeczy należy — najważniejszy punkt z powodu którego ta książka napisaną została, odnosi się do wypadku zdarzonego w 38 lat póżniéj, to jest w r. 1038. Brzetysław Xiąże czeski najechał Polskę i grabierze swoje rozpostarł aż do Gnieżna. Oddział czechów z polecenia przywódzcy swego biskupa Sewera, chciał zabrać szczęty ś. Wojciecha — lecz kapłani miejscowi usunęli takowe, i w skrytem miejscu schowali, podłożywszy natomiast zwłoki Radzyna, które też Czesi uwieźli z sobą wraz z mnóstwem skarbów złupionych

Ta jest tradycya miejscowa poświadczona od naszych kronikarzy, i wielu dowodami poparta. Tymczasem Czesi utrzymują, że u nich znajduje się ciało ś. Wojciecha. Spór ten trwa od wielu bardzo wieków, a nawet niedawno został wznowiony z powodu, że w r. 1854 kardynał X. Jan Scitowski prymas węgierski i arcybiskup Ostryhoński zażądał był od X. Leona Przyłuskiego arcybiskupa Gnieżnieńskiego, aby do bazyliki Ostryhońskiej raczył udzielić relikwii ś. Wojciecha, albowiem jak się wyraża: jest tu wprawdzie mała cząstka czaszki dawniej udzielona z Pragi, *gdzie spoczywającego ciała prawdziwość nader jest wątpliwa.* — Na to wezwanie X. Arcybiskup Gnieżnieński wydobywszy z trumny znaczną część relikwii, zawiózł je sam w r. 1856 do Ostryhonia, i złożył w świątyni poświęconéj pod wezwaniem ś. Wojciecha. — Z tej to okoliczności uczony czeski X. Wacław Sztulc arcyb: notaryusz i prof. akadem. gimn. w Pradze wystąpił w piśmie wydawanem przez siebie *Blahovest*, i w artukule: *Grób św. Wojciecha* starał się polegając jedynie na podaniu Kosmasa dowodzić, że ciało ś. Wojciecha nie w Gnieździe lecz w Pradze spoczywa. — Wystąpienie to wywołało uczoną i wielce przekonywającą książ-

kę X. Pękalskiego, gdzie umiejętnie i krytycznie zestawione dowody, tę na pozór tak zagadkową sprawę rozstrzygają najjaśniéj, chociaż od pamiętnego napadu Czechów do dziś z górą 800 lat nas przedziela.

Główny argument Czechów opierał się zawsze, ilekroć spór ten wznawiano, a wznawiano go nieraz, na powieści kosmasowéj. Trzeba więc było podkopać wiarogodność tego świadectwa okazując przeciwieństwa w jego podaniu. Jakoż w rzeczy saméj mówi on raz że zwłoki święte tak były przy ścianie za ołtarzem (w Gnieźnie) umieszczone, że bez zburzenia go, wydobyte być niemogły; drugi raz mówiąc o zabranych ze świątyni skarbach dodaje, iż niesiono trzy szczerozłote tablice zdjęte z ołtarza w którym leżały zwłoki męczennika; wreszcie opowiedziawszy iż biskup pragski Sewerus towarzyszący Xięciu Brzetystowowi w napadzie na Gniezno, zburzył młotem grobowiec od szczytu do spodu, nadmienia, jako otworzono trumnę z któréj książe i biskup bez trudności wydobyli ś. zwłoki i obwinięte w materyę jedwabną na ołtarzu złożyli. Najgłówniejsza zaś sprzeczność co do stanu, w jakim się znalazły zwłoki świętego; albowiem mówi, iż takowe w niczém nie były uszkodzone, *jak gdyby w tym dniu mszę ś. odprawiał*; zapomniawszy, iż sam za spółczesnemi świadectwami powtórzył, że poganie biskupa pokłóli i porąbali. Przeciwnie Radzyn brat ś. Wojciecha arcybiskup gnieźnieński, umarł był śmiercią zwyczajną r. 1006 i wedle swéj godności w ubiorze pontyfikalnym pochowany. — Lubo stolica apostolska jeszcze nie była ogłosiła Radzyna świętym przed zabraniem zwłok jego przez Czechów, którym, jak pisze Długosz, kapłani podsunęli te zwłoki w miejsce zwłok ś. Wojciecha, to zważywszy że kanonizacya nie czyni świętymi sług bożych, jedno je za święte ogłasza na zasadzie nieskalanego ich żywota i cudów, które Bóg przez nich czyni — można

śmiało twierdzić, że znamiona opisane przez Kosmasa jakoto: jasność twarzy i biskupiego ubioru, nienaruszona całość wszystkich członków ciała i grobowca, jedynie do ś. Radzyna zastósowaną być może. Wiadome bowiem ze świadectw pięciu spółczesnych żywociarzów szczegóły zamordowania ś. Wojciecha; poganie zakłówszy go włoczniami, ciało jego rozćwiertowali, a uciętą głowę na żerdź zatknąwszy; przez kilka dni tak znieważone i opuszczone zostawały zwłoki, dopiero od Chrobrego wyprawieni mężowie wykupili je i ze czcią do Polski przyprowadzili. Również i sam Kozmas wspominając o Radzynie mówi najwyraźniej, iż ciężko było zranione serce jego widokiem rozsiekanego ciała brata Zwłoki te więc ciężko uszkodzone przez samo męczeństwo, tem więcéj ucierpiały w swojéj całości, gdy dodamy ten szczegół zapisany w współczesnych analistów, że Bolesław podarował Ottonowi III ramię ś. Wojciecha a Radzyn będąc arcybiskupem gnieźnieńskim udzielił klasztorowi kanoników ś. Augustyna w Trzemesznie, kilka ułamków drogich szczętów po dziś dzień tamże przechowywanych. — Długosz, który pewnie miał dowody jeśli nie pisemne, to przechowujące się w żywéj tradycyi, wyraźnie powiada o napadzie Brzetysława: W ciągu onych trzech dni podczas których Wielkiego Boga potęga ślepotą i letargiczną chorobą Czechów rażąc niedopuszczała im wniścia do kościoła, kilku miejscowych kapłanów spodziewając się, iż napastnicy będą się kusić o ciało swego biskupa zwłoki jego wydobyło z miejsca w którem dotąd z powszechną czcią spoczywały (wedle Thitemara złożone były w wystawionym przez Ottona III ołtarzu) i przeniosło je w miejsce ustronne pospolitym piaskiem zasypawszy. W tem utajonem ukryciu zostawały te relikwie do r. 1128 i d. 23 lutego, za arcypasterstwa Jakuba ze Znina podniesione i ku czci wiernych wystawione zostały. W trzy

lata później zanosił u ich stóp modły swe Bolesław Krzywousty dla przebłagania gniewu Bożego za zabicie brata swego Zbigniewa.

Przeciw kosmasowemu podaniu, który się urodził w sześć lat po mniemanem uwiezieniu ciała ś. męczennika do Pragi, a w ośmdziesiąt lat kronikę swą pisał świadczą pisarze więcéj zasługujący na wiarę, jakto Jan Kanaparz osobiście znający S. Wojciecha, biskup Bruno spółuczeń apostoła naszego i sam ginący śmiercią męczennika w Prusach r. 1009 — również piszący około r 1028 Ademar i wielu innych. Na tych świadectwach oparty autor, nie drogą naciągań, lecz najprostszych kombinacyj, ugruntował to co podał Długosz, i tym sposobem odparł uroszczenia Czechów, którzy prześladując Swiętego za życia, i nieoddając mu i po śmierci takiéczci żywéj, jakiéj doznawał w Polsce gdzie nawet pieniądze bito z wizerunkiem S. Wojciecha — niejednokrotnie toczyli polemikę o rzetelność posiadanych przez siebie relikwij. Uczona ta praca wielce zajmującą jest z powodu trafnie zestawionych źródłowych dowodów; a wszelkie zarzuty czeskich pisarzy często bardzo zręczne i uwodzące, odparte są dokumentami niepodejrzanéj wiarogodności. Mnie zaś ta jedna uwaga przychodzi, którą tu dorzucić, za potrzebne uważam. Jeżeli zważymy, sądząc duchem owych wieków, jak wielką wartość przywiązywały narody do ciał swoich męczenników, tedy pojmiemy łatwo, iż w czasie owego napadu Brzetysława na Gniezno, miejscowe duchowieństwo niemogło mieć większego zadania, jak najpilniejsze przechowanie zwłok Ś. Wojciecha, gdy przeciwnie Czesi pałający tylko żądzą łupów szukali złota i srebra i drogich tkanin, a o ciało prześladowanego przez nich wygnańca nietyle im zapewne chodziło, aby aż w tym celu podejmowali wojenną wyprawę. Obecność tylko biskupa Sewera, mogła zwrócić uwagę na zwłoki mę-

czennika, aby tym płaszczykiem pobożnego celu, pokryć zbrodniczy najazd, za który i tak mieli się niespyszna od Stolicy Apostolskiéj, trzymającéj wówczas tak nad królami jak ludami wagę najwyższéj sprawiedliwości.—

Drugą ważną, a jeszcze trudniejszą zagadkę historyczną usiłuje rozwikłać Karol Szajnocha w rozprawie: *Lechicki początek Polski.* Wdzięczne to pióro nie od dziś już rozszerza ramy naszéj historyi dotąd zbyt ścieśnione przez odłączenie studiów nad historyą ojczystą, od niezbędnego poznania stanu krajów postronnych a mianowicie źródeł, co choć ściśle nieodnoszą się do Polski, lecz mimo tego mają z nią konieczne powinowactwo. Zycie bowiem jednego kraju górującego cywilizacyą nad innemi, bywa jak wiadomo najwymowniejszym komentarzem do zdarzeń, często niezrozumiałych bo dokonanych pośród społeczeństwa, które nieprzyszło jeszcze do samopoznania czyli niestanęło na stopniu od którego naród się zaczyna, i usiłuje mieć swoją historyę. Jeżeli tego szerokiego ogarnięcia historycznych stosunków wymaga badanie dziejów w epokach mających obfitość źródeł pisanych, tembardziéj potrzebne to jest, kiedy przychodzi odgmatwywać mroki i niepewności początków jakiego narodu. Początek Słowian śledzono po Greckich i Rzymskich pisarzach. Początek dziejów plemion składających Polskę wygrzebywano z tych samych źródeł przywołując w pomoc najdawniejsze zabytki i podania innych słowiańskich plemion, lecz najmniéj może uciekano się do objaśnień starogermańskich, a właściwie Skandynawskich. Z tego względu dzieło Szajnochy, *Lechicki początek Polski*, jako oparte na źródłach dotąd nie tykanych przez naszych badaczów historycznych, to jest na Skandynawskich podaniach i na kronikach słynnych w odmianach państw, Normandów,— zasługuje na uwagę, jeżli nie jako rozwiązanie ostateczne ciemnych początków Lechickich, to zawsze jako arcydowcipne ze-

stawienie prawdopodobnych, możebnych przypuszczeń analogij: Blisko brzmiące wyrazy, etymologiczne wywody, ułamki podań, zagów, mitologii, praw, instytucyj, zgoła massa szczegółów poznoszonych ze wszystkich kątów Europy, gdziekolwiek zapędził się zdobywszy Norman, wszystko to składa się na tysiączne argumenta pokazujące: że towarzysze Lecha, byli to ci sami rabusie i wygnańcy Skandynawscy, których imie wymawiano z śmiertelnym strachem na pobrzeżach mórz od śnieżnych skał Norwegskich po ukwiecone brzegi Sycylii.

Początek ten niepowinienby wstydzić Lechitów bo tak dobry, jeśli nie lepszy, jak pierwotnych założycieli omy.

Autor, ile widać z słów początkowych pierwszego rozdziału, przywiązuje wielką wagę do odkrycia znaczenia Lechitów — podług niego, będzie tym sposobem wyjaśniona pierwotna historya Polski. — Potwierdzenie to stuczne — od Lecha bowiem i kronikarze nasi wskazują na tworzące się państwo z plemion, dotąd bez znaczenia i nazwiska zostających. Zapewne, że dowiedzenie się o początku swoim zawsze jest rzeczą ciekawą; lubo mam to przekonanie, że niema narodu, któryby o swoim początku niemiał żadnego podania. Podanie to może być zmącone, poetyzowane mistycznością, ale zawsze utrzymywać się będzie po wielu wiekach jako instynktowe powinowactwo między narodem w ostatniem przeobrażeniu, a jego pierwotną kolebką. Pamięć o zburzonéj ojczyźnie nad brzegiem Skamandru nawet bez odświeżającéj to podanie Eneidy, zawsze utrzymywała się między Kwirytami, którzy w pewnym względzie byli takimi samymi założycielami państwa, śród plemion etruskich, jakimi byli Lechici śród Słowian. Dla czego nasi Lechici nieśnili nigdy o skałach ojczyzny Odina i Thora, dla czego ani krwawy obyczaj ani

wyobrażenia i zagi północne nieprzeniosły się do nas z tymi zdobywcami, którzy mieli bezwątpienia niepospolity fundusz cywilizacyjny, kiedy tworzyć umieli państwa? — Autor odpowiada dowodami opartymi na etymologii a razem twierdzi że Normandowie zazwyczaj tak prędko zespolili się z podbitym ludem, iż ich cechy rodowe zniknęły bez śladu, i na dowód stawia Normandów we Francyi również znikających w podbitéj ludności. Wszakże co mogło się stać z Normandami we Francyi, i co w istocie się stało, to trudniéj byłoby zastosować do Słowian niemogących się mierzyć z tą Galią, przez którą przesunęła się cała cywilizacya Rzymu, i tak wcześnie rozkrzewione chrześciaństwo. Dla tego sądziłbym, że cechy rodowe przybyszów Skandynawskich, czyli podług p. Szajnochy, tak zwanych Lechitów, niezlałyby się tak rychło z podbitemi plemiony Słowian — wielkie różnice pochodzeń, i charakterów niezacierają się i w najdłuższe wieki, — a tymczasem niema może narodu w Europie, gdzieby podobieństwo charakteru i wszelkich usposobień wewnętrznych było większe między rasą zdobywczą a podbitą, jak w Polsce. Cudzoziemiec sądzący nas powierzchownie mógłby widzieć tylko zewnętrzną różnicę jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i ten sam, dość popatrzyć w życie a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że, o czem naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniej wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do parodoxu, że pewne

epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stóleci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tem historycznem odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe, Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skandynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na stały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV wieku po Chrystusie daléj kraje nad Odrą i Wisłą, czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-lach*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. Lachy Jumscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. — Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacnia-

jąc się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się, bo tego wszystkiego we własnym domu mieć nie mogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj, w 9 wieku przybyli; skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d. iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi— więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc, 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa, różnych słów mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; Nareszcie 3) iż Słowiańskie narody ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czem arabskie świadectwo iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia założona przez Normanów między VI a VII wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnej wagi dla polskich kronikarzy piszących przed 8 wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć

żywotniejszą?— Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na niem budować jakieś odwieczne prawa. lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke, (dem Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wąhre Lust ist.“— (Blätterf: lit. Unt. N. 23). Pokazuje się że w ten zlewek Normanów z autochtonami, jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił.

Lucyan Siemieński.

PAŃSTWA W OBEC KONFERENCYJ.

Po ukończeniu traktatu z d. 30 marca 1856 nikt nie wątpił, że nastąpią nowe konferencye. Jakoż w roku 1857 zebrały się drugie. Były one w pewnym względzie niespodzianką, bo trudno było przewidzieć, aby granica besarabska tak szczegółowo w traktacie określona, miała wywołać ich potrzebę. Wszakże kwestya Bołgradu i ukazanie się na horyzoncie politycznym wysp Wężowych, wymagały rozstrzygnięcia europejskiego trybunału. Po niejakiéj opozycyi zwołano konferencye i załatwiono te nieprzewidziane sprawy w bardzo krótkim czasie Drugie konferencye przyszły do gotowego, w gabinetach ułożono punkta, reprezentanci mocarstw w Paryżu podpisali tylko protokół. Dwa posiedzenia wystarczyły do téj czynności.

Trzecie konferencye jakkolwiek zapowiedziane art. 25 traktatu paryskiego, zasiadają już od miesiąca, i nie-

wiadomo kiedy prace swoje ukończą. Tajemnica je otacza: wiadomo tylko, że przedmiotem rozpraw jest organizacya Księstw naddunajskich. Sprawa ta bezwątpienia trudniejsza jest i zawilsza od sprawy bołgradzkiéj i wysp Wężowych, ale nie to jest podobno główną przyczyną zwłoki, jakiéj doznaje rozstrzygnięcie kwestyi. Położenie państw jednych względem drugich głębokiéj uległo zmianie od chwili zamknięcia drugich konferencyj. Stanowiska ich nie są te same co były, porozumieć się przeto trudniej. Zaszły ważne wypadki, wystąpiły sprzeczne interesa, wyszły na jaw ukryte widoki, ukazały się pewne niedowierzenia, zgoła zmieniła się sytuacya polityczna, i jeżeli nienadwerężyła zasad konferencyj, to w każdym razie zachwiała ich podstawę. —

Wpływ jaki Francya bezsprzecznie posiadała w roku 1856 a nawet i 1857, zmniejszył się widocznie. Wpływ ten zawdzięczała ona polityce silnéj a umiarkowanéj i osobistéj cesarza Napoleona i naturalnéj przewadze jaką otrzymała przez wojnę wschodnią. Tej przewadze zawdzięczała, że kongres odbył się w Paryżu, że minister francuzki konferencyom przewodniczył. Zjazd stuttgardzki w r. z. i zamach 14go stycznia r. b. są to dwa wypadki, które niekorzystnie wpłynęły na stanowisko europejskie Francyi. Zjazd stuttgardski obudził nieufność Anglii. Zajęta powstaniem indyjskiem tolerowała go, ale niemniéj osłabił on przymierze francuzko-angielskie. Z drugiéj strony w zjeździe stuttgardzkim widziała Europa cesarza Francuzów, lecz oraz przestała obawiać się Bonapartego. Zdawało jéj się, może słusznie, że polityka osobista, niepodległa, a zatem groźna, ustępowała polityce dynastycznéj, którą różne względy krępować mogą. Gabinety i opinia publiczna widziały w zjéździe stuttgardzkim rękojmię pokoju, tem więcéj, że zjazd ten poprzedziła wizyta w Osborne,

która wprawdzie zapobiegła katastrofie stambulskiéj, unieważniła wybory do dywanów w księstwach, przywróciła pawilony na domach posłów czterech mocarstw w Carogrodzie, ale zawsze była dowodem ubytku przewagi francuzkiéj skoro do otrzymania tego rezultatu tak wielkiego środka użyć trzeba było. A i tak na nic się to nie przydało, skoro kwestya unii pomimo oświadczenia w *Monitorze* przepadła, a jak piszą hr. Walewski dzisiaj nawet z propozycyą wspólnéj dla obu księstw chorągwi utrzymać się nie może. — Jeżeli więc zjazd stuttgardzki osłabił przymierze z Anglią, to zamach 14go stycznia dotykalnie słabość tę udowodnił. Francya nic od Anglii uzyskać nie zdołała. Nie tylko zresztą w Anglii, ale wszędzie wpływ Francyi ucierpiał na polityce cesarskiéj od tego dnia prowadzonéj. Uznanie niebezpieczeństwa ciągle zagrażającego przez utworzenie ministerstwa *ad hoc*, obostrzenie paszportów, zaprowadzenie ustaw wyjątkowych, nie wzmocniło bynajmniéj Francyi na wewnątrz, a nadwerężyło jéj powagę na zewnątrz. Odbiło się i w chwili, gdy zwołane być miały konferencye. Ociągano się i jakby z przymusem zebrano się w Paryżu. Dowodem tego najlepszym że konferencye o Czarnogórę wydobyto co prędzéj z pod francuzkiego monopolu. Rzecz naturalna, że nie miło rozprawiać o pokoju w stolicy kraju, gdzie niebezpieczeństwo jest zagrożone, gdzie bezustanna obawa zamachu, od którego jak doświadczenie uczy, nie zasłoni najczujniejsza policya. Spostrzegł się rząd cesarski i już w ciągu trwania konferencyj, usunął ministra i zniósł wydział bezpieczeństwa publicznego oddany w chwili trwogi wraz z wydziałem spraw wewnętrznych w ręce jenerała Espinasa. Wymagania Francyi od innych państw, to o wydalenie emigrantów, to o przedsiębranie surowych policyjnych środków, oddaliły sympatye od Francyi, a oraz odbierały jéj urok siły i potęgi. Malał ciągle wpływ

francuzki, ustępował wszędzie i we wszystkich prawie sprawach, a jeżeli w sprawie Czarnogóry utrzymał się na pozór, to naprzód dla tego, że zawieszenie broni po klęsce Turkom zadanéj dogadzało wszystkim mocarstwom, a potem, że sprawa oddana pod konferencyę odrębną, niewiadomo jeszcze jak wypadnie.

Z tego ubytku wpływu Francyi korzystała szczególniéj Anglia. Już dawno spostrzegła, że ważniejszą jest dla niéj kwestya Suezka aniżeli Księstw naddunajskich. Odbiegła od polityki lorda Clarendona na pierwszych konferencyach; i związała się z Austryą i Turcyą w téj sprawie. Widząc zaś Francyę tak potulną w chwili powstania indyjskiego, w nagrodę za wizytę w Osborne zezwoliła na zjazd w Stuttgardzie. Przekonała się iż Francya bez przymierza angielskiego obejść się nie może, przynajmniéj w téj chwili, za pośrednictwem przeto Turcyi sprzeciwiła się przekopowi Suezkiemu a sama zabrała Perim. Wciągnąwszy Francyę w spólną wojnę z Chinami, spokojniejsza o Indye, odmówiła żądaniu Francyi co do prawa przytułku, składając wszystko na opinię publiczną i trudności gabinetowe. Torysy przyjąwszy testament Palmerstona co do spraw wschodnich, stoją naprzeciw Francyi w kwestyi Księstw naddunajskich i popierają życzenia Turcyi. Wysłanie marszałka Pelissiera na posła do Londynu, wytłómaczyli z rzadkim taktem politycznym Anglicy, jako dowód chęci utrzymania przymierza ze strony Francyi. Zgoła przymierze z Francyą uważa Anglia jako trwające przez grzeczność (*by cortesy*), tak jak zwyczajem jest u niéj nazywać pewnych członków wielkich rodzin lordami *by cortesy*, bo przecież lordami byćby mogli. Aby zaś usprawiedliwić aż do pewnego stopnia postępowanie polityczne przeciwne Francyi, od chwili do chwili wywołuje Anglia starą piosnkę o wylądowaniu wojsk francuzkich na brzegi swoje, czyli o inwazyi. Zmusza tym sposobem swą

sprzymierzankę do zaręczeń, że się nie zbroi, że zachowuje przymierze, a każde takie oświadczenie osłabia Francyę, a wzmacnia W. Brytanię. Na przypadek przymierza Francyi z Rosyą, zasłania się Austryą i Prusami, zostawiając sobie obronę morską, którą ciągle powiększa. Ta jedna ewentualność czyni ją od czasu do czasu dla Francyi względną: inaczéj postępowałaby jeszcze śmieléj i otwarciéj.

Prawdziwą sprzymierzanką Anglii w téj chwili jest Austrya: polityka tych dwóch mocarstw w sprawach należących do konferencyj idzie w jednym kierunku. — Austrya od czasu wojny wschodniéj liczy same dyplomatyczne tryumfy. Ona podała *ultimatum* przyjęte przez Rosyę. Nota rosyjska oświadczyła wyraźnie, że ustąpienie granicy besarabskiéj było życzeniem głównie Austryi. Najważniejsza dla Austryi kwestya, sprawa żeglugi na Dunaju, rozstrzygnęła się całkiem na jéj korzyść. Konwencya podpisana przez państwa nadrzeczne, nie będzie zdaje się poddaną konferencyi, a co najwięcéj może się tylko powiększyć jakim dodatkowym protokółem. Od samego początku układów, bo nawet jeszcze na konferencyach wiedeńskich, przeciwna połączeniu Księstw pomimo opozycyi w ówczas wszystkich prawie mocarstw, widzi dziś bliskie zwycięstwo swéj polityki. Anglię porafiła zupełnie przeciągnąć na swoją stronę: w Turcyi wpływ jéj całkiem przeważny. Internuncyusz jéj, baron Prokesch Osten, z nadzwyczajną zręcznością zdołał usunąć lorda Redcliffe i objąć po nim spuściznę. Walka zacięta między p. Thouvenelem posłem francuzkim a lordem angielskim dziwnie mu posłużyła. Osobistość lorda wywoływała opozycyę ciągłą i bezwzględną Francyi. Postarał się zapewne p. Prokesch, aby przekonać Anglię, że odwołanie posła zwolni upór Francyi i ułatwi interesa wspólne. Tak się też stało. Z odjazdem lorda Redcliffe, osłabł wpływ Francyi, a wzmógł się wpływ

austryacko-angielski. W kwestyi Księstw naddunajskich interes Austryi zgadza się z interesem Turcyi: oba mocarstwa niechcą połączenia. W kwestyi żeglugi naddunajskiéj, Turcya zupełnie powolną była Austryi, Austrya znów nie sprzeciwia się Turcyi w sprawie czarnogórskiéj. Anglia znajduje swój interes w popieraniu polityki tureckiéj, i ztąd trzy te mocarstwa idą razem i występują przeciw widokom Francyi.

Prusy również inne zajmują stanowisko teraz, aniżeli to jakie zajmowały na drugich konferencyach. Przyszły następca tronu ożenił się z córką królowéj angielskiéj. Wszystko przemawia za przymierzem z Anglią, stoi tylko na przeszkodzie antagonizm naturalny z Austryą i niepewne dotąd stanowisko Rosyi. Francyi wszakże wiele na tem zależy, aby przeciągnąć Prusy na swoją stronę. Rozdwojenie Niemiec — dawna to napoleońska polityka: daje się czuć i teraz w pogłoskach o zachwianym Związku niemieckim. W przypadku przymierza Francyi z Rosyą, Prusy przechyliłyby niezawodnie szalę. Ale na którą stronę?.... Dziś zaś, kiedy przymierza niema, a Rosya otwarcie nie przemawia, stanowisko Prus w obec konferencyj nader jest trudnem i jeszcze bardziéj niepewnem, aniżeli niem było w chwili kongresu 1856 r.

Że zaś Rosya trzyma się jakoby na uboczu, nie można się dziwić. Rozpoczęła ona ważne reformy, to prawda ale nie idzie jeszcze za tem, aby już dla tego nie mogła prowadzić wojny, a tem więcéj zabierać głosu. Głos Rosyi zawsze jeszcze jest nader ważnym, chociaż przeważnym być przestał. Ale w trzecich konferencyach nie o nią chodzi. Jest ona w tak szczęśliwem położeniu że korzystać będzie ze wszystkiego cokolwiek nastąpi. Zresztą wypadki usprawiedliwiają coraz więcéj jéj politykę na Wschodzie. Europa musi wszelkich używać forteli, aby nie pójść tym samym torem jakim Rosya iść chciała, a Turcyę utrzymać a nie podzielić. Nikogo

już nie śmieszy wyrażenie: „chory człowiek“, bo zaiste daje on ciągłe dowody, że ciężką złożony niemocą. Nie chciano wpływu rosyjskiego nad Dunajem — będzie austryjacki. Niechciano protektoratu rosyjskiego w Księstwach: po wszelkich komisyach, dywanach, notach i konferencyach, zdaje się iż statut przez Rosyę Księstwom nadany, utrzyma się w zupełności. Nic lepszego reprezentanci mocarstw europejskich nie ułożą a przynajmniéj na nic innego nie zgodzą się. Może co do formy znajdą pewne zmiany, ale istota rzeczy taż sama zostanie. Krom tego, ciągłe nadużycia w fanatyzmie muzułmańskim mające swe źródło, a zdarzające się to w Stambule, to w Palestynie, to w Belgradzie; ciągłe rozruchy i powstania to w Hercegowinie to w Bośnii, to na Kandyi, przekonywają coraz dobitniéj, że polityka rosyjska względem ludności chrześciańskich pod berłem a raczéj pod mieczem tureckim zostających, nie była bezzasadna. Rosya żądała patronatu nad chrześcianami wyznającemi religię prawosławną; miała w tem bezwątpienia własne widoki wpływu swego i przewagi, ale miała oraz słuszne powody do stawienia tego żądania. Rosya wiedziała dobrze, że żaden *hatt* sułtański patronatu nie zastąpi. *Hattiszerif* z Gulhany niezmienił losu Chrześcian. Doświadczenie ją nauczyło, przez długie z Turcyą stosunki, co być może a co nie może. Podpisała w traktacie paryzkim pochwałę *hattihumajonu*, ale nie łudziła się zapewne, jaki los czeka Chrześcian w Turcyi po ogłoszeniu téj cywilizacyjnéj ustawy. Europa przekonywa się co dzień więcéj, czy wykonanie patronatu nad Chrześcianami może być powierzone w ręce tureckie. Rosya więc stoi na boku i po większéj części milczy: ale milczenie to jest nader wymowne, a dla gabinetów bardzo kłopotliwe i zagadkowe. Dopóki szło o bezpośredni interes rosyjski, o granicę besarabską, o morze Czarne, Rosya energicznie broniła swéj sprawy na polu dyplo

matycznem. Teraz gdy idzie o Turcyę, usunęła się od walki, odzywa się tylko w konferencyach. Zagadką jest czego sobie ostatecznie życzy. Nikt z pewnością nie wie co uważa dla siebie korzystniejszem: czy połączenie Księstw, czy utrzymanie *statu quo*; czy interwencyą mocarstw w sprawie Chrześcian, czy oddanie ich na łup muzułmańskich zwycięzców? Jeżeli przemawia półgębkiem za unią, to widocznie tylko dla tego, że takiem jest życzenie mieszkańców. Lecz nie przechyla się stanowczo ani za Francyą, ani przeciw Austryi: patrzy z udaną zapewne obojętnością na walkę wpływów różnych mocarstw w Stambule, zaufana że wpływ jéj na sprawy wschodnie jest tak naturalny, iż w każdym razie prędzéj czy późniéj przewagę swoję odzyska. Widzi zapewne chętnie osłabienie przymierza francuzko-angielskiego, ale w postępowaniu jéj jak dotąd przebija raczéj antagonizm do Anglii, aniżeli sympatya ku Francyi. Niepopiera polityki francuzkiéj w ten sposób, aby sądzić można, że ma na celu przymierze z tem mocarstwem, a baczy pilnie na sprawy niemieckie, tak iż zdawaćby się mogło że środek Europy więcej ją w téj chwili niżeli Wschód i Zachód zajmuje.

Położenie Sardynii jest także nierównie trudniejsze dzisiaj, aniżeli niem było na przeszłych konferencyach. Dopóki trwało przymierze francuzko-angielskie, to jest dopóki polityka tych dwóch mocarstw szła zgodnie, stanowisko Piemontu było jasno wytknięte. Widzieć go można było zawsze po stronie mocarstw Zachodnich. Ale teraz gdy to, czego chce Francya, Anglia niechce, za kim ma pójść Sardynia? Co gorsza, oddanie parowca „Cagliari i energiczna interwencya Anglii w téj mierze, zdaje się zniewalać Piemont do trzymania się polityki W. Brytanii. Wpływ Francyi we Włoszech wypadkiem tym został oslabiony, to prawda. Ale z drugiéj strony

możeż zapominać Sardynia, że popierając politykę angielską działa na korzyść Austryi z którą zerwała stosunki? Wprawdzie to ją pocieszyć może, że trzymając się dawniéj państw Zachodnich, działała także wspólnie z Austryą, bo wówczas Austrya, Anglia i Francya w jednym szły kierunku. Zresztą owa trudność w wyborze stanowiska ważną jest tylko dla Sardynii, a raczéj dla hr. Cavoura, gdy mu przyjdzie odpowiadać na interpelacye w parlamencie turyńskim. Na bieg sprawy nie może ona prawie żadnego mieć wpływu. Większość głosów nie rozstrzyga w konferencyach, a ostateczny wypadek zależeć zawsze będzie od zgody mocarstw pierwszego rzędu.

Turcya nakoniec występuje w trzecich konferencyach w całkiem odmiennéj postaci. Nie jest to już dawna Turcya, ale państwo ottomańskie. Fuad Pasza nosi fez, ale go nosi jak to mówią na bakier. Przemawia jako reprezentant europejskiego państwa. Domaga się *statu quo* dla Księstw w imie godności, nietykalności, niepodległości państwa, żąda lennictwa od Czarnogóry w imie praw sułtańskich a raczéj cesarskich. Jak adwokat najgorszéj sprawy, opiera się na zapadłym wyroku, a nie na sprawiedliwości. Hołdowników państwa chce przerobić w poddanych, niepodległych zaś w hołdowników. Turcya opiera się na Anglii i Austryi, lekceważy prawie Francyę; jakby dowód złożyć chciała swéj europejskości zapomina, jakie jéj zawdzięcza przysługi. Francya napróżno przypomina krew świeżo przelaną i wydane miliony. Turcya dowodzi że wdzięczność nie ma miejsca w polityce. Przekonawszy się iż niepodobieństwem jéj jest wydobyć się z pod obcego wpływu, przyjmuje bezwzględnie ten, w którym zdaje się jéj że największe znajdzie korzyści. Dla przeszkodzenia unii w Księstwach, w czem upatruje, a po części może słusznie, pierwszy krok do podziału, dla niestracenia

dochodów, jakich jéj dostarczają zdzierstwa hospodarów, ujmuje sobie Anglię, niewydając firmanu na przekop Suezu i patrząc przez szpary na zajęcie wyspy Perim. Czyniąc zadość życzeniu Austryi, podpisuje konwencyę o żeglugę na Dunaju, spodziewając się tym sposobem usunąć przeszkody w wykonaniu wymarzonego prawa lenniczego na Czarnogórze, i poskromić łatwiéj bunty Chrześcian w Hercegowinie i Bośnii. Bo sprawa Chrześcian to zawsze najważniejsza sprawa turecka, a którą W. Porta radaby zawsze ominąć na konferencyach. Poddaje się też najchętniéj wpływowi tego mocarstwa, które się o wykonanie *hattihumajonu* najmniéj dopomina. Zresztą już nieraz na tém miejscu stanowisko Turcyi i położenie Chrześcian ocenianem było. Odwołać się tylko wypada, niepowtarzając tych samych uwag.

Obraz ten położenia państw w obec konferencyj, jakkolwiek w pobieżnych skreślony rysach, usprawiedliwia to, co wyżéj powiedzianem było o trudnościach jakie towarzyszą czynnościom reprezentantów mocarstw europejskich zebranych w tej chwili w Paryżu. W podstawie konferencyj zaszły widoczne zmiany. Nie chodzi teraz o Rosyę ale o Turcyę, to jest toczy się sprawa Turcyę głównie obchodząca; lubo prawdę mówiąc, jak dawniéj tak i teraz nie chodzi o Turcyę, ale o różne interesa i wpływy ze sprawą Księstw związane. W poprzednich konferencyach Rosya stawała przeciw Europie, teraz Francya powiedzieć można miejsce jéj zajęła. Chce ona utrzymać a raczéj chce powrócić do wpływu, jaki miała jeszcze w roku przeszłym. Antagonizm niejaki miała jeszcze w roku przeszłym. Antagonizm niejaki równie większy przeciw polityce francuzkiéj niż rosyjskiéj. Polityka rosyjska wiele bardzo w opinii zyskała francuzka wiele bardzo straciła. W przeszłych konferencyach przebijał jeszcze traktat z 15go kwietnia zawarty między Francyą, Anglią i Austryą, kwoli wykonania traktatu z 30go marca. Był to niejako punkt

oparcia w konferencyach. Dziś o tym traktacie mowy być nie może, bo Anglia z Austryą przeciw Francyi działają. Można nawet utrzymywać, że niema wcale przymierzy, że polityka każdego państwa jest całkiem odrębna. Każde z nich działa na własną rękę: spotykają się w zdaniach swych tam tylko, gdzie wspólne ich spotykają się interesa, i o ile takowe się spotykają.

Zadanie to nie lada siedm państw w takiem położeniu rzeczy sprowadzić do zgody, i to do takiéj aby solidarnie powzięły te same postanowienia. Tego mają dokazać trzecie konferencye: nie ich przeto wina, jeżeli dłużéj trwają niż poprzednie. O ich wypadku napróżno stawiać domysły i tworzyć przypuszczenia. Wkrótce spadnie zasłona. Z pomiędzy tych atoli którzy się téj chwili doczekać nie mogą i przesądzają wyrok europejskiego trybunału, największe prawdopodobieństwo przemawia za tymi, co biorą za zasadę domysłów swych, że nikt wojny prowadzić nie może lub nie chce, że zatem wszystkie sprawy rozstrzygnięte zostaną zgodnie pod godłem: *la paix à tout prix.*

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w czerwcu.

Kontrakty świętojańskie bywały niegdyś tem dla Krakowa w lecie, czem zapusty w zimie, to jest epoką zjazdu obywatelstwa z bliska i zdala, porą zabaw, złotym rogiem obfitości dla kupców i rękodzielników, miejscem spotkania się odległych przyjaciół, sposobnością zaopatrzenia na długi czas dworu szlacheckiego we wszelakie miejskie potrzeby. One to nadawały ruch osamotnionemu miastu, zaludniały stekiem gości nietylko wszystkie hotele, ale i domy zajezdne, których było na Kleparzu tyle ile w ogóle domostw, one wyprowadzały na jaw ukrywane piękności, odnawiały zapleśniałe przyjaźnie, kojarzyły małżeństwa, słowem rozszerzały obręb towarzyskiego pożycia w najodleglejsze zakąty kraju, a raczej skupiały w owem ognisku rozrzucone po wioskach społeczeństwo. A cóż tu dopiero mówić o właściwem przeznaczeniu kontraktów? Na tych kontraktach załatwiano wszelakie sprawy obywatelskie, sprzedawano i kupowano majątki, dzierżawiono i wydzierżawiano wsie, płacono i odbierano pieniądze, pożyczano i zaciągano długi, a w tym steku licznym obywatelstwa, bez giełdy i sensalów przysięgłych obwoływano ceny dóbr,

bez zaglądania do tabuli oceniano wartość każdego majątku, bez fasyi podatku dochodowego wiedziano ile kto ma w kieszeni, bez żerowania weksli polegano na charakterze osobistym. Byli ludzie którym powierzano krocie bez świstka, a drugi jak wąż się opisał, i grosza niedostał. Mimo tych niezaprzeczonych korzyści pory kontraktowéj, kontrakta w Krakowie upadły, bo upaść musiały; we Lwowie ledwie ich ślad jeszcze pozostał, a dalej w Dubnie, w Kijowie kwitną one jeszcze starym obyczajem. Niezadługo zajdą i tam zmiany i reformy, posuwające się sieciami kolei i telegrafów i niwelacyjną cywilizacyą od zachodu ku wschodowi. Dziś szlachcic polski gra na giełdzie paryskiej, kupuje lub sprzedaje akcye kredytu ruchomego, zna się na kursie metalików, wie co dywidenda, zagląda na kursa zamian lub telegraficzne depesze targowe, obcina kupony tak śmiało, jakby od młodu kształcił się w rzemiośle nożycowem, a niebawem nieobędzie się bez cheeków. I na cóż jemu kontraktów?

Jeśli mu wypadnie zrobić jakiś interes pieniężny, udaje się do swego bankiera; jeśli handlowy, daje polecenie swojemu komisantowi; z resztą ma na zawołanie bióra informacyjne, komisowe, wywiadowcze, może użyć swobodnie ogłoszeń gazeciarskich, i bez trudu i kłopotów a małym kosztem rozmówi się listownie, jawnie lub skrycie, pod swoim adressem lub przez *poste restante*. Cóż jemu po kontraktach świętojańskich w Krakowie? Bióro podjęło mu się sprzedać, kupić, nająć, pożyczyć, wydzierżawić co chce i za wiele chce; ono mu dostarczy sługę, oficyalistę, nauczyciela dla dzieci, męża nawet dla córki, a to wszystko nie wchodząc w żadne stosunki bezpośrednie z osobami, z któremi się ma układ zawierać, nieznając ani ich imienia, ani stosunków, ani charakteru, ani nawet religii. Wszystkie te podstawy rękojmi na których budowano niegdyś pewność i bezpieczeństwo wszelkich umów i związków, dziś się okazały nie tylko zbytecznemi, ale nawet szkodliwemi bo złudnemi. Za wiernością sługi ręczy książka służbowa a więcej jeszcze skrzynia, która przebyła próbę i ognia i wytrychu; za uczciwość oficyalisty kaucya jego; za zdolność nauczyciela jego świadectwa szkolne, a nawet

za dobry wybór męża, jego wykaz tabularny, socyalne położenie i intercyza ślubna. I na cóż tu kontrakty?

Zniknęły też one niepowrotnie, jak wiele innych przestarzałych zwyczajów i urządzeń, których potrzeba ustała, bo zmieniły się okoliczności jakie je niegdyś były wywołały. Któż dziś np. jeździ po wielkich drogach z kuchnią, pościelą, śpiżarnią i obrokiem? Wówczas wszelako, kiedy jeszcze kontrakty świętojańskie istniały, zjeżdżano się do Krakowa bardzo dworno, bo najskromniejszy szlachcic nie pomieścił się na bryczce. Ztąd pamięć owych zjazdów licznych, hucznych i jucznych, powozów, bryk i wozów piątkami i czwórkami zaprzężnych przechowała się tutaj. Dziś gdy kogo przygna potrzeba jechania do Krakowa, dojeżdża do kolei, przysiada się na najbliższéj stacyi, i za parę godzin już jego bilety wizytowe w kilku leżą przedpokojach. Mały tłomoczek z bielizną, gotowalnia kieszonkowa i torebka przez ramię przewieszona, w jakiej niegdyś dzieci nosiły chusteczki do nosa, a która mieści w sobie dziś cały niekiedy majątek rozrządzalny szlachcica, a czasem cały rzeczywisty majątek jego, a zdarza się że i antycypowany, zamieniony na banknoty, listy indemnizacyjne lub inny jaki papier: oto jego zapas podróżny.

Ruch przejezdnych, pomimo ustania zjazdów świętojańskich bynajmniej się nie zmniejszył; owszem częstokroć jeden tydzień więcéj tu sprowadza teraz gości, niż dawniej całe kontrakty; lecz przybytku tego dziś nie znać tyle co w owe czasy. Każdy przybywa sam lub z familią, ale bez sług, bez bryk ładownych, cicho, skromnie, niepokaźno. Zresztą co dawniej poznać była przybysza ze wsi na pierwsze wejrzenie, to dziś zaledwie wprawne i opatrzone oko żyda wekslarza dostrzedz go zdoła śród tłumu. Obywatel wiejski niczem się już nieróżni od bywalca światowego. Głowa jego tak umuskana jakby świeżo wyszła z pod rąk Kozłowskiego, szkła na nosie lub w oku jak u berlińskiego filozofa, ubiór prosto z igły, kapelusz i trzewik błyszczące, rękawiczki świeże, a cały pachnie na pół hawanną, a na pół angielskiemi perfumami. Kraków nie jest jego celem podróży, ale tylko króciutką stacyą w przejeździe do wód. Wymieniwszy pieniądze, poczyniwszy kilka drobnych niezbędnych sprawunków, puszcza się dalej w dro-

gę, zostawiając miejsce w hotelu jutrzejszemu następcy swemu.

Otóż zeuropejszczyliśmy się zupełnie nie tylko w Krakowie, ale niemal aż do ostatnich krańców kraju, po Seret. To zbliżenie się do reszty świata w formach zewnętrznych, nie powinno w nas wszelako wszczepiać ducha kosmopolityzmu. Między odgraniczeniem się od reszty świata murem chińskim, a zatarciem swojej indywidualności, jest rozległa przestrzeń, którą tylko w upadku moralnym szybko się przebiega.....

Miesiąc czerwiec słynny dawnemi czasy zjazdem świętojańskim, miał i teraz kilka chwil godnych zapisania w kronice zdarzeń miejscowych, a które przerwały choć na parę godzin jednostajność życia miastowego. Główne w liczbie ich miejsce zajmują dwa obchody pamiątkowe, z których jeden opiera się na tradycyi, drugi na odwiecznym obyczaju: „Konik zwierzyniecki“ i „Wianki“. W obu tych uroczystościach odbijają się dwie strony życia ludu naszego: publiczne i domowe. Życie publiczne wyobrażało się głównie w wojnie. „Konik“ też przedstawia nam owe nieustanne odpierania hord azyatyckich, których najazdy rozbijały się długo o piersi chrześciańskich obrońców Europy. W życiu znów domowem niewiasta doznawała u nas tej czci, jaką zaledwie wyznawały rycerskie obyczaje Zachodu. Puszcza na swój wianek świętojański na niepewne fale przyszłości, a zdobywa go odwaga, zręczność i śmiałość, jak na Zachodzie w turniejowych gonitwach, nie zaś kupno jak w niewolniczym Wschodzie.

Jeden i drugi obrzęd przechował się od wieków, a niejednej uległy oba zmianie. Najświeższy tego przykład mieliśmy w „Wiankach“. Pod wpływem francuskiego wychowania żon i córek naszych, obyczaj puszczania wianków poszedł niemal w zapomnienie. Dziewczęta tylko niższych stanów zachowały go i przestrzegały wiernie, ale zrażone obojętnością klas wykształconych i niezdolne utrzymać go w dawnej okazałości, odprawiały go skromnie i pokątnie. Od parę lat dopiero przywrócono ten obrzęd do powagi uroczystości publicznéj, a szczęśliwem pojęciem poetycznej cechy tego obrzędu, unikniono niebezpiecznego skopułu utworzenia z niego konwencyonalnéj przechadzki nad Wisłę, jak tego przy-

kład przedstawiają Wianki warszawskie, gdzie nie wianki, lecz droga na Wianki jest celem licznego zebrania.

Był czas również, gdzie „Konik zwierzyniecki“ w nieznanym zakącie za rogatkami wyprawiał igrzyska; zapomniany w mieście, a przynajmniej lekceważony, byłby może uległ temu samemu losowi, jak za naszéj pamięci pogrzebiony „Comber“, którego tradycya między przekupkami nawet na rynku krakowskim, na właściwéj jego arenie zaginęła. Konika ocalił i do znaczenia publicznego obrzędu przywrócił ten, o którego zasługach na krótko przed śmiercią dopiero ośmielono się mówić, bo on je sam wprzód dobrowolnie zatrzeć przedsięwziął. Wydawca „Pszczółki krakowskiej“, autor „Kazimierza Wielkiego“ i „Urszuli Majerin“ był wskrzesicielem Konika. Zapewne jeszcze żyją osoby, które pamiętają albo wiedzą o tem, jaką drogą Konstanty Majeranowski wyprowadził z karczmy za rogatką zwierzyniecką włóczka przebranego za tatara, i podanie utrzymywane w szczupłem kółku jednéj rodziny i niewielu uczestników, wywiódł na drogę publiczną, ożywił i podniósł napowrót do znaczenia zatraconego w przebiegu smutnych kolei krajowych. Niechaj nikt jednak nie sądzi, aby obchód konika był świeżym wymysłem. Podanie odnosi go do czasów Bolesława Wstydliwego; zwyczaj obchodu tego podania w téj samej co dziś formie istniał między włóczkami na Zwierzyńcu, a nawet jak wieść niesie, utrzymywał się w jednéj rodzinie, któréj poprzednicy wracający z miasta z bębnami, śpiewem i chorągwiami po procesyi w oktawę Bożego Ciała, spłoszyli tatarów, mniemających, że lud zbrojny idzie na ich spotkanie. Majeranowski stał się tem tylko dla obchodu konika, czem zbieracze pieśni ludu: nie tworzą ich oni, lecz je od zapomnienia ocalają.

Konik zwierzyniecki znalazł już swojego malarza i poetę; Wianki czekają na jednego i drugiego, ale te ostatnie czekają nadto jeszcze na biegłego badacza, któryby ich znaczenie w odniesieniu do symbolistyki słowiańskiego pogaństwa skreślił. Kto wie, czy między Wandą rzucającą się w Wisłę, aby ocalić swój dziewiczy wieniec przed nienawidzonym a możnym zalotnikiem, a wiankiem świętojańskim, nie zachodzi jaki historyczny albo mytyczny związek? Wszakże i Wanda

zdaniem wielu badaczy jest tylko mytem — inni możeby nawet poszli za świezym przykładem, i kazali jej nam szukać w normandzkich podaniach. Zostawmy w pokoju tych atomistów historycznych, co pragną wszystek urok przeszłości w pył rozwiać; przypomnijmy im tylko, że był czas, kiedy i wojnę trojańską poczytywano za fantastyczny utwór rapsodystów greckich, aż dopiero świeże sprawdzania geografów wykazały byt jej realny.

Tymczasem lud nasz będzie obchodzić „Konika“ i wyzywać do walki tatarzyna z watowaną buławą, a dziewczęta nieprzestaną rzucać na wodę wianków i ścigać wzrokiem fale unoszące niepowrotnie godła ich i przyszłe ich losy.

Wiedeń w czerwcu.

Jest to stałe i prawie z każdym rokiem pewniejsze spostrzeżenie, że w Wiedniu po walce często upartej którą miesiąc maj musi wytrzymać z uciekającą zimą, następuje w czerwcu bez przejścia wiosennego, zupełne i nieraz nieznośne lato. W tym roku prawda ta dała się uczuć tem dotkliwiéj, że prócz upałów dochodzących do 30° R., mamy do strawienia pył nadzwyczajny, pochodzący z robót, które się odbywają przy bastyonach i po rozmaitych ulicach. Biorąc uparte i zajadłe muchy za sypojów, pobyt w tym miesiącu w Wiedniu, możnaby prawie porównać do kampanii indyjskiej. Oficerowie angielscy przybywający ztamtąd, dodaćby mogli do tego porównania i zapewne tak czynią, brak przyzwoitéj kuchni, który się latem jeszcze więcej czuć daje. Na narzekania tego rodzaju, które się stają coraz głośniejszemi, odpowiadają spokojnie i z grzecznym uśmiechem właściciele domów zajezdnych: że cała publiczność wiedeńska jest na wsi, i że na przejeżdzających liczyć z pewnością nie mogą, i przyrzekają jak zwykle, wynagrodzić zimą cierpliwość i wytrwałość tych, którzy teraz lada czem pocieszać się muszą. Przyjdzie zima, a na narzekania jeszcze głośniejsze, których od lat kilku jestem naocznym świadkiem, odpowiedzą jak zwykle ciż sami grzeczni właściciele, że natłokowi jeżdżących wystarczyć nie mogą, i że proszą o cierpliwość

i wytrwałość tylko do lata. System ten niezmienny co do zasady, rozwinął się co do cen jadła w proporcyi tak wzrastającéj, że życie w Wiedniu po hotelach jest teraz daleko droższem niż w Paryżu, Londynie, a nawet w Petersburgu. *Gorzej* i *drożej* przy najkorzystniéjszych skąd inąd okolicznościach, gdyż pod względem produktów niezbędnych, jakoto: ryb, mięsa, zwierzyny, owoców a nawet i warzyw, Wiedniowi nie zbywa na niczem, jest to zagadką, któréj rozwiązanie zasługiwałoby na uwagę nie tylko tych co myślą, żeby żyć, ale i tych co żyją, żeby myśleć mogli. Ale siła nałogu jest tu tak wielka, że cały proces życia i myślenia odbywa się w przyjętych raz lub nałożonych formach, i że do zmiany takowego trzeba gwałtownych chyba wstrząśnień lub wyższych rozporządzeń. Wielu mniema, i ja podzielam to zdanie, że prawo o wolności zarobkowania, które ma być ogłoszonem lada chwila, będzie jednem z tych rozporządzeń, i że wywołując konkurencyę, zrównoważy słuszne wymagalności jedzących, z przesadzoną chęcią zysku ze strony karmiących przedsiębiorców.

Co do mieszkań, których ceny dochodzą do nadzwyczajnéj wysokości, tych liczba musi się też stać odpowiednią potrzebom zwiększającéj się coraz śpieśniej ludności, żeby równowaga przywróconą być mogła. Zniesienie bastyonów w tym przedsięwzięte zostało celu. Lecz o budowie nowych domów nic dotąd niesłychać. Warunki jakim tego rodzaju przedsięwzięcia podlegały dotychczas, tamują zapewne w znacznéj przynajmniej części ducha spekulacyi na tem polu. Trzeba nowych rozporządzeń, ulatwień, nawet zachęty. Trzeba powołania kapitałów i gwarancyi praw własności, bez względu na stan, pochodzenie i religię tych coby się w ten zawód rzucić chcieli. Prawo tyczące się tego tak ważnego przedmiotu, jest w biegu narad rządowych, i odpowie zapewne ogólnemu oczekiwaniu i ogólnym potrzebom. Tymczasem samo walenie bastyonów, które postępuje spiesznym krokiem, już przykłada się znacznie do upięknienia i rozszerzenia miasta. W tej chwili tak nazwana *Stubenthor* jest pod młotem i rydłem. Z bramą tą znikną zarazem bastyony, zacząwszy od kościoła Dominikanów aż do bramy karynckiej, z wyjątkiem małéj fortyfikacyi przy pałacu Hr. Kołowrata,

która równie jak i koszary Franciszka-Józefa, tworzyć będzie pewien rodzaj *forts detachés*. Widok na przedmieścia z postępem tych robót staje się codzień wspanialszym i rozleglejszym. Wszakże i tu słychać głosy żalu, które świadczą o mocy nałogu i przyzwyczajenia; szczęściem, że na zaspokojenie tych głosów przekładających przechadzki nad inne korzyści, pozostają jeszcze przynajmniej do czasu, rozległe esplanady. Ogromna ta przestrzeń ziemi, otaczająca do koła miasto i łącząca je z przedmieściami, przerznięta w różnych kierunkach ulicami cienistych lip i akacyj, stanowi latem jakby wielki publiczny ogród, w którym wszystkie klassy ludności, a szczególniej przyszłe pokolenia z niańkami i mamkami spędzają wolne od domowych zatrudnień chwile. Jest to panorama ciekawe i zajmujące. Popisy i ćwiczenia wojskowe, zabawy z piłką młodzieży szkolnej, tabory rozłożone na trawie piastunek i dzieci, uwijające się pod drzewami tłumy przechodniów, muzyka rozmaitego rodzaju, śpiewy, krzyki, rozmowy, szepty miłosne, hałas z jednej, spokojność z drugiej strony, ruch ogólny, życie bez przymusu, swobodne, różnobarwne, wesołe, ciche, ponure nawet tu i owdzie: obraz ten widzieć tylko można na *Glacis* wiedeńskich od rana do wieczora i każdego dnia bez przesycenia oka i zmęczenia głowy. Na tak nazwanéj *Wasser-Glacis* gra dwa razy co dzień po kilka godzin orkiestra dość dobrze złożona, czasem Straussa, lub muzyka wojskowa, przy kawiarni, która oprócz zwykłych napojów, traktuje swych gości także wodami mineralnemi, oszczędzając im podróży do Karlsbadu i innych tym podobnych zakładów. Chwila, w któréj Wiedeńczycy będą musieli poświęcić i ten ogród przyszłéj budowniczej spekulacyi, będzie chwilą żałoby publicznej. A wszakże żadna stolica europejska niema zapewne tyle publicznych lub dla publiczności otwartych ogrodów, co Wiedeń. Belweder który w rozmiarach i stylu przypomina ogród Luxemburski lub Tuilleryjski, ma przytem wspaniałą galeryę obrazów otwartą trzy razy w tygodniu, i pałac godny widzenia. Tuż przy nim ciągnie się mniej okazały, lecz rozkoszny, pełen kwiatów, drzew i chłodu ogród księcia Schwarzenberga z pałacem architektury włoskiej. Dalej, niemniej piękny ogród księcia Metternicha z przepyszną

willą przy ulicy Rennweg, którą sławny ten dyplomata zamieszkuje przez rok cały, a opuszcza tylko na te kilka letnich miesięcy. Potem ogrody księcia Esterhazego i księcia Lichtensteina, i ten ostatni z galeryą dość bogatą starożytnych obrazów. W innej stronie, na przedmieściu Leopoldstadt, wspaniały ogród cesarski Augarten z przepysznym widokiem na Kahlenberg i Leopoldsberg. Tuż przy nim ogród prywatny *Universum*, z salą do tańców i z rozmaitemi przyborami do zabaw wieczornych za mierną opłatą. I nareszcie korona tych wszystkich przechadzek, sławny *Prater*, z Dunajem, z kawiarniami, restauracyami, karuzelami, huśtawkami, menażeryami, ogniami sztucznemi i rozmaitego rodzaju innemi publicznemi zabawami. Lecz dla Wiedeńczyków wszystko to jest niczem w porównaniu z Esplanadami. O innych ogrodach wiedzą tylko tyle, ile o nich słyszą, lub jeśli tam idą, to z przyborem, z paradą, i jakby na wystawę. Na Esplanadach zaś bawią się, jedzą, śpią i żyją, jakby w domu lub we własnym domowym ogrodzie.

Wartość tak dobroczynnego przytułku stała się w tym roku tem większą, że jak powiedziałem, oprócz robót przy Bastyonach, trudno znaleść ulicę, w któréj by się ominąć można było z drabinami, rusztowaniami, wapnem i cegłami. Wiedeń się przerabia, odnawia, odświeża, i jak może na zimę się przyrządza. Każdy niemal dom ma swoje laboratorium. Prace te przyniosą po większéj części zewnętrzne tylko ulepszenia. Smak w urządzeniach wewnętrznych potrzebuje głębszej, zupełnej reformy. Właściciele domów mało dotąd o niéj myślą. Lokatorowie niepewni swych siedzib, żyją z dnia na dzień, w brudach, smrodach i ciągłej obawie podwyższenia czynszu. Konkurencya i pod tym względem odda Wiedniowi nie małą przysługę i przyprowadzi go z czasem na tę stopę, na jakiéj się znajdują inne stolice, a mianowicie Paryż, Londyn, i Bruksella.

Budowa nowego teatru zdaje się że odłożoną znowu została do późniejszych i lepszych czasów. Teraźniejszy dom opery ma być pobielony z wierzchu, oczyszczony u wejścia, może nawet trochę i wewnątrz, przez litość na przeszłe cierpienia, i pozostanie nadal jedynym przybytkiem muzyce i śpiewowi poświęconym. Ro-

boty te zajmą półtora miesiąca i kosztować mają kilkadziesiąt tysięcy zł. reńskich. Reformatorowie zajęci tem dziełem, chcieliby zredukować Operę włoską do dwóch miesięcy. Lecz publiczność ma nadzieję że N. Pan projekt odrzuci. Opera włoska byłaby w Wiedniu więcej niż gdzieindziéj na swojem miejscu, gdyby nawet nie miała za sobą tych zalet któremi się dotąd odznaczała. Jeżeli ma nastąpić jaka zmiana, życzyćby należało, żeby wypadła raczéj na korzyć przedłużenia jéj pobytu do pięciu lub przynajmniej czterech miesięcy. Hr. Lanckoroński, któremu życzenia te publiczności nie są tajemnicą, i którego światłej dyrekcyi urządzenie dotyczczasowe opery włoskiej, winno było swe świetne powodzenie, użyje zapewne swego wpływu, żeby nadal zakład ten podnieść do téj wysokości jaką posiadał od dawna i posiada dotąd w Paryżu, Londynie i Petersburgu.

Miałem zamiar wyprowadzić czytelników moich w okolice Wiednia, gdzie się teraz mieści wszystko co tylko się od bruku oderwać może. Dopełnię tego obowiązku w miesiącu przyszłym.

Poznań w czerwcu.

Poznań w dwóch tylko chwilach roku ożywia się, i znaczniejszą się liczbą mieszkańców wiejskich zapełnia. Raz w zimie przy końcu karnawału, gdy młodzież wielkopolska zbiera się dla użycia dni zapustnych, i gdy zwykle nie znajdując już w domach prywatnych zabaw swemu wiekowi właściwych, szuka ich na balach składkowych w sali bazarowéj wyprawianych. Drugi raz w czerwcu, gdy targ welniany, sprawy świętojańskie, i nakoniec wyścigi konne ściągają w mury poznańskie obywatelstwo tutejszéj prowincyi. W tym roku do ożywienia w tym właśnie czasie ruchu wiejskiego przyczyniły się dwie okoliczności. Walne zebranie delegowanych Towarzystwa kredytowego, na które 23 członków wybranych z grona znaczniejszych i najwięcéj ufności wzbudzających obywateli przybyło, i bytność od trzech tygodni trwająca gościa litewskiego, Władysława Syro-

komli. Jakiego przyjęcia doznał on w tutejszem mieście, zawiadomili już was korespondenci wasi. Mniemam, że śpiewak z nad Wilii miłe i wdzięczne wspomnienie uniesie, widząc że Wielkopolanie, czyli jak w dawnych księgach i rękopismach czytamy *Wielkopolacy*, bez względu na różność rozmaitych odcieni, zdań i przekonania, oceniając jego dar Boży i serdeczność, którą tchną jego pieśni, w jednozgodnem braterskiem witają go uczuciu. Uczucie to znalazł on nie tylko wśród murów tego miasta, lecz napotkał i napotka w wiejskich domach obywatelskich, które już zwiedził, lub jeszcze zwiedzi. — Daje się więc w Poznaniu widzieć napływ gości i ruch większy, niema jednak ożywienia, a tem mniéj wesołości. Obudzona troskliwość o zbiory tegoroczne przy ciągle trwającéj posusze, zawikłania majątkowe klęskami lat ubiegłych sprowadzone, a szczególniéj wątpliwość coraz więcéj wzmagająca się, ażali tak pożądana, tak koniecznie potrzebna pomoc uzyska się, jakiéj tylko z korzyścią dostarczyć mogło rozszerzenie pod dawniejszemi warunkami istniejącego Towarzystwa kredytowego, zasmucają umysły, trętwią wszelkie ożywienie, i smutne obudzają obawy o przyszłość majątkową tego kraju. Z powodu zaprowadzenia nowéj Landszafty, którą jednozgodny sąd potępia, i w celu wykazania potrzeby rozszerzenia dawnéj, wyszło na widok publiczny wiele artykułów po dziennikach, wiele projektów, wiele pism osobno drukowanych. Z pomiędzy nich największe zajęcie wywołały: *Projekt delegowanego na walne zgromadzenie ziemstwa, Gustawa Potworowskiego z Goli in folio*. — *Uwagi nad statutem nowego Towarzystwa kredytowego ziemskiego dla W. X. Poznańskiego z dnia 13 maja 1857, Erazma Stablewskiego*, o których jeden z waszych korespondentów poznańskich wspomniał, i *Kilka słów prawdy w dzisiejszéj kwestyi landszaftowéj* niewiadomego autora.

Nie należy się jednak poddawać zwątpieniu, raczéj spodziewać się trzeba, że rząd tak oświecony jakim jest pruski, z taką mądrością kierujący administracyą i finansami krajowemi, zechce mieć wzgląd na potrzeby i przełożenia téj prowincyi, jednozgodnie przez właścicieli tutejszych z obudwóch narodowości tak polskiéj jak niemieckiéj przedstawiane.

Od czasu zawiązania się Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, ruch umysłowy i literacki tutejszy nieco się ożywił, szczególniéj na polu badań archeologicznych. Na posiedzenia wydziałowe zbierają się regularnie członkowie; na jednem z ostatnich 14go czerwca odbytem, przyjęty został projekt ogłoszenia konkursu do napisania historyi włościan, i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce, za którą pierwszego wyboru prezes August Cieszkowski 1,000 talarów nagrody wyznaczył. Projekt ten uważnie obmyślany i obrobiony starannie, jest tylko skróceniem i streszczeniem poprzednio wygotowanego programu, którego redakcya powszechnie chwaloną była, a któréj jedynie zarzucano zbytek skazówek dla ubiegającego się o nagrodę nagromadzonych. Z uwagami niektóremi nad projektem dziś przyjętym wstrzymam się, gdyż takowy publicznie jeszcze ogłoszonym nie został, mając być poddanym pod zatwierdzenie szanownego nagrododawcy. Hrabia Działyński korzystając z bogatych swych zbiorów naukowych, liczne przysposobił materyały dotyczące sprawy włościańskiéj w Polsce, i wygotował uwagi nad nią, szczególniéj na tle historycznam wyrobione. Choćby w szczegółowem zapatrywaniu się na ten ważny przedmiot, nie zgadzał się kto z czcigodnym uwag tych autorem, walka na polu historyi z tak uczonym mężem, tak troskliwym badaczem rzeczy ojczystych, takie skarby posiadającym w najzamożniejszym może księgozbiorze krajowym, byłaby nader trudną. Znajdują się w bibliotece kurnickiéj w rękopismach i w drukach do tego zadania służące takie źródła pomocnicze i takie dzieła, jakich nikt z bibliografów nie widział ani o jąkich nigdy nie słyszał. Są różne satyryczne pisma drukowane za granicą. Są i w kraju wyszłe wierszem i prozą, zakrwawiające serce obrazem popełnionych nadużyć i bezprawiów, lecz razem świadczące, iż w żadnéj epoce bytu Rzeczypospolitéj głos sumienia narodowego zupełnie przygłuszony nie był. Życzyć jednak należy, ażeby z pismami tego rodzaju bardzo oględnie sobie poczynać, zbytniéj im ważności nie nadawać, zbytnie im nie ufać. Pisarz zajmujący się tym przedmiotem winien się uzbroić w silną i bardzo uważną krytykę, nie może wyobrażeń swoich przenosić do wieków, którym one zupełnie

obcemi były, i na ich szali ważyć czyny i dążności ówczesne. Instytucya że tak powiem dziennikarstwa, znaną jeszcze nie była. Gazety podające wiadomości o wypadkach bieżących, które się we Francyi na początku panowania Ludwika XIII ukazały, u nas później nieco zaczęły wchodzić w używanie. Lecz te gazety nie były tem czem są dzienniki dzisiejsze. Przy wolności objawienia myśli swoich, jaka panowała w dawnéj Rzeczypospolitéj polskiéj, drobne, ulotne pisma, których wielkie mnóstwo wychodziło, zastępowały tegowieczne dzienniki. A któż z dzienników tegowiecznych ośmieli się pisać historyę, kto na ich namiętnych zdaniach i sądach będzie chciał swój sąd historycznéj krytyki opierać.? —

W dniu 28 bieżącego miesiąca ma się odbyć pierwsze publiczne posiedzenie Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego. — Twierdzenie *Gazety krzyżowéj* w tych dniach ogłoszone, jakoby książe Fryderyk Wilhelm odmówił tytułu Opiekuna Towarzystwa, które mu z polecenia tegoż Towarzystwa prezes miał ofiarować, jest zupełnie mylne, i mniemam że publiczne zaprzeczenie znajdzie *).

Mówiąc o naukowych i literackich pracach, wspomnieć winienem, iż nad tutejszem archiwum tak nazwanem grodzkiem, przełożonym został profesor Przyborowski, gorliwy pracownik na łonie piśmiennictwa krajowego, autor odznaczający się prawdziwą wartością rozprawy o Janie Kochanowskim, i godny uczeń jego, jakeśmy się o tem przekonać mogli z wierszy wyszłych z pod pióra jego, któreśmy nie dawno usłyszeli. Archiwum to obejmuje nie tylko akta grodzkie ale i ziemskie z czterech powiatów; sięgają one końca 14go wieku, są w polskim, łacińskim, a nawet w niemieckim języku pisane. P. Przyborowski troskliwie je przegląda, bada, i nie wątpimy, że bogaty plon z poszukiwań swoich otrzyma, z którego i publiczność krajowa korzystać będzie. Nagromadził on już ciekawe bardzo wiadomości *o Opolu i opolnikach*, a wczytanie się w te starożytne pisma, i mowie ojczystéj pożytek przyniesie. Kilkanaście już wyrazów wynaleść się dało, które zatraconemi były,

*) W N. 138 *Czasu* zaprzeczył temu korespondent berliński (P. R.)

w dykcyonarzu Lindego nie znajdują się, jako to np. *bartodziéj* zamiast pasiecznik, bartnik. *Wągród* zamiast rynek, a raczéj plac środkowy wśrod wsi, jak je tłómaczenie łacińskie w dokumencie, w którym to wyrażenie umieszczone zostało, objaśnia. Życzyć należy dzisiejszemu naczelnikowi archiwum poznańskiego najszczęśliwszego powodzenia i wytrwałości w mozolnéj pracy, jakiéj się poświęca.

Uważając Poznań jako stolicę Wielkopolski, żałować przychodzi, że w nim życie towarzyskie tak rzadko i tak mało ożywione. Wiele w tym kraju jest domów poważanych, zamożnych, godnych stanąć na czele spółeczeństwa téj prowincyi, z gościnnością otwartych na wsi, lecz nie przenoszących się w porze zimowéj do Poznania, a więc zaniedbujących starania, aby w głównym tego kraju mieście skupiać w jedną całość rozpierzchnione żywioły towarzystwa. Skupienie ich ułatwiłoby młodzieży tutejszéj sposobność nabycia ogłady społeczeńskiéj, i znalezienia rozrywek godniejszych młodzi polskiéj, od tych jakich w odosobnieniu od lepszego towarzystwa zwykła poszukiwać. Każdy dom wielkopolski któryby się w Poznaniu otworzył, któryby doborowe zbierał grono, i takowe nie samym zgiełkiem i zbytkową wystawą przywabiał, spełniłby czyn prawdziwie obywatelski. Wiadomo jest, ile miasta wpływają na oświatę, na wykształcenie i pomyślność kraju. Wieś choćby najzamożniejszego i najoświeceńszego obywatela, nigdy tak wyraźnego wpływu wywrzeć nie może. Niema już na ziemi polskiéj ani takich majątkow, ani (powiedzmy) tego znaczenia i powagi ludzi, u którychby wiejskie zebrania mogły być i tak liczne i tak częste, i tak poszukiwane, ażeby zastąpić zdołały brak wykształconego towarzystwa wiejskiego. Nie raz i nie zjednéj strony wznoszą się skargi, że znakomitsze i dostatniejsze rodziny nasze zamiast używać swych dostatków w kraju rodzinnym, w miastach ojczystych, trwonią je po stolicach zagranicznych, poszukują tylko własnych przyjemności, mniéj dbając o spełnienie świętych obowiązków względem spółeczeństwa krajowego zaciągnionych. Wszakże ta ziemia, która im swobody i zamożności materyalnéj dostarcza, ma prawo dopominania się od nich, aby się jéj tym lub owym odpłacali

sposobem. Jeżeli nie mają sposobności służenia jéj inaczéj, to przynajmniéj niechże pod względem towarzyskim przynoszą jaką korzyść społeczeństwu ojczystemu. Nie idzie tu o mnożenie zbytków, zabaw kosztownych, uciech materyalnych; przeciwnie, szłoby więcéj o danie przykładu téj właściwéj miary, która równie jest daleką od skąpstwa jak od marnotrawstwa, szłoby o przekonanie znarowionego pokolenia obecnego, że prawdziwéj przyjemności nie nabywa się zbytkowemi wydatkami, lecz że ją najpewniéj znaleść można wśród serdecznej gościnności, w dobrze dobranem gronie, wśród rozrywek, które i umysłowi i obyczajom korzyść przynieść mogą. Pięć głównych miast liczymy na dawnéj przestrzeni polskiéj: Warszawę, Lwów, Kraków, Poznań i Wilno. Niech obywatele znakomitsi krajów w których te miasta położone, uważają za obowiązek narodowy przebywanie w nich w czasie zimowym, i utworzenie towarzystwa takiego, jakie życzenia wszystkich poważniejszych umysłów przywołują, a towarzystwo takie wkrótce się utworzy. Lecz na to trzeba, ażeby w każdem z nich stanęły otworem domy celujące nad innemi nie wystawą, nie nawyknieniami zbytkowemi, ale znaczeniem, powagą i władzą moralną. Trzeba, ażeby owa dziś zaprowadzona anarchia towarzyska pokonaną została; ażeby jak to dawniéj bywało, w tych domach towarzystwo stało się wyborowem, i niejako wyłącznem. Twierdząc to, nie myślę tu o żadnych względach arystokracyi, mody, wytworności społeczeńskiéj — przeciwnie mniemam, że wstęp do tych domów powagę towarzyską stanowiących, otwierać powinna tylko zacność osobista, dobre wychowanie i umysłowe wykształcenie. Dawniéj każde tego rodzaju towarzyst,wo było niejako piknikiem umysłowym, ucztą składkową na którą każdy przynosił swoją cząstkę uprzyjemnienia i uzacnienia tych zgromadzeń. Dziś wszyscy wszędzie przyjmowani bywają, nie idzie o jakość lecz o ilość gości. Do owych dawniejszych zgromadzeń być przyjętym, stawało się odznaczeniem i zaszczytem. Takie towarzystwa były prawdziwą szkołą młodzieży; takie dziś wznowione staćby się jeszcze nią mogły. Zaprowadzenie ich największe może napotkałoby trudności tam właśnie, gdzie powinnoby być najłatwiejszem i jest najpożądań-

szem, to jest w Warszawie. Warszawa zanadto stała się wielkiem, kosztownem i zagranicznemi nawyknieniami przesiąkłem miastem; zanadto już weszły w jéj obyczaj tłumne zgromadzenia, z których każde jest Pospolitem Ruszeniem towarzyskiem. Wiele w niéj salonów zbyt jest podobnych do dworców kolei żelaznych. Ich obraz przedstawiały nawet zebrania umysłowych tylko rozrywek poszukujące. Nie wiem więc, czyliby tam próba domu poważnego, zbierającego tylko umysłowo i moralnie wyborowe towarzystwo, lecz nie dostarczającego hucznych i zbytkowych zabaw, mogła się powieść. W innych miastach naszych, zwłaszcza w Krakowie i w Poznaniu, łatwiejszem byłoby jéj powodzenie, byleby najznakomitsi zasługą, poważaniem powszechnem obywatele, otwierali swe domy na to, aby się stały przybytkiem zacności i przyzwoitości, i szkołą młodego plemienia.—

W tym tygodniu ukazała się w Poznaniu u Zupańskiego autobiografia Joachima Lelewela, któréj pierwszy arkusz w *Dzienniku literackim* lwowskim czytała galicyjska publiczność. Tytuł jéj: *Przygody w poszukiwaniach i badaniach rzeczy narodowych polskich.* Jest to pamiętnik li tylko literacki, zająć zdolny tych wszystkich, którzy oceniają mozolne prace i zasługi uczonego i wsławionego badacza. Styl w nim nie inny od tego, jaki stał się nawyknieniem pisarza w dziełach naukowéj treści, to jest nieco ołowiany, nieco pospolity i urywkowy. Te dwie ostatnie właściwości mniéj rażą w tego rodzaju opowiadaniu, jak tam gdzie powaga historyi nakazuje odzianie myśli poważną szatą. Pisemko to jest tylko przednią strażą owego zbioru wszystkich dzieł Lelewela, które w siedmiu tomach wkrótce się u Żupańskiego ukażą. Spożywszy je, zostaje ci w smaku nieco goryczy od gorzkiéj przyprawy jakiéj autor nie szczędził, zwłaszcza w ustępach dotyczących Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego. W pisarzu, który podług swego własnego wyrażenia, *przesunął lat 70, i dla którego czas pono obliczać się z przeszłością*, wolelibyśmy znaleść łatwiejsze zapomnienie drobnych uraz, więcéj pobłażania i łagodności.

Do księgarń tutejszych doszła już powieść w Paryżu w dwóch tomach wydana przez Ludwika z Krzewia

(Orpiszewskiego) pod tytułem: *Pułkownik czyli różny los dwóch kolegów szkolnych.* Powieść ta nie odznacza się dramatycznością, ani staranną sztuką, lecz raczéj zaleca się wiernem obrazowaniem czasów i ludzi, których przedstawia. Duch jakim tchnie, wyobrażenia jakie popiera, są takie, jakiebyśmy częściéj w utworach tego rodzaju napotykać chcieli. Jeżeli powieść bywa tylko zwykle zabawą chwilową, rzadko kiedy istotną korzyść przynoszącą, niechże przynajmniéj nie niesie zgorszenia, nie zatruwa jadem umysłów, ani niech ich fałszywą nie obałamuca nauką. Autor téj powieści, w pierwszym tomie na główną scenę obrał okolicę Łęczycy, objął zaś w ⁂m epokę od roku 1791 aż do wzniesienia się księst wa warszawskiego, a więc Targowicę, powstanie r. 1794, czasy pruskie, i nakoniec przybycie wojsk Napoleońskich. W drugim tomie przeniósł scenę do Paryża i zamknął opowiadanie swoje w okresie lat 13 od 1836 do 49. W pierwszym tomie głównymi aktorami jest Marcin Piwo szlachcic łęczycki, sławny burda i rębacz, lecz wraz z p. kasztelanem kujawskim stronnik konstytucyi 3 maja. Wojewodzic, pan znakomitego majątku, opanowany żądzą znaczenia, zcudzoziemczały i Targowiczanin. Z przyjemnością uważaliśmy, że autor w ocenieniu dwóch stronnictw z owego czasu staropolskiego i reformacyjnego, nie poszedł za śladami niektórych poprzedników swoich w powieściopisarstwie, sławiąc bezwzględnie pierwsze, poniżając drugie, lecz z sądem zdrowym i sprawiedliwym obydwa ocenił. Występujemy więc przecież z tego błędnego koła wyobrażeń historycznych, w jakie nas był wtrącił kunszt pisarski, i upoetyzowanie tych czasów i obyczajów, które się tyle do zguby kraju przyczyniły. Cztery tylko osoby powieści autor przez oba tomy przeprowadza: Prokopa Modliborskiego siostrzeńca Marcina Piwa, syna chrzestnego kasztelana, póżniéj pułkownika za księstwa warszawskiego a potem wychodżcę; Florka Bernińskiego syna szlachcica, którego Marcin Piwo zarąbał, już w szkołach nieprzyjaciela Prokopa, następnie służalca i zausznika wojewodzica, zbogaconego z łupów pańskich dorobkowicza, którego w drugim tomie w Paryżu jako hrabiego Bernińskiego poznajemy, i którego ohydną postać autor stawił w porównaniu a raczéj w sprzeczności z zacnym i na niedo-

lę skazanym pułkownikiem. Trzecią osobą główną powieści jest wojewodzicowa córka starościny, sąsiadki i przyjaciołki kasztelana, która przed pójściem za mąż powzięła utajone uczucie dla Prokopa, wznieciła je w nim, a potem je po trzydziestu latach rozdziału w czułą przyjaźń dla niego w Paryżu zmieniła. Czwartym nakoniec aktorem, z którym przez oba tomy przebywamy, jest Marcin Pomykalski, najprzód pacholik Marcina Piwa, wielki pustak i figlarz, potem wachmistrz w pułku Prokopa, potem porucznik, a za granicą pracownik w fabryce cukru. Ta postać najzręczniéj jest nakreślona, i może do niéj najwięcéj czytelnik się przywięzuje. Nie chcę całéj osnowy téj powieści przedstawić, aby nie osłabić ciekawości czytelników, nadmienię tylko, iż jeżeli obrazy salonowe paryzkie mniéj są w niéj zajmujące, kilka scen z życia za granicą bardzo żywemi i właściwemi farbami znajdujemy odmalowanych. Szczególniéj zalecić powinienem rozdział, w którym opowiedziana jest wizyta pułkownika w klasztorze Trapistów, z prawdziwym talentem skreślony. Styl téj powieści gładki, łatwy, poprawny. Zaledwie kilka zwrotów cudzoziemskich dostrzedz w nim można, jak np. słodkie oczy do mnie robił, na co polskiego wyrażenia: zawracał oczy do mnie, użyć należało. Ta więc powieść, któréj można z przyjemnością kilka chwil wolnego czasu poświęcić, mieści w sobie epopeję życia obfitego w wypadki, pełnego ruchu, odmalowaną wiernie i z talentem.

Berlin w czerwcu.

Dalszy ciąg rozdziału o zmyśle czucia.

Nagle, jak z wolnego powietrza do łaźni ruskiej, przeszła publiczność berlińska od chłodu majowego do upałów czerwcowych. Tak bywa prawie w każdym roku, z tą różnicą, że upał nie dochodzi do tego stopnia. Pod względem piękności i stałości pogody miesiąc czerwiec pierwsze zajmuje miejsce. Z pomiędzy jedynastu braci jego, zbliża się takiemiż przymiotami najwięcéj do niego miesiąc październik. Są to dwa najulubieńsze miesiące dla mieszkańca Berlina. One mu najmniej da-

ją powodów do skarżenia się na klimat, który go niestałością powietrza w miesiącach listopadzie, grudniu, marcu i kwietniu przywodzi niekiedy do rozpaczy. One go przywięzują do kraju, który mu w rzeczonych miesiącach staje się nieznośnym. Nad te ostatnie milszemi mu są styczeń i luty, lipiec i sierpień, miesiące mrozów i skwarów, które choć więcej od drugich dają się ciału ludzkiemu we znaki, to z będącemi pospolicie mniej zmiennego charakteru łatwiéj się można przecież na czas dłuższy obliczyć. W maju berlińczyk nie wié jeszcze co począć, i to go najwięcéj gniewa i upokarza; w wrześniu przeciąga spokojnie życie pory letniej, bo wie że i w następnym miesiącu jeszcze go dni piękne czekają. W ogóle jednak, zwłaszcza pod względem wpływu powietrza na sposób życia, można przyjąć dwie pory roku w Berlinie, lato i zimę, z których każda trwa mniej więcéj po sześć miesięcy.

Sądząc po wygórowanéj czułości mieszkańca Berlina na wszelkie zmiany powietrza i po jego nieustającém mozoleniu się w odgadywaniu tychże wszelkiemi możebnemi sposobami, należałoby wnosić, że z równą troskliwością stara się on o oddalenie od siebie szkodliwych lub dotkliwych ich wpływów, a przynajmniej o zahartowanie przeciwko nim ciała swego. Tak nie jest.

Mieszkania berlińskie, mianowicie dawniejszego stawiania, bardzo rzadko zastósowane są do wymagalności miejscowego klimatu. Zimą za zimne, latem są za gorące. Miasto szybko wzrastało, domy stawiano lekko, jakby na tymczasowo, wyższe piętra po większéj części w mur pruski. Ściany cienkie, sufity słabe, dolne nigdzie niesklepione, okna i drzwi pojedyncze i źle przystające, schody drewniane. Całe mieszkanie drży, gdy powóz ulicą przejeżdża, a doznaje się w niem jakby skutków trzęsienia ziemi, gdy przejeżdżają działa lub ciężko ładowne wozy. Do takich mieszkań, zwłaszcza, że okna nie mają ani okiennic ani żaluzyj, łatwo przeciska się zimno, gorąco, wiatr, jak również zimą nie trzyma się w nich ciepło pochodzące z pieca. ani latem chłód. Trudność ogrzewania zmniejsza się częściowo tém, że pokoje są pospolicie małe i bardzo małe; ale latem nie są to już pokoje mieszkalne, lecz cieplarnie dla roślin z pod równika.

W nowszych czasach stawiane domy odznaczają się nietylko większą mocą i trwałością budowy, większą ozdobnością zewnętrzną i wygodniejszém urządzeniem wewnętrznem, ale także troskliwszém uwzględnieniem miejscowego klimatu. Nowo powstałe części miasta i ulice są dlatego bardzo poszukiwane na mieszkania, chociaż daleko leżą od środkowego ruchu miasta. Większa wymagalność wszelakiéj wygody w mieszkaniu, pociąga za sobą przebudowywanie starych domów, lub na miejscu zwalonych stawianie nowych. Za jakie lat pięćdziesiąt większa część starego miasta będzie przebudowana.

Berlin ma szerokie, proste, długie ulice. Możnaby ztąd wnosić, że ma świeże i zdrowe powietrze. Daleko od tego. Miasto zbudowane jest na równéj jak stół płaszczyznie, która utrudnia zakładanie podziemnych kanałów. Zastępują je, z wyjątkiem parę naczelnych ulic, odkryte rynsztoki, które chociaż codziennie czyszczone z wylewanego i staczającego się do nich domowego plugastwa, napełniają mimo to powietrze brzydkiemi i niezdrowemi wyziewami. Zaradza w części temu od lat kilku kompania angielska, zaopatrująca miasto w płynącą wodę, którą także raz na dzień przepuszcza przez rynsztoki.

Gorszym i przykrzejszym od rynsztokowych wyziewów jest wieczny pył panujący w mieście nietylko podczas lata ale i podczas suchéj zimy. Przy najmniejszym wietrze, a rzadkiem jest dzień bez wiatru, wznoszą się z bruku, z rynsztoków, z kup nieodwiezionych śmieci, tumany jego pod szczyt kamienic, wpadają przez drzwi i okna do mieszkań i sklepów, pokrywają kurzem meble i sprzęty, zasypują ludziom oczy i usta, padają na płuca, utrudniają oddychanie, niszczą zdrowie. Prawdziwą tę plagę berlińską, któréj główną przyczyną jest piaszczysta okolica i takiż grunt, na którym miasto jest zbudowane, powiększają: wieczna budowla w mieście, ustawiczne odświeżanie zakurzonych domów, ciągłe naprawianie nędznego bruku i nieustające od kilku lat w ulicach grabarstwo: to angielskiego towarzystwa oświetlania miasta gazem, to konkurującego z niem takiegoż towarzystwa miejscowego, to zakładu telegraficznego, to wreszcie angielskiego towarzystwa zaopatry-

wania miasta w płynącą wodę, które to wszystkie mają z podziemnemi rurami lub przewodnikami położonemi w ulicach ustawicznie coś do czynienia.

Na powstający ztąd pył wszyscy się skarżą, prasa krzyczy w niebo głosy. Feletonista Kossak wzdycha do owych idyllicznych czasów, kiedy żadnéj cywilizacyjnéj rury nie było jeszcze pod brukiem. Na tę plagę powszechną prosty jest sposób, skrapianie ulic. Użycie jego jak najłatwiejsze. W każdem podworzu jest pompa, w każdéj ulicy, na każdym placu, jest ich kilka, są wodociągi angielskie. Ale właścicielowi domu przez myśl nie przejdzie skrapiać chodnik i bruk przed swojem mieszkaniem. Sąsiad jego także tego nie czyni. Gdyby czynili to regularnie, policya mogłaby im to policzyć z czasem na karb powinności, jak im zimą, podczas gołoledzia, każe chodniki wysypywać piaskiem lub popiołem. Lepiéj samemu nic nie robić, a powinność starania się o wygody publiczne zwalać na tęż policyą i magistrat. Lecz gdy znów policya chce się ułożyć z kompanią angielską o skrapianie ulic, lub magistrat zazdroszczący anglikom zarobku chce to wziąść na siebie, i jedna i drugi roześlą listy po domach, aby sobie przez podpisy zapewnić fundusz wydatku; szpisbyrgier berliński, rachujący wiecznie srebrniki i fenigi, w obawie, aby parę talarów rocznie, które mógłby rozłożyć stosunkowo na komorników domu, nie zamieniło się dla niego na stały podatek, woli łykać pył i być pozbawionym oddychania świeższém powietrzem w mieszkaniu i na ulicy, aniżeli podpisać się na proponowaną ugodę. Skutek tego sknerstwa ten, że kilka tylko ulic, z któremi przyszło do ugody, skrapiają się parę razy na dzień; w wszystkich innych żywioł pyłu panuje tak wszechwładnie jak w Saharze.

To co pod względem wewnętrznego porządku, wygody i czystości robi się w Berlinie, winno jest miasto po większéj części byłemu prezesowi Hinckeldeyowi, który energią swoją umiał przełamywać uparte filistrowskie nałogi mieszkańców, walczących przeciw pożytecznym jego urządzeniom i zakładom nawet na drodze prawnéj. Wodociągi kompanii angielskiej, urządzenie stałych rot zamiataczy do oczyszczania miasta zimą i latem, wysadzenie ulic drzewkami, straż ogniowa, przepisy utrzy-

mywania większéj czystości w podwórzach domów itd., są jego dziełem. Onby i pyłowi był dał radę. Dzisiejszy prezes policyi, baron Zedlitz-Neukirch jest za łagodny na upór i gnuśność mieszkańców. Wzdychają oni wiecznie do selfgovernmentu, mają go w Prusiech w swoich zgromadzeniach reprezentantów miast i magistratach w bardzo wielkim obrębie; ale gdyby go i całkowicie mieli, toby pod względem wewnętrznego porządku, wygody, czystości, zdrowia, swobody i bezpieczeństwa, było raczéj gorzéj niż lepiéj. Skarżą się ciągle na policyą, ale nigdzie się pewnie więcéj i częściéj nią nie posługują jak tutaj, w takich nawet razach, gdy sami sobie usłużyć powinni. Boerne powiedział dwadzieścia lat temu: „*Wenn zwoelf Deutsche zusammenstehen und Einer greift sie an, rufen sie die Polizei*". Tak jest i dzisiaj.

Nie przyczyniają się także do czystego powietrza i do uprzyjemnienia pobytu w mieście podczas lata ogrody publiczne i prywatne, bo pierwszych w obrębie murów miasta wcale niemasz, a drugich tak mała jest liczba, a postać i wielkość tak skromna, że się ich pośród sterczących ze wszystkich stron murów wcale nie dostrzega. Wysadzanie ulic drzewkami nie wynagradza tego niedostatku. Jeden większy ogród przy pałacyku królewskim Monbijou leży za nadto w kącie, i chociaż przystępny, nie jest publiczny. Tak zwany Lustgarten, pomiędzy zamkiem królewskim i muzeum, był ogrodem w dawniejszych czasach; dziś jest placem zwyczajnym, z kilku rzędami drzew i czterema kwaterami trawników, pomiędzy któremi w samym środku największa fontanna w mieście, z silnym wodotryskiem, bijącym przez cały ciąg lata, — ulubione miejsce piastunek z dziećmi. „Kastanienwaeldchen" za uniwersytetem jest nie miejscem spaceru lecz cienistym przechodem z jednéj ulicy do drugiej. Przytykający do niego ogródek uniwersytecki ma botanologiczne przeznaczenie do podręcznego użytku profesorów i uczniów uniwersytetu. Najprzyjemniejszą promenadą jest wspaniała, przestrona i długa ulica pod Lipami, wysadzona czterema rzędami drzew. Niedawno jeszcze temu niektóre place berlińskie, w najpiękniejszéj części miasta leżące, jako to: plac domu opery i plac wilhelmowski, służyły do ujeżdżania i od-

bywania licytacyj koni. Lud je nazywał *„Berliner Sandbuechsen“*. Dziś są to piękne *squary* angielskie, równie jak place „Belle alliance“, lipski, plac przy akademii budowniczéj i inne.

O ogrodach i ogró .kach prywatnych nie ma co mówić. Najwięcéj ich jeszcze pozostało w bliskości muru opasującego miasto. W środku wszystko jest zabudowane; nawet na podwórzu nie pozostawiono należytego miejsca, jakie dziś prawo przepisuje. Są w ulicy pod Lipami domy, które, gdyby miały być zwalone i na nowo odbudowane stósownie do przepisów policyjnych, musiałyby chyba stać w powietrzu, bo plac zaledwieby wystarczył na podwórze. Stać więc będą długo jeszcze, szpecąc przyległe pałace. Ogłaszające się codziennie przez gazety i afisze *„Gartenconcerte“* w środku miasta, nie odbywają się po największéj części w ogrodach, lecz w przestronniejszych podwórzach lub tyłach domu, na których kilka drzew starych pozostało lub kilka młodych posadzono, albo ściany obstawiono drzewkami, kwiatami, łodygami i trawami w donicach, zbudowano pokrytą drewnianą kolonadę, szopę, budę lub namiot od słońca i deszczu, zastawiono całą przestrzeń pokostowanemi stołami i stołkami, i z zapadającym zmrokiem oświecono latarniami gazowemi, a w czasie wielkich festynów także balonkami chińskiemi.

Przy takich ogrodach bywają zwykle lokale z szynkownią piwa, co główną jest rzeczą, z winiarnią, cukiernią, restauracyą, z salą do zabaw, różnych przedstawień i tańców. Stósownie do wielkości i możności, lokale te zmieniają się podczas zimy, z pomocą tych samych drzewek, łodyg i traw w donicach, na *„Wintergarteny“*, większa część na zwyczajne knajpy czyli szynkownie. Nazwiska tego wprawdzie nigdy nie noszą, ale przybierają cywilizowańsze nazwy *lokalów, kafehausów, halli, etablissementów, salonów*, a świetniejsze pomiędzy niemi, pomne swego wysokiego przeznaczenia, mianują się: jeden *tonhalle*, drugi *geselschafthaus*, trzeci *odeum*, czwarty *orpheum*, piąty *universum*, szósty *elisium*, siódmy *eldorado*, ósmy *walhalla*, itd. Dym cygarowy i zapach piwny tych ziemskich rajów zawsze jeszcze są znośniejsze od przepełnionego pyłem i wyziewami rynsztoków powietrza ulicznego.

Ogrody prywatne, nieprzystępne dla publiczności, tam gdzie się dotąd zachowały, są natomiast z rzadką troskliwością i z wyszukanym gustem utrzymywane. Najwięcéj ich mają pałace i domy arystokratycznéj ulicy wilhelmowskiéj i placu lipskiego. Tam są pałace księcia Fryderyka, księcia Karola, księcia admirała Adalberta, książąt Radziwiłłów, tam większa część gmachów ministeryalnych, tam hotele ambasadorów francuzkiego, austryackiego, angielskiego, wszystkie z pięknemi i wielkiemi ogrodami. Handel i przemysł nie mają tam przystępu; w przeciwnym razie byłyby już i te ogrody znikły, otwierając od strony Thiergartenu, do którego przytykają przedzielone murem, najpożądańszą przestrzeń do wspaniałych budowli. Robiono już takowe projekta, i ofiarowano rządowi i prywatnym właścicielom wielkie sumy za ustąpienie części ogrodów, przeznaczonych na zabudowanie. Być może, że z czasem do tego przyjdzie, bo miasto się coraz więcéj ku zachodowi w stronę Thiergartenu wyłamuje, ale dziś plan ten policzyć jeszcze należy pomiędzy „*pia desideria*“ spekulacyi budowniczéj, wycinającéj najpiękniejsze drzewa i plantacye ogrodnicze, gdziekolwiek jéj się jakie zyskowne miejsce do zabudowania otwiera. Onaby i *Thiergarten* sam w pień wycięła, gdyby to od niéj zależało.

A ten *Thiergarten* jeden zasługuje na nazwę edenu, elisium, eldorado berlińskiego. To prawdziwe źródło życia, które orzeźwia ciało i duszę ludności stolicy. To wśród Sahary okolicznéj oaza świeżego powietrza, którém każdy śpieszy odetchnąć, ilekroć może; lud pracujący przynajmniej raz w tydzień, w niedzielę. To jedyny prawdziwy ogród, park, las publiczny, bo tem wszystkiem jest razem, w połączeniu ze stem ogrodów i ogródków prywatnych, z najpiękniejszemi willami i lokalami zabaw. Jest on tak potrzebnym do życia mieszkańcowi Berlina jak płuca. Trudno sobie prawdziwie wyobrazić, jakby publiczność berlińska, zwłaszcza podczas lata, istnieć mogła bez niego. Mówią, że kiedy Napoleon po bitwie pod Jeną przybył do Berlina, widząc ten las ćwierć mili szeroki a pół mili długi, przytykający tuż do bram i muru miasta, miał z strategicznych powodów powziąć zamiar wycięcia go w pień. Miasto wieścią tą strwożone, wysłało do niego deputacyą, bła-

gając w pokorze, aby go z jedynéj przyrodzonéj ozdoby i przyjemności nie ogałacał. Napoleon dał się ubłagać, ocalony park stał się miastu tem droższym.

Po skończonéj wojnie, park pod panowaniem przeszłego króla i pod dyrekcyą sławnego ogrodnika Lenné coraz więcéj się upiększał. Wdzięczni mieszkańcy wznieśli posąg marmurowy zmarłemu monarsze w najpiękniéjszém miejscu, które odtąd pielęgnują i zdobią kwiatami przez większą część roku jakby jakie miejsce poświęcone. Panujący obecnie monarcha dalej prowadził dzieło ojca. Park przedłużono aż ku Charlottenburgowi, przyłączono do niego dawną bażantarnią, zmieniając ją na ogród zoologiczny, pokopano jeziora, stawy, sadzawki, strumyki, do których wpuszczono płynącą wodę z wielkiego spławnego kanału, którym połączono od południowéj strony parku górną Sprewę z dolną; porobiono nowe partye, drogi, aleje, ścieszki, odkryto nowe widoki, pomnożono trawniki, kląby zagranicznych drzew i krzewów, kwatery kwiatów; żeby zaś sztuka nie przeważała zbyt widocznie nad naturą, starano się wszędzie tu mniej, tam więcéj, najwięcéj w partyach środkowych, zachować pierwotny charakter samorodnego lasu.

Tym sposobem przyszedł Thiergartem do dzisiejszej piękności, która zachwyca cudzoziemców, a podnosi w dumę mieszkańców stolicy pruskiéj. Thiergartenem odpierają zarzuty ubliżające okolicy miasta; Thiergarten kładą na szalę, kiedy jest mowa o parkach i ogrodach innych stolic europejskich; Thiergarten jest trzeciém słowem w ustach chełpiącego się z stolicy swojéj berlińczyka. Z dytyrambu jego w takim razie trudno poznać, czy właściwie Thiergarten należy do Berlina, czy Berlin do Thiergartenu? Jest to rzecz bardzo prosta, bo istotnie berlińczyk zimą żyje w mieście a latem w Thiergartenie.

Tam ma na krawędziach parku swoje pyszne wille i ogrody prywatne; tam ma swoje letnie lokale publiczne: *Odeum*, *Hofjaeger*, *Albrechtshof*, *Moritzhof*, *Sommerssalon*, *Krusesgarten*, *Birkwaeldchen*, *Unter den Zelten*, nareszcie koronę wszystkich — zimowy i letni *etablissement* Krolla; tam ma swoje teatra i przedstawienia letnie, tam koncerta, począwszy od poważnych symfonij wykonywanych przez wyborne orkiestry, aż do pospoli-

tych tańców wygrywanych na szajnekatarynkach przez ślepych inwalidów; tam ma nocy włoskie, neapolitańskie, indyjskie, chińskie, bale maskowane i niemaskowane, tańce w pokrytych i otwartych miejscach, i wszelakie inne zabawy i festyny; tam mają kochankowie swoje widywania się i miłostki, rozumié się dozwolone, bo policya przestrzega z nadzwyczajną czujnością moralności tego najgłówniejszego miejsca publicznych przechadzek; tam młodzi aspiranci do marynarki pruskié mają, żeglując po stawach i kanałach, pierwszą sposobność do wprawiania się w bitwy morskie, które w przyszłości staczać będą zwycięsko z duńczykami; tam poeci mają swoje „*dichterwege*“, na których zawsze znajdują natchnienie, podchmieliwszy głowę musującem *weissbierem*; tam wreszcie i filozofowie mają swoje akademiczne i perypatetyczne przechadzki, bo jakże w Atenach nad Sprewą mogłoby się obejść bez takowych; jednóm słowem berlińczyk znajduje w Thiergarten latem wszystko co zimą ma w mieście, a nadto i to czego przez cały rok w mieście nie ma — swieże powietrze.

To też wysoki i niski, bogaty i ubogi, ludność obojéj płci, wszystkich wieków i stanów, pieszo, konno, w powozach kręci się od poranka do północy w ulubionym parku. Żwirowe drogi, ulice, ganki, ścieszki w najlepszym stanie, zawsze czyste, latem regularnie skrapiane, główniejsze nawet zimą oczyszczone i piaskiem wysypane. Troskliwość tę królewskiego zarządu ogrodniczego publiczność wdzięcznie przyjmuje, wynagradzając ją najpilniejszém przestrzeganiem panującego porządku. Nikt tam nic nie uszkodzi, drzewka nie złamie, kwiatka nie zerwie, trawnika nie podepce. Pilnować nie potrzeba, bo publiczność sama najlepszym jest stróżem wspólnéj własności i przyjemności. Miło jest patrzeć na to zachowanie się ludności najniższego nawet stanu. Można wyrzec bez przesady, że Thiergarten jest dla niéj praktyczną szkołą zamiłowania porządku publicznego W nim, zdaje się, jakoby i moralność była większa, i większe bezpieczeństwo osobiste w nim panowało niż w mieście samém. Nie widać tam ani rozpustnéj swawoli, ani nieprzyzwoitych zaczepek i zbliżeń, ani pijackiego gburostwa; nie słychać o

kradzieżach lub napaściach nocnych ani latem, ani nawet zimą. Pojedyncze wypadki należą do rzadkich wyjątków. Swawola, rozpusta, zbrodnia nie mają czoła występować pod gołém niebem i na publicznéj drodze. Mniemam, że nie mijam się z prawdą, twierdząc, że Thiergarten jest rzeczywiście probierzem moralności i obyczajności mieszkańców Berlina.

Lecz dość dziś na tém. Swiat zmysłu czucia, czyli zawisłości człowieka od żywiołów przyrodzenia, przedstawia nam wiele innych, równie ważnych jak te o których dotąd była mowa, stosunków życia osobistego i towarzyskiego. Przedstawię je w dalszym ciągu tego rozdziału.

Paryż w czerwcu.

Nadeszła pora, w któréj wedle przyjętego wyrażenia, *nie ma nikogo* w Paryżu, a mimo to, każdego prawie tutejszego mieszkańca możesz spotkać na ulicy. Jak to być może? Są, albo ich nie ma? — Są i nie są: cud ten zaraz ci wytłómaczę.

Paryżanie naturą bardzo do lokomotywy zbliżeni, mający jak ona, żelazne ciało a parową duszę — doczekawszy się kolei, jak maszyny po niéj biegają. Ten i ów przeniósł się na lato do Turenii, Normandyi, Bretonii, Owernii lub do którego zechcesz z 84 francuzkich departamentów, a jednak spotkać go można co dzień na bulwarach, na bursie, w klubie, sklepie lub kawiarni; zrobić trzydzieści mil rano i tyleż wieczór, dla francuza to bagatela, uczyniłby to dla zabawy lub wrodzonéj potrzeby kręcenia się, a cóż dopiero jeżeli chodzi o interesa które nieznają wakacyj, i mimo trzydziestostopniowego upału lecą zwykłym galopem. Dla tego Paryżanin jedną nogą jest na wsi, drugą w stolicy.

Dzięki żelaznéj drodze, taka pozycya jest możebna, a Paryżanie pędzeni drożyzną, coraz głębiéj na wieś się zapuszczają. Zawsze to jeszcze tylko imitacya natury, te ich wymuskane, wystrzyżone, wymyte i piaskiem wysypane wioski; każda z nich mogłaby przyjemnie figurować na Wystawie Rolniczéj, gdyby nie trudności przewozu — ale mimo to, imitacya już jest tak dobra, że

oszukane ptaki śpiewają w tych niby ogrodach i gniazdka w nich sobie ścielą.

Paryżanie którzy zwykle żartują nawet z tego co lubią najwięcéj, wyśmiewają się także i ze swoich *kampanij*, mówiąc, że ich wiejskie ptaki uczyły się śpiewać w konserwatoryum, że ścielą gniazda według metody zaleconéj przez cesarskie Towarzystwo Aklimatyzacyi — że w ich parkach nie drzewa, ale miotły rosną — że wille stoją pod cieniem kapusty — że to, że owo — ale omyliłby się bardzo ktoby im wierzył na słowo, i sam z tych *kampanij* wyśmiewać się zaczął; obrażony właściciel oczy by mu wydrapał, bo w istocie, jak dziecko w téj swojéj wiosce piaskiem bawić się lubi. Spróbuj tylko zatrzymać którego z tych szyderców kiedy wieczorem do swéj kapusty odjeżdża — nie zostanie za nic w świecie: obładowany pakietami różnéj wielkości, spocony, zdyszany, biegnie na koléj drżąc żeby się nie spóźnił, rachując minuty i sekundy, które jeszcze z dala od owego parku z mioteł przepędzić musi; w téj preokupacyi i pośpiechu, gdyby Paryż gorzał jak Sodoma, mniéj ciekawy niż pani Lotowa, Paryżanin pewnieby się nawet nie obejrzał.

Miałożby to dowodzić że się francuz zakochał w naturze? Bynajmniéj: lubi bawić się piaskiem, jeździć na ośle, chodzić bez surduta, obiadować w altance, łapać ptaki wypuszczone z klatki, łowić ryby które przed godziną do stawku wpuścił — ale samotność, ale cisza, ale kontemplacya dzieł Stwórcy i obcowanie z przyrodą, ale trudy, znoje, niewygody, niebezpieczeństwa, przeciwności, słowem wszystko z czego prawdziwie wiejskie życie złożone, jest wprost przeciwne francuzowi — co się zaś tyczy piękności natury, te, jak dawniéj tak i dzisiaj, całkowicie mu teatralne dekoracye zastępują.

Paryżanin mieszczuch *par excellence*, lubi więc tylko bawić się w wioskę. Przyzwyczajony do miejskich wygódek, przenosi tam z sobą cały komfort paryzki: dzika egzystencya Mohikana bynajmniéj mu się nieuśmiecha — niepotrafiłby przeżyć dnia jednego jak ci prawdziwi i jedyni czciciele natury, *Jeleń Rączy* lub *Sokole Oko*, całe życie w puszczach lub na łąkach, między grzechotnikami, panterami, niedźwiedziami i t. d. Ale czyż można mu to brać za złe? Czy takich zapalonych kochanków

przyrody jest wielu? Niech ten co czuje w sobie moc Kooperowskiego bohatera, rzuci kamieniem na paryzkich wieśniaków — ja nie mogę.

Na tę tedy pseudo-wiejską wyprawę, Paryżanie wybierają się jak na rzeczywistą kampanię. Dom wiejski zwykle jest zaopatrzony we wszelkiego rodzaju zapasy, nawet w amunicye. Nie jeden z nich, z wierzchu do pudełka podobny, mógłby wytrzymać oblężenie i niewziętoby go ani głodem, ani szturmem. Spiżarnia, piwnica i apteczka, przepełnione są jadłem i napojem: od kartofli do strazburskich pasztetów, od Cydru do Lacrima-Christi, znajdziesz tam wszystko co karmi i poi. W arsenale nie mniejsza broni obfitość: znajdziesz tam nawet ogromne strzelby o piorunnych kulach, które Devisme na strzelanie słoni wynalazł. Na cóż ta broń mordercza? spytałem znajomego który o dwie mile za Paryż wyjeżdżał dźwigając jeden z takich karabinów, na co taka broń w Nanterre potrzebna?

— Niewiadomo co może wypaść — odpowiedział poważnie. Trafiając w gust publiczności, kupcy tutejsi na wyścigi zaopatrują *niezbędne* potrzeby paryzkich Robinzonów. W dziennikach czytasz uwiadomienia o takich tylko wyrobach, jak naprzykład, kauczukowe płaszcze, nieprzemakające obuwie, kapelusze chroniące od ulewy i kanikuły — lasko-parasole — pistoleto-laski, i tym podobne rzeczy na *wsi niezbędne*, a które nigdy na nic się niezdały i do niczego nie posłużyły, chyba do zrobienia fortuny wynalazcy.

Ostatecznie, czyto nazwiemy modą, czy namiętnością, *willegiatura* weszła tu w powszechny zwyczaj; to co było dawniéj przywilejem bogatych, dziś dzięki drodze żelaznéj, jest przystępne każdemu. Do ucieczki z Paryża niemało także przyczynia się drogość mieszkań i burzenie miasta, które hordy wyrobników z coraz większą przewracają zajadłością; nie obalają już tu dla potrzeby wyraźnéj starych budynków, ale burzą, ot tak sobie — jak u nas mówią, „z łaski na uciechę.“ W ten sposób zwalono teraz jeden z najpiękniejszych pałaców na bulwarach, Hotêl d'Osmon, pod pozorem że tamtędy ma iść ulica! Z takiegoż powodu możnaby zburzyć Luwr, Magdalenę — wszystko.

Budowlo-mania, która od sześciu lat Paryż przeistacza, wyrównała go, oczyściła, wyprostowała, wyświeżyła — ani słowa — ale mu odjęła charakterystyczność zasadzającą się właśnie na nierówności, rozmaitości i niespodziankach. Paryż wybielony, pod sznur obcięty, stał się monotonny i nudny, jak wysadzony bukszpanem wirydarz burmistrza. Dawniéj w swym malowniczym nieładzie Paryż składał się z tysiąca małych miasteczek różniących się między sobą nie tylko strukturą, ale zwyczajami i językiem. Najpierwszem z tych miasteczek był niegdyś Palais-Royal.

Zbudowany w 1629 roku przez Richeliego, późniéj rezydencya Anny Austryaczki, która podczas regencyi zamieszkiwała go z Ludwikiem XIV; późniéj, w roku 1692, darowany przez króla Orleanom — za Regenta zmieniony w dom rozpusty, za Filipa w bazar europejski — Palais-Royal długi czas był stolicą Paryża. Dumny bogactwem, elegancyą, poszukiwany przez cudzoziemców, bo chowający w swem łonie wszelkiego rodzaju emocye i rozkosze — żył sam w sobie, resztę stolicy uważając za prowincyą. Teraz jeszcze, choć zmienny prąd mody uniósł w swych nurtach i rozsiał po bulwarach perły niegdyś w muszli królewskiego pałacu zamknięte — mieszkańcy jego przechowują tradycyjną swą dumę. Żaden z nich za nic w świecie nie zmieniłby mieszkania — każden uważa się za właściciela pałacu; pod arkadami i po ogrodzie chodzi sobie bez ceremonii wszlafroku i pantoflach — przeciąga się, siada, kładzie się jak u siebie; dzieci miejscowe bawią się jak w rodzicielskim ogrodzie; słowem wszyscy mieszkańcy Palais-Royal używają przywilejów własności z których przybysze zupełnie są wykluczeni. Dzisiaj mało kto nawet przychodzi mięszać ciszę która tu dawne zastąpiła gwary; Palais-Royal jest teraz jakby wyspa na oceanie, na którą zwykle ciż sami lądują żeglarze: stare rentiery czekając obiadowéj godziny rozprawiają tu o losach Europy — aktorowie bez urzędu kupią się jak dorożkarze na placu — kilku zamyślonych próżniaków patrzy po ścianach lub czyta książki — kilka kobiet haftuje w cieniu — dzieci gonią obręcze — pod filarami kramarze sprzedają fałszywe klejnoty i przenicowane suknie

cudzoziemcom — oto jak teraz płynie życie w téj dawnéj świątyni Faraona i Plutusa.

Jest jeszcze w Paryżu wiele innych miasteczek, które dotąd zachowały swoją indywidualność i nie łatwo się w jednym odmęcie rozpuszczą. Do tych należy *La Halle*, która pod nowym dachem szklannym równie jak dawniéj malowniczo wygląda. Wszystkie domy okalające tę śpiżarnię Paryża, są zamieszkane przez jego szafarzy; małe to miasto ma swoje zupełnie odrębne przepisy, swoje zwyczaje, swoją szlachtę, swoją historyę, język własny, własnych poetów— osobną sprawiedliwość, osobne kary i nagrody — słowem, kilkunasto tysięczną ludność różną zupełnie od innéj paryzkiéj ludności, mającą nawet całkiem inny charakter i odrębną fizyonomię: mężczyźni rodzą się tam atletycznych kształtów, w ogóle są bardzo dobroduszni, choć brutalni w obejściu; kobiety ogromnéj tuszy, *fortes en gueule* (jak mówi Molière), pełne uszczypliwego dowcipu, oraz miłości bliźniego i niewyczerpanego miłosierdzia.

Sławny w historyi Paryża *Temple*, jest jeszcze osobnem, ciekawem do studiowania miasteczkiem. *Temple* wielka, ze wszech stron otwarta budowla, jest bazarem uwiędłego zbytku, składem wykwintnéj nędzy sprzedawanéj przez tak zwanych *frypierów* alias *fryponów*. Znajdziesz tu najwytworniejszy zbytek na bruku: jasne atłasy, aksamity, miękkie pióra strusiów i marabutów, hafty, koronki, suknie, kapelusze— lejety dla dzieci, wyprawy dla panien, męzką garderobę, uniformy żołnierskie, firanki, meble, pościel — wszystko tam leży bezładnie porzucone na kamieniach pomiędzy dwoma rynsztokami. *Temple* jest ściekiem paryzkiego przepychu — tam leci listek róży, i liść laurowy — ale tam niewiędnie; wnet porwany skrzętną ręką szwaczek, modniarek, krawców, złotników, tapicerów i t. d. wraca na powrót do stolicy, i znów na pięknych główkach i kształtnych ciałkach rozkwita drugim nawrotem, jak róże w jesieni.

Nic ciekawszego jak populacya miasta *Temple*; nic zręczniejszego, przebieglejszego, chytrzejszego, złośliwszego jak ci kupcy, uprzejmi, słodcy, póki sądzą że im się dasz oszukać — impertynenty, rzucający na cię gradem kolących dwuznaczników, jeżeli im się wymkniesz. Nasze żydy ze swoją przebiegłością, ogadane Greki i

Ormianie, jak żaki wyglądają obok tych arcy-szachrajów. Biada cudzoziemcowi, jeżeli zwabiony błyskotką zapuści się z zamiarem kupowania, w kręte miasta *Temple* uliczki; rodowity Paryżanin, który jakto mówią „słyszy jak trawa rośnie“, wychodzi z tamtąd nieraz jak fryc, z pustą sakiewką i gałganem w ręku.

A ileż tu jeszcze innych miast w tym Paryżu naliczy! Głucha *Cité*, na którój zjawienie się konia jest fenomenem jak w Wenecyi; zarosła trawą wyspa Św. Ludwika, którój mieszkańcy odcięci od reszty świata mają swoje odrębne pojęcia i obyczaje; Quartier żydowskie, pełne odwiecznych przesądów, betów i szabaśników; Batignolles, Montmartre, Belleville, Quartier-Latin— wszystko to miasta rządzące się innym kontraktem socyalnym. Prawda że niema nic powszechnego na tym padole, że są tylko konwenanse które się zmieniają wedle klimatu— co Europa wielbi, Azya potępia— co jest przywarą w Anglii, na kontynencie zwie się cnotą, i odwrotnie— ale wszystkie te różnice przedzielone przestrzenią, nie tyle uderzają — tutaj, w tym świecie Paryżem zwanym, zbite w jedną gromadkę, i żyjące z sobą w dobréj komitywie, dziwne czynią wrażenie. Kto wie, czy nie dla tego Paryż tak miły każdemu? Kto wie, czy przebudowany, wyrównany, jednolity, będzie miastem tak uniwersalném jakiem jest jeszcze dzisiaj, kiedy każdy w niem znajdzie odpowiednią sobie atmosferę i wszystko czego szuka?

Nowa komedya Augiera *les Lionnes pauvres* obruszyła tu niektórych krytyków, i ściągnęła na się zarzut niemoralności. Krzyki były wielkie: dla tego zapewne, że autor niedyskretnie dotknął palcem rany — rozwiązał zagadkę którą Sfinx paryski daje co dzień do odgadywania Edypom studiującym tutejsze obyczaje — zdradził tajemnicę, którój dociekania dla miłego spokoju sam mądry kodex Napoleoński wzbrania, *à savoir*, jakim cudem małżeństwo mające sześć tysięcy dochodu żyje czasami jakby ich miało dwadzieścia?

Pan Augier przedstawia męża z sześcioma tysiącami dochodu, ożenionego z kobietą mającą pięćdziesiąt tysięcy posagu; obie fortuny mogą dać razem siedem do ośmiu tysięcy franków na roczne wydatki. Z takim dochodem w Paryżu we dwoje żyje się bardzo skromnie— tak

skromnie, że ledwie konieczne potrzeby opędzić można. Tymczasem, pan ma apartament przepyszny, stół wytworny — pani ubiera się jak królowa, co dzień w nowej występuje sukni, nosi klejnoty i drogie szale. Na to wszystko mąż daje jéj sześćdziesiąt franków. Za cóż więc sprawia co miesiąc suknie po 200 fr. — kapelusze po 50 — rękawiczki, wstążki, koronki, i niezliczoną massę drobiazgów, z których toaleta kobieca złożona?

Na ten znak zapytania, Augier odpowiada że ten cud tworzy małżeńska trójca. Zdaniem szanownego akademika, część małżeństw paryzkich składa się z męża który daje *le nécessaire*, to jest bardzo mało — i przyjaciela, który przynosi *le superflu*, to jest rzecz główną. Takim sposobem, wedle niego, niektóre tutejsze damy uprawniły potworę.

Przyjaciel z początku nieśmiały, z laty rozgaszcza się w domu jak u siebie; ludzie, jak kodex, byle im przepisanéj formy niezdeptać, milczą; mąż ślepnie — a żona ośmielona tą ślepotą i tem milczeniem, w końcu uważa przyjaciela jako drugą edycyę małżeńskiego dzieła, nieco wykwintniéj od pierwszéj oprawną.

Oto treść sztuki. Jeżeli takich małżeństw nie ma w Paryżu, komedya Augiera jest niezawodnie bardzo nie moralna, bo spotwarza, i nasuwa złe myśli — ale jeżeli są? może nie jednego naprawić stawiając mu przed oczy zwierciadło w którém własną ohydę zobaczy.

Że zarzut autora niezupełnie fałszywy być musi, dowodzą zbyt głośne do niego niechęci; zdrowego dotknięcie nie boli — tylko chory krzyczy jak go uderzysz w ranę. —

Pan Delsarte, muzyk z professyi, rozpoczął dla pożytku aktorów, mowców, rzeźbiarzy, malarzy i muzyków, kurs estetyki zastósowanéj. Jestto kurs dość zajmujący, a w każdym razie oryginalny. Delsarte studiuje formy jakimi człowiek wyraża rozmaite uczucia. Powiada że w wyrazie twarzy każda jéj część gra osobną rolę, dla tego potrzeba wiedzieć jaką funkcyą natura wyznaczyła oku, nosowi, ustom ku wyrażeniu tego lub owego stanu duszy. Rzeczywiste czucie niepotrzebuje téj nauki, ale jest ona niezbędna temu którego rzemiosło zasadza się na kłamaniu uczucia, to jest, dla aktora.

Wedle pana Delsarte, oko niewyraża natury znanego uczucia, tylko przedmiot jego wskazuje. Zakryj dół twa-

rzy i nadaj oczom jak najmocniejszy wyraz — ten co na ciebie patrzy, nie będzie wiedział, czy twój wzrok gniew, czy uwagę wyraża; odsłoń twarz całą, a wtedy, jeżeli nozdrza są rozdęte, jeżeli usta skrzywione w górę się podnoszą, każden wyraźnie na twojem obliczu wyczyta gniew. Jako przykład potwierdzający, że oko jest tylko drogoskazem, pan Delsarte przytacza, iż u wściekłych waryatów dół twarzy wykrzywia się gwałtownie, a wejrzenie niepewne oznacza wyraźnie, że gniew ich nie ma przedmiotu.

Podobny rozbiór całego ciała ludzkiego i wykazanie jego niezliczonych sposobów expressyi, wykrywa tajemnice gestykulacyi, uczy metodycznie środków, któremi sławni aktorowie tak potężnie na widzów wpływają.— W tenże sposób analizuje Delsarte modulacye głosu; tłumaczy, czemu jedno i tożsamo zdanie wypowiedziane w pewny sposób, nieczyni żadnego wrażenia, a wymówione inaczéj, sprawia efekt ogromny.— Dotąd, sławni aktorowie znajdowali przypadkiem ów ton szczęśliwy; Delsarte przypadkowe wynalazki geniuszu ujmuje w pewne prawidła. Dotąd aktor dający objaśnienia aktorowi, mówił mu: w tem miejscu będziesz poważny; tu groźny; tu lekko ironiczny; tu gest twój powinien zadać kłamstwo słowom i t. d. Delsarte uczy gruntowniéj: Masz wyrazić gniew, powiada artyście — jakże to uczynisz? co zrobisz z rękami, głową, głosem? — I tu mu wykłada prawa jego organizacyi— uczy jak ułożyć muskuły, członki, jak nastroić głos żeby się wydać złym, lub dobrym, poważnym lub śmiesznym, szlachetnym lub podłym.

Taki jest wykład Delsarta. Dla każdego co się trudni oddawaniem plastyczném uczuć ducha ludzkiego, taki kurs gramatyki powszechnej gestów, intonacyi i mimiki, może być pożyteczny.

Nowa książka Capefigua, w różanej okładce, pod napisem „*la Marquise de Pompadour*“ zawiera mnóstwo ciekawych rzeczy. Szanowny Akademik rozpływa się we wspomnieniach owego czasu. Panowanie Ludwika XV uważa jako „*le plus ravissant reflet de l'esprit gentilhomme*“. W tym panegiryku pani Pompadour wszystko jest zachwycające! Serce się kraje czytając, ile to prześlicznych rzeczy skasowała ta przeklęta rewolucya

89 roku. Sztuka urządzania uroczystości publicznych zaginęła; sztukę próżnowania zastąpił podły przemysł; polowanie przepadło wraz z sokołami; kolacye „przy których tyle szlachetnych powzięto zamiarów“ zaginęły; sztuka ogrodownicza i szczęście chłopków (sic) także znikły niepowrotnie.... „bo potwarzą jest, ażeby wtedy wieśniak francuzki był uciśniony. W takim razie, czyby Watteau, Boucher, Lancret znaleźli w owczarni owe zachwycające kostiumy które nawet wielkie panie naśladowały?“ Nie mniej wierutną potwarzą jest Parc-aux-Cerfs. „Jeżeli Ludwik XV wybierał kochanki pomiędzy ludem, to tylko przez patryotyzm. Znając smutny wpływ w kraju nieprawych dzieci Henryka IV i Ludwika XIV, a mając w piersi gwałtowne namiętności burbońskie, król przekładał miłostki *naiwne*, nieznane“..itd.

Takie to moralne i budujące książki piszą dziś Akademicy! a czujni stróże moralności publicznéj, którzy Proudhona na trzy lata do więzienia wsadzili, ani rokiem kozy ich nie obdarzą.

A propos Akademików — jeden z aspirantów do nieśmiertelności, Mery, wydaje swój od dawna zapowiedziany poemat „*les Vierges de Lesbos*“. Przedziwny ten utwór którego każda strofa (jak mówią) jest jakby ręką Celliniego żłobiona — nie będzie drukowany jak zwykła książka. Drukarze sadzą się na wydanie. Welin i czcionki zrobiono umyślnie; wykwintny malarz starożytnych Gracyi, Hamon, przygotował winiety. Drogie to cacko nie będzie sprzedawane w księgarni — dostanie się tylko tym, którzy z góry podpisali prenumeratę.

Rawenna w czerwcu,

Piszę do was z zakątka Włoch, do którego rzadko kiedy trafia stopa polska, lubo jest on jedném z najciekawszych miast półwyspu. Ale to miasto leży opodal od bitych gościńców; przemysł go nie ożywia, zabawy ponętnem nie czynią, teraźniejszość w niem prawie nie istnieje, i widzisz tam tylko jakoby schadzkę wielkich pomników i wielkich pamiątek na grobowisku przeszło-

ści.... Kto zabaw jedynie szuka, nigdy się tu nie zabłąka, a kto nie posiada jakiéj takiéj starożytniczéj lub poetycznéj żyłki, umrze rychło z nudów, jeśli mu przyjdzie zatrzymać się nieco w Rawennie; do onéj ujemnéj dla wielu strony, tego przesławnego miasta dodać należy mnóstwo komarów, które już pierwszych dni czerwca nieznośnemi się stają; i ja sam w chwili gdy do was jedną ręką piszę, drugą muszę się ścinać z temi skrzydlatemi napastnikami, przyciągniętemi blaskiem mojéj lampy i usiłującemi gwałtem ugasić swe pragnienie w nieznanéj sobie krwi polskiéj. Obliczywszy taką miarą z samego początku niedogodności tutejszego pobytu, zanim przystąpię do skreślenia pokrótce dodatniéj jego strony, muszę powiedzieć wam parę słów o drodze prowadzącéj do Rawenny.

Nie opisując wielu miast poprzednio przezemnie zwiedzonych, jako to Senigaglia, Fano, Rimini, Pesaro, itd. coby dłuższych wymagało opisów i dokładniejszego rozpatrzenia się w podróżnych notatkach, niż pozwala na to dorywcze i pospieszne pisanie, powiem wam tylko, iż przejechawszy przez nadbrzeże Adryatyckiego morza, dla którego przydomek płynącéj miodem i mlekiem krainy nie zdaje się wcale być przenośnią, wjeżdża się niespodzianie za miasteczkiem Cervia do ogromnego lasu sosen włoskich, ciągnącego się wzdłuż morskiego brzegu przez 25 mil tutejszych, aż do rzeki Lamone płynącéj w Lombardyi. Las ten sięga niepamiętnych czasów; dostarczał on drzewa starożytnym Rzymianom na ich galery i tryremy, a począwszy od V wieku ery naszéj, wielu dziejopisarzy wspomina o nim. Sławna Raweńka *Pineta* (tak bowiem nazywają go po włosku) wtedy gdy zachwyca oko podróżnika rozłożystością drzew i rozmaitością widoków, gdy ukazuje co chwila modre lśniące się morze przez gęstwinę sosnowych konarów, prostych jak kolumny i ocienionych szerokiemi zetkniętemi parasolami, zieleni jak sklepieniem portyku, — czaruje wyobraźnię poetycznemi wspomnieniami, jakie nastręcza. Wiatr szumiący w odwiecznych sosnach boru przypomina ci tercety *Boskiéj komedyi*... Dante po swojém wygnaniu z Florencyi znalazłszy przytułek w Rawennie, błąkał się często po tych zaroślach i przechował pamiątkę szumiącego po nich wiatru w tej przecu-

dnéj pieśni *Czyśca*, w któréj opisuje raj ziemski utracony przez winę pierwszych rodziców naszych, kędy po dziesięcioletniem rozłączeniu spotyka nareszcie powracającą uwielbioną Beatryxę:

Un'aura dolce senza mutamento
Avere in se; mi feria per la fronte
Non di piu colpo che soave vento;
Per cui le fronde tremolando pronte
Tutte quante piegavano alla parte
U' la prim'ombra gitta il santo monte;
Non però dal lor esser dritto sparte
Tanto che gli augelletti per le cime
Lasciasur d' operar ogni lor arte;
Ma con piena letizia l'ore prime
Cantando ricevieno intra le foglie
Che tenevan bordone alle sue rime,
Tal qual di ramo in ramo si raccoglie
Per la pineta, in sul lito di Chiassi
Quand'Eolo scirocco fuor discioglie.
(*Purg. C. XXVIII.*)

„Powiew miły i zmiany nie mający w sobie, muskał „mię po czole tak lekko, jak cichy wietrzyk; a liście „drżąc od niego wszystkie uginały się w tę stronę, „gdzie góra święta rzuca pierwsze cienie *) nie kołysząc się wszakże tak dalece, iżby ptaszęta po wierzchołkach drzewiny miały zaprzestać kunsztu swego; „owszem w pełni wesela przyjmowały one śpiewając „pierwsze podmuchy pomiędzy liściem, które szelestem „swoim taki wtór sprawiało ich śpiewom, jaki z gałęzi na gałęź rozlega się po sośninie na brzegu Chiassi **) „gdy Eol powieje wschodnim wiatrem“.

Minąwszy *Pinetę*, wyjeżdża się na wielką bagnistą równinę, na któréj leży miasto, co za Honoryusza stało się stolicą zachodniego Cesarstwa i było późniéj rezydencyą Teodoryka króla Gockiego, jedynego, który potrafił ziścić na czas jakiś nieziszczoną już odtąd utopię

*) Na zachód.
**) *Chiassi* czyli *Classe* przedmieście Rawenny zniszczone w 728 r. przez Luitpranda króla Longobardów i odtąd porosłe borem.

królestwa Italii, jéj politycznéj jedności i niepodległości. Zbliżona podobieństwem losów do Romy, pani świata Rawenna odbiła to podobieństwo w krajobrazie swojéj okolicy. Spostrzegasz do razu wielkie jednostajne moczary zazielenione trzciną i naśladujące płoninę Kampanii Rzymskiéj; na ich kończynie błyszczą fale Adryatyku jak owdzie Tyreńskiego morza; zresztą pustka i milczenie będące ustawicznem tłem wielkich pamiątek przeszłości, owdowiałość jakaś przebijająca w naturze kraju i w powierzchowności miasta jak w żałobnych szatach niewiasty, bluszcz wiecznie świeży na wiecznie starych opokach, a tu i owdzie pośród pustkowia wielki pomnik historyi i sztuki, stojący jak kamienny samotnik i patrzący nieruchomie w nieskończoność morza i sinych widnokręgów, — oto są cechy wspólne Romie i Rawennie, największym i najsmętniejszym wdowom między europejskiemi miastami. I tutaj jak w Rzymie przestronne i okazałe bazyliki piętrzą się za miastem gdyby gmachy czarnoksięzkich powieści wystrzelające z pośrodka chwastów i zdziczałych krzewów.

Jakkolwiek obeznany już z pomnikowemi świetnościami Rzymu, zdumiałem się, gdym ujrzał bazylikę śgo Apolinarego *in-Classe*, leżącą za miastem, z którą jedna zapewne bazylika ś. Pawła w Rzymie porównać się mogła przed pożarem; ale kościoły rzymskie odnowione niemal co do jednego, a częstokroć skażone w stylu i szczegółach swoich przez psotnika Berniniego i jego niefortunną szkołę, postradały na zawsze tę cechę średniowieczności i ten urok staroświeczyzny, którego złudzeniom ulegasz w Raweńskich świątyniach. Jakoż wchodząc do ś. Apolinarego, zdało mi się, że mię różczka czarodzieja przeniosła w kwitnące czasy gocko-carogrodzkiéj sztuki, w czasy Justyniana, Teodoryka, Boecjusza, Stylikona, Cesarzów i exarchów, kiedy z kruszącego się starego świata wychodził nowy porządek rzeczy, *novus rerum nascitur ordo*, kiedy poezya starożytna rzucała się po raz pierwszy w objęcia objawionéj wiary i nuciła swe *pociechy*, a sztuka kłoniąca się ku upadkowi nosiła jeszcze na czole ślady minionéj wielkości, naśladowała przepych, miękkość i dziwactwa wschodnich cesarzów w kolorach i arabeskach swoich, skamieniałość ich władzy w sztywności swych kształ-

tów, i odbijała ostatnią łunę gasnącéj świetności swojej na złotem tle bizantyńskich mozaik.... Wyobraźcie sobie ogromną bazylikę o dziewięciu wnijściach, piędziesięciu oknach, i trzech przestwornych nawach, których gockie sklepienie opiera się na dwudziestu czterech kolumnach z greckiego białego i czarnego marmuru, mających różowe marmurowe misternéj roboty koryncckie kapitele. Po nad niemi ciągną się długim rzędem mozajkowe wizerunki Raweńskich arcybiskupów jak obrazy papieży u ś. Pawła w Rzymie. Ściany, a mianowicie absyda kościelna, jest całkiem powleczona dziwnie bogatą mozajką. Ta pierwotna chrześciańska symbolika głęboko cię wzrusza, te sztywne, greckie figury świętych upowite jak mumje w drogotkane szaty, są pełne niewymownéj uroczystości, i jest coś surowego i groźnego w tej nawet mistycznéj sielance, rozwiniętej na stropie tęczą kolorów i pociemniałego złota, w tych górach, rzekach i palmowych drzewach, w tych rajskich ptakach i trzodach baranków pijących ze źródła żywej wody, w tych miastach apokaliptycznych okrążonych gwiazdzistym zodiakiem, i w téj nawet olbrzymiéj postaci Zbawiciela otoczonego Apostołami i Ewangelistami, w którego dłoni pośród rożnofarbnych obłoczków wiszą na złotym promieniu dwie głoski *A* i *Ω*. Wschodnia zdrętwiała powaga cesarza Justiniana założyciela bazyliki siedzącego na majestacie, jest doskonale ujętą. — W bocznych nawach widać na wyniosłych postumentach długi szereg ogromnych urn misternie rzeźbionych i zawierających zwłoki znakomitych mężów z czasów upadku rzymskiego Cesarstwa. Wielka marmurowa tablica umieszczona w środkowéj nawie przypomina, iż cesarz Otton III spędził tutaj cały wielki post na modłach i umartwieniu. We wielkim ołtarzu wznoszącym się po środku chóru pod baldachimem opartym na czterech nieocenionéj wartości kolumnach, spoczywa ciało śgo Apollinarego ucznia ś. Piotra i pierwszego arcybiskupa Rawenny.

Ale zdumienie moje urosło na widok bazyliki ś. Witalisa, wzniesionéj przez Juliana Złotnika, w pierwszéj połowie VI wieku, a poświęconéj przez ś. Maksymiana arcybiskupa r. 547. Architektura jéj jest jedyną w swoim rodzaju, i dowodzi, czem była sztuka pod panowa-

niem Gotów. Wnętrze jéj strojne, lśniące, wyrabiane, przeźroczyste, środkuje między bizantyńską a maurytańską budowlą, przypomina zarazem ś. Zofią i Alhambrę, exarchów i kalifów, nęci oko jak wschodni makat a zajmuje fantazyą jak ustęp z *Tysiąca nocy i jednéj*. Ma ono kształt ośmiokątny; żółty, zielony, fioletowy i paryjski marmur, alabaster, złoto, jaspis, porfir, bazalt i mozajka pokrywają w niem całkiem sklepienie, ściany, architrawy, łuki, filary, podłogę, a marmurowa koronka lekka jak rąbek hafciarki, bieży do koła po misternych kapitelach kolumn. Nad filarami dolnego wystrzelają kolumny wyższego piętra, utrzymujące potrójne łuki górnych framug, zamkniętych dłutowatą balustradą i świecących także od mozajki i złota. Nic piękniejszego nad te krużganki podobne do teatralnéj dekoracyi, z których królowie goccy i cesarze rzymscy nabożeństwa słuchali. Ale to oślepiające bogactwo, tchnące wschodnim przepychem, jest wolne tutaj od ciężkości, która mu ciągle towarzyszy w płodach bizantyńskiéj sztuki; owszem nie obciążając bynajmniéj budowli, dodaje tylko odświętnéj strojności i malowniczéj ozdoby jéj kształtom zadziwiającym lekkością i strzelistością swoją. W każdéj dolnéj arkadzie znajduje się kaplica całkowicie wyłożona mozajką od stropu do podłogi; ta, w któréj się wznosi wielki ołtarz, jest równie wspaniałą i ozdobną jak kościół ś. Marka w Wenecyi. Nieoszacowana jej mozajka wyobraża krom wielu przedmiotów religijnéj treści, cesarza Justyniana, otoczonego dworem i żonę jego Teodorę Augustę ze swoim bizantyńskim fraucymerem. Na prześlicznéj starożytnéj płaskorzeźbie przeniesionéj zapewne z pogańskiéj świątyni widać apoteozę Augusta pod postacią Jowisza i Liwii pod postacią Junony. Klaudyusz wyprasza u bogini Romy bóstwo dla Juliusza Cezara mającego gwiazdę na czole.

Nie daleko ztamtąd widać grób cesarzowéj Galli Placydyi, córki Teodozyusza W. a matki Walentyniana III. Uderza w nim ten sam przepych w mozajce, co w kościele ś. Witalisa. Strop mozajkowy niebieski usiany gwiazdami, zaokrągla się sklepisto nad ołtarzem z alabastru, całkiem przejrzystym i różowym od światła grobowéj lampy, która się za nim ciągle pali przed nagrobkiem Galli. Swiatłocień tajemniczy rozjaśniony

gdzie niegdzie połyskiem złota i marmuru, panuje w tem mieszkaniu uwieńczonych nieboszczyków i ogarnia olbrzymie sarkofagi, w których spoczywają ostatni Cezarowie. Środkowy bez ozdób ni rzeźby zawiera popioły Galli Placydyi, w drugim na prawo leży brat jéj cesarz Honoriusz II, a w trzecim na lewo Konstancyusz jéj małżonek. We dwóch mniejszych u wnijścia złożone są zwłoki ochmistrzów dziatek Galli.

Ale ciekawszym bezwątpienia zabytkiem jest grób Teodoryka, położony opodal od miasta za bramą *Porta Serrata*. By się do niego dostać przechodzi się przez obszerny gaik czyli ogród, którym go, niewiem czy z umysłu otoczono. Jakkolwiek bądź dziwne kształty pomnika z ciosowych kamieni zbudowanego, rysują się malowniczo na kępach ciemnej zieleni do koła rozsianych. Pomurna róża chwyta się szarych jego podwalin, trzcina poszumia na okrąg, a dla bagnistej gruntu natury woda zalała po części dolne jego piętro i utworzyła pod nim sadzawkę, po któréj suchy liść laurowy — godło znikomości ludzkiéj potęgi i chwały — pływa w koło grobowca jednego z największych ziemi mocarzy. Grobowiec ten odmienny od wszystkich tego rodzaju budowli, ma formę ula stojącego na stołku i składa się z olbrzymich skał zaledwo ociosanych. Na jedenastu głazach niesłychanéj objętości jak na filarach opierają się równie ogromne bryły trzymające się między sobą bez żadnéj spójni jedynym równowagi cudem, i tworzące łuki na których się opiera górne piętro, do którego prowadzą wewnętrzne wschody. Tam znajduje się kaplica w kształcie greckiego krzyża z kamiennym po środku ołtarzem, gdzie stała niegdyś urna z popiołami sławnego gockiego króla; ale ponieważ Teodoryk umarł w aryańskim błędzie, popioły te późniéj wydarto z niéj i na wiatr rozsypano. — Dach grobowca otoczony blankami wieńczącemi go niby królewską koroną, składa się z jednego zdumiewającego bajecznym ogromem głazu, który okrągły i wypukły na zewnątrz, wewnątrz zaś tworzący nieznaczną kopułę nad stojącą tam niegdyś urną gockiego władcy, naśladuje zupełnie wielką tarczę, którą niby nakryto zwłoki wojownika, a na któréj widać znak wielkiego pocisku — piorunu, co ją na wylot przeszył i szeroką zostawił w niéj

szczelinę. Żaden grobowiec nie zdołałby symbolizować tak doskonale potęgi zmarłego mocarza, a ucywilizowany barbarzyniec, przywódzca wielkiego narodu, zniszczyciel rzymskiéj światowładnéj potęgi i zdobywca kapitolu piorunującego Zeusa, niemógł dostojniejszego znaleść katafalka nad ten szaniec z dzikich skał, ani trwalszego nad wieczność namiotu i wieka, nad tę olbrzymią granitową tarczę piorunem przeszytą. Nagrobek Teodoryka jest jakoby ryciną do skandynawskiéj *Eddy*, i zda się być przedsionkiem nie tak chrześcijańskiego raju jak Odynowéj Walhalli. A jednak jest to dzieło niewiasty, która go wystawić kazała, a może sama dała do niego pomysł i zarys: Amalazunty królewnéj gockiéj córki wielkiego Teodoryka, jednéj z tych posągowych dziejowych postaci, na których się nieraz kruszy hartowne pióro zakapturzonych kronikarzy, gdy im przychodzi opisywać żelazną duszę rycerza, czystość westalki, lub namiętności lwicy w mdłych i uroczych kształtach jasnowłoséj dziewicy. Imie Amalazunty nigdzie nie jest wypisane na tym pomniku jéj synowskiego przywiązania; ale kwiat białéj róży pnącéj się miłośnie po granitach śmiertelnego łoża zdobywcy, dostatecznie przypomina nadobną księżniczkę.

Nieskończyłbym do jutra opisując wam wszystkie tutejsze ciekawości, a mianowicie kościoły zawierające nieoszacowane skarby pod względem historyi, archeologii i sztuk pięknych, tudzież wystawne pałace i galerye znakomitych Rawenskich rodzin, jako Ginannich, Spretich, Cappich, Cavallich, Lovatellich, della Torre, Rasponich, i t.d.... Wspomnę tylko o nawiedzinach jednego jeszcze grobu dziś rano odbytych... jestem dotąd całkiem przejętym i wzruszonym od nich, chociaż wiecie że niejestem bynajmniéj — jak mawiają z francuzka nasi panicze i parafianki — exaltowanym... Ale człowiek który jak ślimak żyje w skorupie swojéj sam na sam z wygodami, rachunkami i nudami, chroniąc się wszelkiego szczytniejszego wzruszenia pod pozorem iż to romanse i śmieszności, wart aby go pierwszy przechodzień zgniótł jak ślimaka po drodze. Wyznam tedy z najzupełniejszą szczerością, iż uczułem przyspieszone serca bicie zbliżając się do grobu Danta....

Wygnany z niewdzięcznéj Florencyi, ścigany piekielną zazdrością i zemstą, znękany tułactwem, długoletnią walką z ludźmi i z okolicznościami, a bardziéj jeszcze bezowocnością tylokrotnych usiłowań, by jedność i swobodę przywrócić nieszczęsnéj swojéj ojczyznie, nieśmiertelny wieszcz znalazł tutaj nareszcie przytułek u dwóch szlachetnych i wspaniałomyślnych braci Gwidona i Hostarjusza Polentanich udzielnych książąt Rawenny. Ta wielka i nieugięta dusza miotana przez całe życie gwałtownemi polityczemi namiętnościami, struta niewdzięcznością i prześladowaniem, upokorzona dojmującą nędzą i towarzystwem motłochu, wytchnęła tutaj nareszcie w dobranem gronie, opłonęła z ognia bitew i dialektycznych zapasów, i jak kwiat heliotropu zwracając się całkiem ku zachodzącemu słońcu swemu i odbijając światło wszystkiemi swéj istoty władzami, jęła śpiewać ostatnie promieniste widzenia swoje... krwawe stronnictw zatargi, pogarda dla podłości, nienawiść dla samolubstwa i przekleństwo dla zdrady, wszystkie zgoła uczucia i cały żywot obywatela, żołnierza i gibelina odwzorowały się w *Piekle* tchnącem nieukojoną burzą i nierozjaśnioną rozpaczą; *Czyściec* środkujący między niebem a ziemią, brzmiący żalem i nadzieją, pełen westchnień, cieni, niedosłyszanych dźwięków, sennych, anielskich postaci i błękitnego świtania, jest wiernym obrazem tęsknoty, uniesień i pragnień wygnańca jako też długiéj jego tułaczki po Apeninach, których przejął górzyste krajobrazy i dzikie piołunowe wonie. W *Raju* skrwawione stopy tułacza stają już u kresu ziemskiéj wędrówki, zgiełk żywota się oddala jako śpiew pielgrzyma, rany się zabliźniają, szum namiętności opada i ciszeje jak fala tego morza, nad którem się wieszcz codziennie przechadza... Do rozjaśnionéj jego duszy, do odwilżonéj i skruszonéj piersi zstępuje rozgrzeszenie, wlewa się żądza prawdy nieśmiertelnéj i niebieskiego piękna, wracają łzy przesłodkie i młodzieńcze marzenia, wracają zachwytne uniesienia i wiosna miłości, wraca uśmiech Beatryxy wniebowziętéj oblubienicy, a dusza poety pociągnięta nim ze sfery na sferę, wniebowstępująca i na pół błogosławiona, zalewa się światłem i wewnętrzną melodyą, i tworzy ten arcy-cudowny światłolity poemat *Raju*, który ze wszystkich tworów ducha

człowieczego najwięcéj w sobie odzwierciedlił słońca i zestrzelił promieni. Dante zasłonięty opieką Polentanich, ukończył go w Rawennie, gdzie wraz z dziełem swojem wiekopomnego dokonał żywota d. 14 września 1321 w 57 roku wieku swego. Ciało największego ery chrześciańskiéj wieszcza, ubrane w zakonną kapicę, gdyż był tercyarzem, wystawiono w kościele ś. Franciszka, dokąd lud się tłumnie garnął, by oglądać po raz ostatni te szlachetne rysy, w których bladości zwykł był upatrywać ślad widzeń i pielgrzymki do innego świata. Pogrzebano go przy tymże kościele, a przyjaciel wieszcza Gwido rzewnie po nim zapłakawszy, wystawił mu nagrobek, który atoli skończonym być nie mógł dla przedwczesnéj śmierci wspaniałomyślnego pana i dla wygnania rodziny Polentanich z Rawenny, która wpadła w szpony lwa ś. Marka. Dopiero w XVI wieku kardynał Bernard Bembo, wielkorządca z ramienia Rzpltéj Weneckiéj, uczcił zwłoki poety okazalszym pomnikiem podług rysunku Piotra Lombardi. W roku zaś 1780 kardynał Valenti-Gonzaga legat *a latere* poruczył jego odnowienie znakomitemu artyście Kamilowi Morigia, który mu nadał kształt małéj świątyni, jaki ma dzisiaj. — Świątynia takowa opiera się o boczną ścianę kościoła ś. Franciszka i wznosi się przy pustéj i trawą porosłéj ulicy, bowiem Rawenna jak Piza całkiem wyludnioną została i rzadko się spotyka ludzkie oblicze pośród jéj ogromnych i milczących gmachów. Przez kratę zamykającą tę kaplicę, widać pośród wielu marmurowych tablic przypominających późniejsze naprawy, popiersie poety w płaskorzeźbie nad marmurową trumną na pół wmurowaną w ścianę, na któréj daje się czytać łaciński napis przez samego Danta ułożony:

S. V. F.

Jura Monarchiae, Superos, Flegetonta Lacusque
Lustrando cecini voluerunt fata quosque;
Sed quia pars cessit melioribus hospita castris,
Actoremque suum petiit felicior astris,
Hic claudor Danthes patris extorris ab oris
Quem genuit parvi Florentia mater amoris.

Jednak Florencya, ta matka bez miłości, jak ją wygnaniec nazywa, kilkakrotnie wysyłała posłów dla otrzymania zwłok wielkiego swego syna; Michał Anioł gorący jego wielbiciel, podejmował się własną ręką wystawić mu pomnik — to jest arcydzieło; ale te wielorakie zabiegi zawsze się próżnemi okazywały: Rawenna, pośmiertna piastunka tułacza, niechciała go nigdy oddać niewdzięcznéj rodzicielce.

I tak wygnaniec za życia, po śmierci nawet nie mógł on wrócić do ojczyzny. Pięćset trzydzieści siedm lat upływa, jak piewca zaświatowych krain leży na tym brzegu Adryatyckiego morza równie odludnym i pustym jak ów brzeg *Czyśca* do którego niegdyś przylądował; samo uwielbienie miasta, gdzie znalazł był przytułek, stało się dlań pozgonną niewolą zatrzymując jego popioły daleko od téj ziemi, która przyjęła w swe łono dziewicze Beatrixy kształty. Swiat wprawdzie dawszy mu spróbować do syta jak jest słonym chleb obcy i ciężkiem wstępowanie po obcych wschodach, oddał nareszcie niewczesną czołobitność chrześciańskiemu Homerowi:

..........colui per lo cui verso
Il Meonio cantor non è più solo *).

Italia i świat cały sławą się jego napełniły, miasta ubiegały się o jego grób jak niegdyś o kolebkę śpiewaka *Iliady*, pielgrzymi ze wszystkich krajów i ze wszystkich narodów poczęli nawiedzać tę piędź ziemi cudzéj o którą mu tak trudno było za życia. — Jakoż ściany pomnika okryte są podpisami kilkunastu pokoleń gości, a między niemi widzieć można własnoręczny wiersz Byrona. W księdze podróżnych utrzymywanéj przez Franciszkanów znajdziesz tysiące najgłośniejszych jako też najciemniejszych imion. Z najświeższych jedno szczególnie uderza: imie Piusa IX, a przy niem ten tercet Danta własną papieża ręką nakreślony:

Non è il mondan romor altro che un fiato
Di vento, che or va quindi or va quinci,
E muta nome perche muta lato.

---

*) Leopardi, *Canzone sul monumento di Dante.*

Co znaczy po polsku:

Jest wszystek zgiełk światowy podobnym do tchnienia
Wiatru, które się zwraca w tę lub w ową sronę,
I samą zmienia nazwę gdy kierunek zmienia.

Wielki pasterz najlepiéj orzekł znaczenie i stosunkową wartość największéj pisarskiéj chwały chrześciańskich czasów: boć w rzeczy saméj to powszechne uwielbienie i hołd kilku wieków otaczający szczupły kamień na ziemi wygnania, to boskie nawet natchnienie które przez wszystkie wieki wieje ze święconego poematu jako żywotny Italii oddech, stwarzając jéj piśmiennictwo, sztukę i narodowy jeniusz, czyliż nie są znikomym tylko wiatru powiewem, porównane do tajemnic wiekuistego światła i niewysłowionéj poezyi, które wielki ten duch podziwia bez zasłon, od kiedy szczęśliwszy od gwiazd, wrócił do Stwórcy swego *actoremque suum petiit felicior astris*, od kiedy na nowo wstąpił do raju:

allora
Che di nuovo salisti al paridoso? *)

P. S. W chwili gdy składam list mój aby nieopuścić dzisiejszéj poczty, odbieram inny wierszem od Teofila Lenartowicza bawiącego obecnie nad brzegami Śródziemnego morza w miasteczku Porto-d'Anzio; pisze on do mnie z pobliskiéj wioski Nettuno. Chociaż zestawienie micrnéj a pospiesznéj prozy z ry ami znakomitego poety nie może się obrócić na jéj korzyść, i chociaż do tego nie jestem bynajmniéj upoważniony przez autora, dołączam tutaj jednak wiersz Lenartowicza, abyście otrzymali jednocześnie dwa listy rodaków z dwóch przeciwnych a mało znanych Italii nadbrzeży:

Mój kochany * * *

Nettuno, dziś 2go czerwca 1858 r,

Zwiedzałem tedy wielką cytadelę,
Przekopy, mosty wiszące na hakach,

---

*) Tenże tamże.

Strzelnice z których dziś wygląda ziele,
A nie rycerze w stalowych kołpakach.
Miasto dwuzębnéj zaostrzonéj dzidy
Oset wychyla swą kolczastą bródkę,
Na miejscu gróżnéj bronzowéj egidy,
Pająk swą cienką zawiesza robótkę.
W najwyższym zamku starego bastjonie,
Ku stronie morza wysuniętéj wschodniéj,
Krzykliwy kogut o złotym ogonie
Dziwi się twarzom ciekawych przychodni.
Niżéj kul kilka czerwonych się rdzewi,
I działo stoi na wieży papiezkie;
Lecz po co? tego i sam żołnierz nie wie
Drzemiący patrząc na morze niebieskie
I na rybaków u cichych wybrzeży
Z którymi czasem gadać lubi z wieży.
Na odgłos dzwonka z nad starego blanka
Nie rycerz gróżnym głosem ciebie bada,
Ale niewiasta fortecy mieszkanka
Dość przenikliwym głosem odpowiada
Nie jest to żadna księżniczka porwana,
Ale zwyczajna kobieta jak drugie.
Co czerpa wodę do wielkiego dzbana,
Pod który włosy swe podwija długie;
I na piękności martwą jest natury,
Które podziwiać codzień może z góry.
Nic jéj nie wzrusza błękitna zatoka,
Ani ten żagiel niknący pod górą,
Ani ta góra zachwyca jéj oka,
Ani się nad tą nie unosi chmurą.
Nic, a nic: siedzi wpatrzona w bambina,
Co na pociechę jéj chodzić zaczyna,
I czy powstawa, czy na siłach mdleje,
Zawsze czerwony i zawsze się śmieje.
Święć się papiezka poczciwa forteco,
Z któréj nie kule, a powoje lecą;
A krzyk jedyny jaki bije w ścianę,
Wydaje kogut piejąc na odmianę.
Z pamięci mojéj nie utracę ciebie,
Wielka nadbrzeżna forteco w Nettuno,
Niebieska jakby umaczana w niebie,

Gdy się na góry srebrne chmury zsuną,
I świat się z niebem jak w konchę perlaną
Zwinie chmurkami białemi nasianą.
Z pobytu mego w téj spokojnéj stronie
Gdzie po dniach całych spoglądam na morze,
Kiedyś o tobie poemat ułożę,
Niebieski jak te przenicbieskie tonie,
Które przerzynam w ślad rybackiéj łodzi
Co z pierwszym wiatrem na morze wychodzi.
Pod mury twoje przez modrą głębinę
Z maurytańską galerą zawinę,
Po jednéj stronie Tankred jaki stanie,
Z drugiéj Saladyn w jedwabiach i złocie,
I będą rzucać strzał żelaznych krocie
O wielkie nad tem morzem panowanie.
Tymczasem niechaj w niebronnym bastjonie,
Niezakłóconą ogarnięty głuszą
Papiezki żołnierz dziecko nosi żonie,
Pod wieżą gdzie się rzędem chusty suszą.—

GAZETKA LITERACKA

Kraków. Zazwyczaj pod lato zmniejsza się czynność wydawnictw, zatem i drukarnie bywają mniéj zatrudnione jak w innych porach roku. Wszakże niektóre publikacye rozłożone na dłuższy przeciąg czasu nieustają i w porze przeznaczonéj do wytchnienia. Do téj liczby należy Wydawnictwo Biblioteki polskiéj K. J. Turowskiego, która ukończyła niedawno przedruk Naruszewiczowskiego: *Żywota Chodkiewicza* Wydanie to bardzo ekonomiczne, obejmuje w 7 zeszytach dwa grube tomy edycyi Mostowskiego, wraz z dodatkiem części Dyaryusza wojny Chocimskiéj napisanego przez Jakóba Sobieskiego. — O ważności téj znakomitéj monografii wielkiego hetmana niepotrzebujemy powiadać; wartość klasycznego dzieła nietylko mieści się w dokładności badań źródłowych, lecz i w sposobie pisania godnym nazwiska historyi. P. Turowski ma zamiar z powodu mnożących się żądań posiadania kompletu Biblioteki polskiéj od pierwszego zeszytu wydanego w Sanoku, rozpocząć powtórny przedruk przynajmniéj dzieł ważniejszych — wszakże pod warunkiem, jeżeli zgłosi się dostateczna liczba prenumeratorów.— W drukarni *Czasu* wyszedł drugi tom dzieła: *Historya wymowy w Polsce* p. Karola Mecherzyńskiego i obejmuje Historyą wymowy religijnéj. Mowcy katoliccy od Piotra z Poznania do Szymona Starowolskiego dostarczają kilkadziesiąt nazwisk których dzieła autor przytacza lub wyjątki z nich udziela. Po nich idą mowcy innych wyznań, jak: Rej z Nagłowic, Koźmińczyk, Krowicki, aż do Baltazara Łabęckiego— zgoła wszyscy należący do tak zwanego Zygmuntowskiego wieku.— Dzieło to obejmuje jeszcze wymowę przygodną, jako to: 1) Kazania i mowy pogrzebowe, 2) Panegiryki, 3) Mowy świeckie obrzędowe, 4) Rozprawy krasomowskie i nekrologi, 5) Odezwy rycerskie. — Daléj szkołę wymowy, Krasomowstwo, gdzie przychodzą nazwiska i dzieła mo-

wców jak: Górnicki, Górski, Herbest aż do Zygmunta Lauxmina. Następnie: Mówcy zakładu Tylickiego (Oratores Tyliciani) Szymon Halicki.— Lepiecki, — Śmieszkowic, Innocenty Petrycy.

Tom III. przygotowany do druku zawierać będzie dzieje wymowy w epoce Jezuickiéj i dalszy ich zwrot od czasów Konarskiego.

— W drukarni Budweisera wydał X. Janota opis historyczny Bardyowa, interesujący pod względem stosunków historycznych z Polską, a i tem, że wody te przez długi czas były ulubionem miejscem zjazdu obywatelstwa polskiego.

W téjże drukarni wyszła książeczka pod tytułem: *Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin*, napisana piórem nieznanéj autorki. Najlepszy to jest dotąd przewodnik w te góry. Autorka ofiarowała to dziełko na korzyść kościoła XX. Dominikanów w Krakowie.

— Album Szczawnicy wyszło już trzy zeszyty z opisem; następny zeszyt z kolei 4ty niebawem okaże się i mi ściś będzie widoki i opis pienińskich skał.

W litografii *Czasu* zaczęto odbijać przeznaczoną na premium dla Akcyonaryuszów Tow. Sztuk Pięknych wspaniałą litografię Kaisera wykonaną z obrazu Leopolda Loefflera: Powrót Towarzysza Pancernego z wyprawy Wiedeńskiéj. Pan Fajans który przyjął dyrekcyę litografii Czasu zarządził tak, że odbicie to nieustąpi najlepszym odbiciom zagranicznym. — Również utalentowany ten rysownik podczas bytności swéj w Krakowie, wykonał na kamieniu dwa piękne portrety: jeden biskupa X. Łętowskiego, a drugi księcia Leona Sapiehy.

Bochnia. Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pisza wydał tutaj Józef Lompa dziełko: Skazówka do uprawy wszelkich warzyw i ogrodowin najpospolitszych dla wiejskich gospodarzy, w 8ce str. 46.

Lwów. W drukarni Zakładu Ossolińskiego wyszły: Uwagi o chowie koni i o wyścigach w Galicyi przez Tyburcego Olszewskiego.

Lipsk. Nakładem księgarni W. Engelmanna wyszła tutaj: *Bibliotheca aegiptiaca* czyli dokładny spis bibliograficzny dzieł i pism o Egipcie traktujących zebrany p. H. Jolowicza. Spotykamy tu także między innemi wymienione prace rodaków, jak Mikoł. Krzyszt. Radziwiłła, Jana Potockiego Wojdego, Sękowskiego, Wł. Wężyka, Manna.

— Nakładem księgarni C. F. Wintera wyszedł tu trzeci tom *Pamiętników Jakóba Jana hrabi Sieversa ministra rosyjskiego, wydany przez Karola Ludwika Bluma.* Tom ten obejmuje epokę 1791—1793 właśnie gdy Sievers pełnił urząd rosyjskiego ambasadora w Warszawie przed Igielströmem i zawiera ważne materyały do historyi drugiego rozbioru Polski. Między innemi znajdujemy tu dokładną specyfikacyą długów króla Augusta wynoszących przeszło 34 miliony złp. Tom ten ozdobiony jest także wizerunkiem ostatniego króla polskiego.

Paryż. Znany muzyk Napoleon Orda wydał tu grammatykę polską dla Francuzów, pod tytułem: *Grammaire analitique et pratique de la langue polonaise à l'usage des Français par N. Orda. Paris imprim. de L. Martinet 1858*, w 8ce, str. 443. — Przejrzeniem i poprawą téj pracy zajmował się uczony oryentalista

X, Bertrand d'Herblay. Podczas gdy już kilka tuzinów grammatyk polskich dla Niemców posiadamy, jest to dopiero 3cia grammatyka dla Francuzów. Pierwszą wydał Jezuita Ignacy Trąbczyński spowiednik francuzkiéj królowéj Maryi Leszczyńskiéj roku 1778 w Warszawie u Dufoura w 2 częściach *Grammaire raisonnée ou principes de la langue polonaise*); przedrukowano ją w tejże saméj drukarni r. 1793 i znowu u Tomasza Lebruna w Warszawie r. 1793. Drugą grammatykę, dotąd jeszcze najlepszą ogłosił na rozkaz Napoleona sławny filolog Onufry Kopczyński w Warszawie w drukarni Piarów r. 1807 (*Essai de grammaire polonaise*), która to książka do dość rzadkich dzisiaj książek należy. —

Warszawa. Biblioteki Warszawskiéj zeszyt Czerwcowy zawiera szereg następujących artykułów: *Zatargi Polski z Turcyą* w 1667 r. i poselstwo Hieronima Radziejowskiego przez Leopolda Huberta.

Rys życia Piotra Michałowskiego, skreślił X Łętowski.

Pamiętnik z czasów rzezi indyjskiéj, 1857 r.

Krótki rys historyi naturalnéj Kamieńca Podolskiego, skreślił Gustaw Belke.

Kronika paryska literacka naukowa i artystyczna. Paryzkie Towarzystwa wzajemnéj pomocy. Dramatyczno muzyczny wieczór na dochód Instytutu Notre-Dame des Arts. Ristori we włoskim Makbecie. — Les Doigts de Fée, komedya pp. Scribe i Legouvé — O dzieciobójstwie u ludów wschodnich. — Pałac Pompejański ks. Napoleona. Projekt mostu na La Manche. — Wiadomości literackie.

Obrazy Dagestanu przez Juliana S. (z mappą).

Poezye. Karpacki dudarz, przez T. Lenartowicza — z powrotem przez tegoż.

Kronika literacka. Gawędy o literaturze i sztuce. przez J. I. Kraszewskiego. Ciąg pierwszy. Lwów. 1857. przez A. A. K. — Przegląd dramatyczny — Filip II. tragedya oryginalnie wierszem napisana przez F. Jakubowskiego. Kraków. 1858. — Don Karlos Szyllera przekład tego dramatu przez M. Budzyńskiego. Pieskott o Don Karlosie. — Cyganie Puszkina. Chata za wsią, Kraszewskiego. Dom Lodowy Łażecznikowa. Cyganie, dramat J. Korzeniowskiego. Warszawa 1857. przez Bolesława Wiktora. Alberti Marchionis Brandenburgensis de arte militari . . . principis Palatini Adami Czartoryski cura et sumptibus editi. Lutetiae Parisorum 1858. przez K. Wł. Wójcickiego. Prawdziwe wyobrażenie oblicza Pana naszego Jezusa Ch. z dołączeniem historycznéj wiadomości tego obrazu — Kraków 1856. — Pamiętniki kuratora magazynów, napisał Antoni Nowosielski. Warszawa, 1858 r.

Rozmaitości. Początek i wzrost przemysłu w Stanach Zjednoczonych.

Korrespondencye. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, o wykopalisku wyszogrodzkiem od G. Z. — Do redakcyi Bibl. War. od Juliana Bartoszewicza.

W doniesieniach literackich téjże Biblioteki znajdują się następujące wiadomości tak o dziełach już wydanych, jak o projektach literackich:

Najwięcéj zajmującym wypadkiem równie miasto jak i kraj cały, była sprawa o zapis Konstantego Świdzińskiego, odsądzona 14 maja w Ogólnem Zebraniu warszawskich departamentów Se-

natu, między margrabią Wielopolskim a sukcessorami Konstantego Świdzińskiego. Wyrok ostateczny senatu zatwierdził wyrok Sądu Appellacyjnego ze zmianą jednak motywów i kassacyą kosztów utrzymując rozporządzenie testamentowe ś. p. Świdzińskiego. Na dni kilka przed pomienioną sprawą, sukcesorowie wydali broszurę p. n. „Zapis Konstantego Swidzińskiego". Zeszyt II: „Odpowiedź Ludwika i Tytusa braci Świdzińskich, na mowę Alexandra hr. Wielopolskiego margrabiego Myszkowskiego, mianą w sądzie appellacyjnym dnia 7/19 czerwca 1857 r. w sprawie o testament Konstantego Świdzińskiego".

Dzieła Edwarda Kotłubaja: „Galerya nieświezka portretów Radziwiłłowskich, opisana historyznie z drzeworytami Michała Starkmana" zeszyt IV i V. Te obejmują życiorysy i wizerunki Radziwiłłów: Jerzego III z gałęzi ordynatów ołyckich, książąt na Nieświeżu i Ołyce; Stanisława II. przezwanego pobożnym, Mikołaja XI Krzysztofa, Alberta IV. Stanisława przezwanego stróżem praw. Z gałęzi ordynatów kleckich: Alberta II. przezwanego Justynianem litewskim, Jana IX. Alberta: Jana XIV. Władysława, Michała II. Karola, Stanisława IV. Kazimierza. Z linii na Nieświeżu i Ołyce: Mikołaja VIII. Krzysztofa, Jana VIII. Jerzego, Alberta III. Władysława. Zygmunta Karola, Alexandra Ludwika, Dominika I. Mikołaja, Jana XVII Mikołaja, Marcina I. Mikołaja, Michała IV. Antoniego, Mikołaja XX. Faustyna, Udalryka I Krzysztofa, Alberta XI, Jerzego IX. Stanisława VI. Z tego pocztu wyliczonego Radziwiłłów, może czytelnik powziąść przekonanie, jakie ród ten możnowładzców litewskich możny i dumny, zajmował stanowisko przeważne w narodzie, jaki udział wielki miał w sprawach państwa, a ztąd ocenić o ważności pracy Kotłubaja, wspartéj głównie na nieznanych dotąd źródłach rękopiśmiennych. Do całości tego dzieła braknie jednego tylko zeszytu: pragnęlibyśmy, żeby autor dołączył staranne skorowidze tak alfabetyczne, jak chronologiczne: uważamy bowiem od pewnego czasu wielką niedbałość w téj mierze wydawców w poważnych historycznéj treści dziełach.

— Baliński Krarol przełożył z hiszpańskiego z Kalderona: „Kochankowie nieba", dramat wierszem, który drukuje się w Paryżu. Głośny talent tłumacza znajdzie u nas sympatyą i poparcie.

— Adam Kirkor redaktor Teki wileńskiéj, w dwóch drukarniach razem drukuje tomy IV, V. VI. i VII tego pisma, Z powodu, że drukarnie są własnością żydów i żydzi sami są zecerami (wyjąwszy typografii J. Zawadzkiego), korrekty są nadzwyczaj pracowite, składają tylko machinalnie, nie pojmując języka. Z tego powodu opóźniło się wydanie tomu IV „Teki". Zasoby wielkie ma redakcya, gdy naraz po cztery tomy drukować może — Alexander Tyszyński przybywa ze wsi do Wilna na dłuższy pobyt.

— Pamiętnika religijno-moralnego zeszyt V na r. b. za miesiąc Maj wyszedł i obejmuje: 1) Opis kościoła i klasztoru Panien Benedyktynek w Wilnie, skreślony przez D. C. Chodźkę. 2) Wstąpienie na metropolitalną mohilewską katedrę JW. Wacława Żylińskiego arcybiskupa metropolity wszech rzymsko-katolickich kościołów w cesarstwie rosyjskiem

przez X. Jerzego Iwaszkiewicza. 3) Dyecezya polska w 1857 roku, przez X. Chwaliboga. 4) Wyjątek z podróży po Wschodzie, przez A. Muchlińskiego. Przybycie do Stambułu (przed r. 1840). katolickie kościoły, klasztory, missye, nabożeństwo, mogiły, nagrobki dla naszych rodaków, pamiątki ś. Jacka, Ormianie katolicy. 5) Mowa przy zakładaniu węgielnego kamienia na nowe gimnazyum w Lublinie, miana przez X. kanonika Misińskiego nauczyciela szkoły realnéj 6) Wiadomość o missyi w Bengal. 7) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. Tu czytamy sprawozdanie z przekładu kilku książeczek Tomasza a Kempis, jak: „O naśladowaniu Chrystusa“,— „Ogródek różany“, „Liliowa dolina“. „O samotności i milczeniu i Pisma różne“ Tomasza a Kempis. 8) Kronika kościelna i rozmaitości zamykają ten zeszyt.

— Szczęśliwym trafem odkryty ważny rękopism Godfryda Lengnicha, zwrócił uwagę wszystkich badaczy rzeczy krajowych. Znane są prace tego pisarza w r. 1774 zmarłego. Będąc syndykiem miasta Gdańska od r. 1750 zebrał wszystkie ustawy, prawa i urządzenia wewnętrzne rodzinnego swego miasta w rękopiśmie p. n. „Der Stadt Danzig Verfassung und Rechte“, doprowadzone do r. 1770. Praca ta nietylko nie była drukowaną, lecz jako przeznaczona wyłącznie do użytku miejskich dygnitarzy, była nieprzystępną dla innych. Starożytny gród ten polski zniemczony przez Krzyżaków; a następnie przez reformacyą Lutra, przodkował niegdyś handlowym miastom polskim i niepospolite miejsce w rzędzie hanzeatyckich trzymał. Prawa i ustawy, któremi Gdańsk rządził się, służyły za wzór dla wielu innych miast naszych. Zbiór więc tych praw (jak dobrze uważa Leon Rogalski) od najdawniejszych czasów aż do ostatnich niemal lat istnienia rzeczypospolitéj i zostawania Gdańska pod panowaniem polskiem, jest niezmiernie ważnym dla wyjaśnienia wewnętrznego bytu i urządzeń, niemniéj jak dla dziejów miast kraju naszego. Sumienność i nauka Lengnicha dają rękojmią wartości. Rękopism ten składający się przeszło z 200 arkuszy, zakupiony na licytacyi po jednym z urzędników miasta Gdańska, wraz z innemi rękopismami, księgami i numizmatami przeszedł na własność naszego archeologa i fotografa Karola Beyera. Rękopism ten w przekładzie polskim wyjdzie wkrótce z druku. Nakład cały przyjął na siebie Edward Rastawiecki, autor „Słownika malarzy polskich, Mappografii dawnéj Polski“, spółwydawca: „Wzorów sztuki średniowiecznéj w Polsce“, i członek redakcyi Bibl. Warszawskiéj, przekładem zajął się Karol Hübner, z pomocą i pod kierunkiem Walentego Dutkiewicza światłego prawoznawcy, autora dzieła „Prawo hypoteczne w królestwie polskiem“. — Rękopism Lengnicha nieznany był ani jego biografom ani też dotychczasowym historykom miasta Gdańska.

— Pism Adama Mickiewicza nakładem S. H. Merzbacha wyszedł tom V i obejmuje, oprócz drobnych poezyj tak tłomaczonych, jak oryginalnych, przekład „Giaura“ z Byrona, i wielką dziś rzadkość: rozprawę Mickiewicza drukowaną w dzienniku Wileńskim 1817 roku. Uwagi nad „Jagiellonidą“ Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego. drukowaną w Berdyczowie. W tomie VI i następ-

pnym rozpocznie się druk „prelekcyj Mickiewicza".— Staloryty zapowiedziane, wkrótce ukończone będą, ryciny bowiem przez naszych artystów wykonane, zostały już przesłane. Wydawca do téj edycyi wcieli wiele pism nieznanych Mickiewicza z pozostałych pośmiertnych rękopismów. Wydanie więc to będzie jednem z najzupełniejszych zbiorów pism naszego wieszcza.

— Zeszyt V. dzieła: „Arcybiskupi Gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galeryi Łowickiéj, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza". — Nakład litografii A. Pecq'a, wyszedł z pod prasy i obejmuje: życiorysy: 1) Henryka Kietlicza. 2) Wincentego Czarnkowskiego 3) Fulko seu Pełka. 4) Jana Tarnowskiego.

— Szósty zeszyt „Wieńca" pisma zbiorowego, ofiarowanego ś. p. Stanisławowi Jachowiczowi, wyszedł z pod prasy i obejmuje artykuły: Antoniego Wagi, Bolesława Wiktora, Ant. Gostyńskiego, Joanny Belejowskiéj, Leony Krysińskiéj, J. Badowskiego, Alexandra i Ludwika Kra., Łukasza Włodarkiewicza, Ant. Połujańskiego, Józefa z Ojcowa, Wiktora Dłużniewskiego, Julii Kwaśniewskiéj, Józefy K., Antoniny Machczyńskiéj, Felixa Homickiego, Juliusza Zwierkowskiego, Jana Nep. Kamińskiego, L. A J., Waleryana hr. Krasińskiego, Józefa M, i Bezimiennego.

— Piękne, przez biegłego ornitologa i myśliwego (hr. Kazimierza Wodzickiego) napisane dzieło: „O sokolnictwie i ptakach myśliwych", już wyszło z druku.

Wilno. Wyszedł świeży zeszyt: „Pamiętnika wileńskiéj archeologicznéj komissyi, wydawanego pod redakcyą rzeczywistych członków M. Malinowskiego i A. Kirkora. Obejmuje oprócz sprawozdań z posiedzeń dorocznych i rozprawy: Mikołaja Malinowskiego o poszukiwaniach archeologicznych w cesarstwie rosyjskiem, po francuzku; i Adama Kirkora o „Światowidzie", będącym ozdobą zbiorów Towarzystwa Nauk. Krakowskiego. Kończy ten zeszyt lista członków pomienionéj komissyi.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpowied. St. Gralichowski za Rządcę drukarni